

— MISTRZOWIE SF I FANTASY —

— JEDEN Z WIELKIEJ CZWÓRKI SCIENCE FICTION —

A.E. VAN VOGT

MISJA
MIĘDZYPLANETARNA



**MISJA
MIĘDZYPLANETARNA**

A. E. VAN VOGT

(Przekład: Katarzyna Przybyś, Bartosz Skierkowski, Wojciech Szypuła)

Fordowi McCormackowi

Spis treści

[1](#)
[2](#)
[3](#)
[4](#)
[5](#)
[6](#)
[7](#)
[9](#)
[10](#)
[11](#)
[12](#)
[13](#)
[14](#)
[15](#)
[16](#)
[17](#)
[18](#)
[19](#)
[20](#)
[21](#)
[22](#)
[23](#)
[24](#)
[25](#)
[26](#)
[27](#)
[28](#)

Coeurl bez wytchnienia przemierzał wielkie przestrzenie w poszukiwaniu zera. Daleko po lewej, ciemna, bezksiężycowa i niemal zupełnie bezgwiezdna noc ustępowała niechętnie przed czerwonym światłem. Ponury blask nie niósł w sobie obietnicy ciepła, za to z wolna wydobywał z mroku koszmarny krajobraz.

Gdy blade słońce wychyliło się zza horyzontu, jego promienie padły na czarną, pustą równinę, poznaczoną poszarpanymi skałami. Smugi światła powoli wślizgiwały się między nocne cienie.

Coeurl na dobre zgubił trop stada stworzeń emanujących id, za którym podążał od blisko stu dni. Zatrzymał się, porażony świadomością, że znów nic nie zje. Potężne przednie łapy drgnęły, ostre jak brzytwa pazury wygięły się, wyrastające z barków grube macki zafalowały spazmatycznie. Pokręcił masywnym, kocim łbem, a kępki włosów czuciowych w uszach zadrżały w poszukiwaniu jakiegoś przelotnego powiewu, czy najdrobniejszych choćby wibracji id.

Na próżno jednak; nie doznawał znajomego, delikatnego ukłucia w swoim skomplikowanym układzie nerwowym. Nie wyczuwał najmniejszego śladu obecności istot, których organizmy zawierają id, jedyne źródła jego pożywienia. W rozpaczy przysiadł na tylnych łapach. Na tle czerwieniejącego nieba jego kocia sylwetka upodobniła się do dziwnie zdeformowanego tygrysa kryjącego się wśród cieni. Zgubił ślad i był przerażony. A przecież zazwyczaj zmysły pozwalały mu wykryć obecność organicznego id z odległości wielu kilometrów! Działo się coś złego. Niepowodzenie ostatniej nocy dobitnie świadczyło, że traci siły i zapada na śmiertelną chorobę, o której już kiedyś słyszał. W ciągu ostatnich stu lat siedem razy spotykał chore coeurli, zbyt osłabione, by się ruszać. Ich właściwie nieśmiertelne ciała były wychudzone i wyniszczone głodem. Żarłocznie rzucał się na nie mogące stawiać oporu ofiary i posilał resztką id, jaka jeszcze się w nich tliła.

Zadrżał z podniecenia na wspomnienie tamtych posiłków i ryknął donośnie. Echo poniosło pośród skał jego wibrujący głos, instynktowny wyraz woli życia.

Nagle znieruchomiał. Wysoko nad horyzontem dostrzegł maleńki, lśniący punkcik, który rósł w oczach, aż przybrał postać metalicznej kuli, a właściwie ogromnego, okrągłego statku. Srebrzysta kula przemknęła ze świstem niedaleko Coeurla i, lecąc coraz wolniej, zaczęła opadać ku ciemnej linii wzniesień po prawej stronie. Na moment zawisała w bezruchu, po czym skryła się za wzgórzami. Coeurl otrząsnął się z odrętwienia i z łąką tygrysią szybkością rzucił się między skały. W jego okrągłych, czarnych oczach płonął ogień. Rozpaczliwie pragnął zaspokoić głód. Włoski czuciowe w uszach, choć nie tak sprawne jak kiedyś, drżały gorączkowo, sygnalizując obecność ogromnych ilości id. W całym ciele poczuł bolesne ukłucia.

Odległe słońce zdążyło poróżowieć i wspiać się wysoko na purpurowo-czarne niebo, zanim Coeurl wdrapał się z powrotem na skały. Ukryty w cieniu głazów, spojrzął na rozciągające się przed nim ruiny. Srebrny statek nie był mały, ale wobec ogromu starego miasta prezentował się niepozornie. Jednak dzięki aurze żywotności i dynamizmu wybijał się z tła i dominował na pierwszym planie. Spoczywał w zagłębieniu, jakie własnym ciężarem wycisnął w kamienistej równinie, która rozciągała się tuż za granicami martwej metropolii.

Coeurl widział, jak z wnętrza pojazdu wychodzą dwunogie istoty i zbierają się zaraz w grupkach u stóp trzydziestometrowego trapu, opuszczonego z jasno oświetlonego wjazdu. Głód sprawił, że w gardle czuł duszącą grudę; umysł zasnuwały mu wizje błyskawicznej, bezlitosnej szarży na delikatne figurki, emanujące wibracjami id.

Zanim jednak zadziałał, zanim impuls elektryczny dotarł z mózgu do właściwych mięśni, powstrzymała go mgiełka wspomnień. Przypomnił sobie, że w zamierzchłej przeszłości jego własna

rasa dysponowała niszczycielskimi maszynami i władała energiami dalece przewyższającymi moce jego organizmu. Te wspomnienia niemal go sparaliżowały. Zdążył już także dostrzec, że obce istoty okrywają swoje prawdziwe ciała jakąś błyszczącą, przezroczystą materią, odbijającą promienie słońca.

Po chwili odzyskał jednak swój zwykły spryt i zdrowy rozsądek, a wtedy nadeszło zrozumienie: oto miał przed sobą ekspedycję naukową z innego świata. Naukowcy będą tylko prowadzić badania, nie zamierzają niczego niszczyć. Należy więc sądzić, że powstrzymają się od zabicia go, dopóki sam nie zaatakuje. Naukowcy są na swój sposób głupi i naiwni.

Głód dodał Coeurlowi pewności siebie, więc opuścił kryjówkę. Natychmiast został zauważony. Figurki odwróciły się i gapiły na niego. Jedna z nich, najmniejsza w grupie, dobyteła z pochwy przy pasie tępo zakończony, metalowy pręt.

Coeurl poczuł niepokój, ale szedł dalej. Było za późno, żeby się wycofywać.

Elliott Grosvenor nie ruszył się z miejsca, które zajmował - z tyłu, tuż obok trapu. Zaczynał się już przyzwyczajać do tego, że zawsze pozostaje z boku. Był jedynym neksjalistą¹ w załodze „Gwiezdnego Ogara”. Inni specjaliści ignorowali go, nie za bardzo wiedząc, czym zajmuje się neksjalizm - i niespecjalnie chcąc się tego dowiedzieć. Grosvenor miał zamiar zmienić tę sytuację, ale na razie nie nadarzyła się żadna po temu sposobność.

Nagle wbudowany w jego hełm komunikator ożył. Rozległ się wybuch śmiechu i męski głos:

- Ja wolałbym nie ryzykować z takim wielkim stworem.

Grosvenor rozpoznał Gregory'ego Kenta, szefa działu chemicznego, drobnego człowieczka o wybujałej osobowości. Kent miał na pokładzie licznych przyjaciół i popleczników i zgłosił już swoją kandydaturę w zbliżających się wyborach na cywilnego szefa, czyli głównego koordynatora ekspedycji. Tylko on sięgnął po broń widząc zbliżające się zwierzę.

W słuchawkach zabrzmiał inny głos, głębszy i spokojniejszy. To był Hal Morton, obecny koordynator.

- Między innymi dlatego tu jesteś, Kent. Nie lubisz ryzykować -zauważył przyjaźnie, jakby zapominając, że Kent jest jego przeciwnikiem w walce o stanowisko.

Chociaż kto wie... rozmyślał Grosvenor. Może to tylko zagranie polityczne, mające utwierdzić co bardziej naiwnych w przekonaniu, że nie żywi niechęci do rywala. Grosvenor nie wątpił, że koordynator jest zdolny do takiej subtelności; Morton był sprytny, szczery, bardzo inteligentny i w większości sytuacji reagował tak sprawnie, jak dobrze zaprogramowany automat.

Teraz Morton wyszedł kilka kroków przed pozostałych. Był postawny i barczysty, wydawało się, że z trudem mieści się w przezroczystym metalitowym skafandrze. Stał nieruchomo i przyglądał się, jak podobny do kota ogromny stwór zbliża się do statku. Ze słuchawek dobiegały komentarze innych naukowców, stojących na czele poszczególnych działów.

- Nie chciałbym spotkać tego przyjemniaczka nocą w ciemnej uliczce.

- Przestań, przecież widać, że to inteligentna bestia. Może nawet przedstawiciel dominującej rasy.

- Wygląd sugeruje raczej zwierzęcy charakter adaptacji do środowiska -wtrącił Siedel, szef psychologów. -Chociaż, z drugiej strony, kiedy patrzę, jak się do nas zbliża, jestem prawie pewny, że to nie jest zwierzę, i że rozpoznaje w nas istoty inteligentne. Popatrzcie tylko, jak sztywno i ostrożnie się porusza. To świadczy o napiętej uwadze. On wie, że jesteśmy uzbrojeni. Chętnie obejrzałbym z bliska te macki. Gdyby okazało się, że są zakończone czymś w rodzaju rak albo chociaż przyssawkami, moglibyśmy założyć, że mamy przed sobą potomka mieszkańców tego miasta. - Siedel przerwał na chwilę. - Świetnie by było, gdybyśmy zdołali się z nim porozumieć, ale tak między nami mówiąc mam wrażenie, że to zdegenerowany osobnik, który cofnął się w rozwoju.

Coeurl zatrzymał się trzy metry przed najbliższą z istot. Cierpiał głodowe męki, które lada chwila mogły o władnąć jego umysłem, pozbawiając go kontroli nad własnym zachowaniem. Niebezpiecznie lawirował już na krawędzi całkowitego rozkojarzenia i tylko z największym wysiłkiem zdołał się opanować. Czuł się tak, jakby pływał w mętnej płynie. Nie mógł skupić wzroku.

Większość ludzi podeszła bliżej. Coeurl zauważył, że oglądają go z niekłamanym zaciekawieniem. Przez przezroczyste pokrywy hełmów widział, jak poruszają wargami. Doszedł do wniosku, że muszą się w ten sposób porozumiewać, i to na częstotliwości, którą bez trudu może odbierać. Nic nie rozumiał, ale chcąc zrobić wrażenie przyjaźnie nastawionego pokazał jedną z macek na siebie, a włoskami w uszach wyemitował swoje imię.

- Morton, w radiu coś zatrzeszczało, kiedy poruszył tymi włoskami – dobiegł Grosvenora nieznajomy, niski głos. - Myślisz, że...

Dopiero kiedy Morton w odpowiedzi użył nazwiska rozmówcy, Grosvenor zorientował się, że to Gourlay, główny łącznościowiec. Ucieszył się, gdyż nagrywał każdą rozmowę, a teraz, dzięki stworowi, miał szansę zebrać nagrania głosów najważniejszych osób na statku. Zabiegał o to od samego początku podróży.

- No właśnie - odezwał się znów psycholog. - Macki są zakończone przysawkami. Jeżeli tylko ma wystarczająco rozwinięty układ nerwowy, mógłby kierować dowolną maszyną.

- Może wrócimy na pokład i zjemy lunch - zaproponował Mor-ton. - Potem czeka nas sporo pracy. Przydałby mi się raport na temat rozwoju tej rasy, ze szczególnym uwzględnieniem czynników, które doprowadziły do jej zagłady. Dawno temu na Ziemi, jeszcze przed powstaniem cywilizacji galaktycznej, na gruzach jednej kultury zawsze wyrastała następna, po której upadku pojawiały się nowe. Może tutaj działa się podobnie. Niech każdy dźiał zajmie się swoją dziedziną badań.

- A co z naszym kociakiem? - zapytał ktoś. - Chyba chciałby pójść z nami.

Morton parsknął śmiechem, ale zaraz odparł poważnie:

- Nie mam nic przeciwko temu, chociaż wolałbym go do tego nie zmuszać. Kent, co o tym sądzisz?

Niski chemik zdecydowanie pokręcił głową.

- W tutejszej atmosferze jest o wiele więcej chloru niż tlenu, choć, prawdę mówiąc, obu jest niewiele. Tlen na statku byłby dla jego płuc jak dynamit.

Ale kotopodobny stwór nie pomyślał chyba o rym niebezpieczeństwie. Grosvenor patrzył, jak w ślad za dwoma pierwszymi ludźmi wjeżdża po ruchomych schodach i znika we włazie. Mężczyźni obejrzelisię na Mortona, który tylko machnął ręką.

- Dajcie mu łyknąć trochę naszego powietrza, a zaraz wyskoczy ze statku.

Po chwili jednak w głosie koordynatora zabrzmiało szczere zaskoczenie.

- Do diabła! Nawet nie zauważył różnicy! Albo nie ma płuc, albo nie oddycha chlorem. Na pewno może wejść na statek. Smith, to prawdziwy skarb dla biologa, i całkowicie nieszkodliwy, o ile zachowamy należytą ostrożność. Co za metabolizm!

Smith był wysokim, chudym mężczyzną o pociągłej, ponurej twarzy. Jego potężny głos ostro kontrastował z wątłą posturą.

- Uczestniczyłem już w paru wyprawach badawczych i zetknąłem się jedynie z dwoma rodzajami rozwiniętych form życia: jedne potrzebują chloru, drugie tlenu? bo tylko przy udziale tych pierwiastków może zachodzić spalanie. Słyszałem coś o istotach oddychających fluorem, ale do tej pory ich nie spotkałem. Gotów byłbym iść o zakład, a stawiam moją reputację, że żaden złożony organizm nie byłby w stanie przystosować się do korzystania jednocześnie z obu tych gazów. Morton, za wszelką cenę musimy zbadać tego kota. Koordynator roześmiał się głośno i zauważył:

- Chyba sam ma ochotę z nami zostać.

Wjechał po schodach na górę i wszedł do śluzy razem z Coeurlem oraz oboma mężczyznami. Grosvenor przyspieszył kroku i dołączył do nich wraz z kolejnymi kilkunastoma osobami. Wład zamknął się i powietrze z sykiem zaczęło sączyć się do wnętrza. Nikt nie zbliżał się do istoty, którą Grosvenor obserwował z narastającym niepokojem. Przyszło mu na myśl kilka rzeczy, którymi najchętniej od razu podzieliłby się z Mortonem. Powinien mieć taką możliwość, gdyż przepisy obowiązujące na statkach badawczych zapewniały łatwy dostęp do koordynatora wszystkim kierownikom działów. Jako kierownik działu neksjalizmu (którego zresztą był jedynym członkiem) także Grosvenor powinien mieć wbudowany w skafander dwustronny komunikator. Ale nie: miał tylko odbiornik i przywilej słuchania ważniejszych od siebie, kiedy ci zajmowali się swoją pracą. Gdyby chciał się z kimś porozumieć, czy chociażby dać znać, że znalazł się w niebezpieczeństwie, mógł tylko przełączyć się na kanał łączący go z operatorem. Jednak nie kwestionował zasadności stosowania takiego systemu. Na pokładzie znajdowało się bez mała tysiąc ludzi i nie do pomyślenia było, żeby każdy z nich miał na żądanie bezpośrednią łączność z cywilnym szefem ekspedycji.

Wewnętrzne drzwi śluzy otwały się i Grosvenor przepchnął się do wyjścia wraz z innymi. Po chwili stali już przy windach kursujących na wyżej położone poziomy mieszkalne. Morton i Smith rozmawiali jeszcze przez chwilę, po czym Morton zdecydował:

- Jeśli będzie chciał, niech sam jedzie na górę.

Coeurl nie miał nic przeciwko temu, przynajmniej do chwili, gdy drzwi windy zatrzasnęły się za nim i zamknięta klatka wystrzeliła w górę. Wtedy zawarczał i zakręcił się w miejscu; resztki rozsądku ustąpiły miejsca panice. Rzucił się na drzwi z takim impetem, że metal się odkształcił. Ból jeszcze bardziej go rozwścieczył. Był w pułapce. Przednimi łapami jął uderzać w ścianę, mackami oddzierał kolejne arkusze zespawanych blach. Rozległ się zgrzyt i windą zaczęło szarpać, gdy siła pola magnetycznego silników przewyciężała opór stawiany przez trące o ściany wystające strzępy metalu. W końcu winda dotarła na miejsce i stanęła. Coeurl jednym ciosem unicestwił do reszty drzwi i wypadł na korytarz, gdzie czekali już uzbrojeni ludzie.

- Zachowaliśmy się jak idioci - odezwał się Morton. - Trzeba mu było pokazać, co to jest. Pewnie pomyślał, że go wrobiliśmy. - Pomachał do stworzenia.

Gdy Morton na pokaz kilkakrotnie otworzył i zamknął drzwi windy, Grosvenor zobaczył, że dziki płomień ustępuje z czarnych jak sadza oczu. Wreszcie Coeurl uznał lekcję za zakończoną i przeszedł do dużej sali z boku korytarza. Położył się na wyścielonej dywanem podłodze i spróbował uspokoić napięte do granic możliwości nerwy i mięśnie. Był zły, że dał po sobie poznać strach. Stracił w ten sposób przewagę: nie mógł już udawać łagodnej, spokojnej istoty. Jego siła z pewnością ich zaskoczyła i przeraziła. A to, niestety, oznaczało, że jego zadanie stało się podwójnie niebezpieczne. Zamierzał bowiem opanować statek, gdyż na planecie, z której przybyli obcy, zasoby id musiały być niewyczerpane.

¹ Nexus (łac.) - splot, powiązanie (przyp. tłum.).

Coeurl nie spuszczał z oka dwóch ludzi zajętych usuwaniem gruzu sprzed metalowych wrót starej, olbrzymiej budowli. Członkowie załogi posilili się, po czym założywszy kombinezony opuścili statek i teraz kręcili się po całej okolicy, pojedynczo i grupkami. Widocznie nadal badali wymarłe miasto.

Jego myśli zaprzętało już tylko jedno: jedzenie. Pragnienie świeżego id przyprawiało go o fizyczny ból, mięśnie mu drżały, pałał żądzą wyruszenia w pościg za istotami, które zagłębiły się w ruiny. Jedna z nich poszła tam zupełnie sama.

Podczas lunchu ludzie zaproponowali Coeurlowi własną żywność, która jednak nie miała dla niego żadnej wartości. Najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy z tego, że karmi się żywymi stworzeniami; id to coś więcej niż substancja odżywcza - to substancja o określonych własnościach i można ją uzyskać wyłącznie z tkanek, które wciąż pulsują życiem.

Upłynęło dziesięć minut. Coeurl wciąż się powstrzymywał. Leżał tylko i patrzył, świadomy, że wiedząc jego obecności. Wejście do budynku blokował ogromny głaz, więc sprowadzono ze statku metalową maszynę. Coeurl bacznie obserwował wszystkie posunięcia ludzi, toteż mimo szarpiącego mu wnętrza głodu nie uszło jego uwagi, jak obsługuje się maszynę, i jak proste jest jej działanie.

Wiedział czego się spodziewać, gdy aparatura plunęła ogniem, który wżarł się w skałę, ale z rozmysłem podskoczył i zawarczał, udając strach.

Grosvenor śledził rozwój wydarzeń z pokładu małej kapsuły patrolowej. Sam wziął na siebie obowiązek ciągłego obserwowania Coeurla kiedy okazało się, że nie ma nic do roboty, bo nikt z „Gwiezdnego Ogara” nie potrzebuje pomocy jedyne neksjalisty w załodze.

Po usunięciu ostatniej przeszkody drzwi zostały otwarte i Mor-ton wszedł do środka w towarzystwie któregoś z naukowców. Grosvenor śledził ich rozmowę dzięki słuchawkom.

- Niezła rzeźnia - odezwał się nieznajomy. - Musieli toczyć wojnę. Widać, do czego służyły im te wszystkie maszyny, ale to sprawa drugorzędna. Bardziej interesuje mnie jak się nimi kierowało i jak działały.

- Chyba niezupełnie rozumiem, o co panu chodzi - przyznał się Morton.

- To proste. Do tej pory udało się nam znaleźć jedynie narzędzia. Ale i tak cały sprzęt, czy to broń, czy też bardziej niewinne instrumenty, wygląda tak samo: wszystkie zawierają przetworniki odbierające energię, zmieniające jej postać i umożliwiające jej wykorzystanie. Ale gdzie były źródła tej energii? Mam nadzieję, że znajdziemy jakieś informacje w bibliotekach. Co takiego mogło się stać, że padła tak rozwinięta cywilizacja?

- Tu Siedel - odezwał się psycholog. - Słyszałem pańskie pytanie, panie Pennons. Zwykle są dwie przyczyny wyludnienia zamieszkałych terenów: głód albo wojna.

Grosvenor ucieszył się, że Siedel użył nazwiska swojego rozmówcy; kolejny zidentyfikowany głos w kolekcji. Pennons był naczelnym inżynierem na statku.

- Ależ, drogi panie psychologu - sprzeciwił się Pennons. - Nauka powinna była umożliwić im rozwiązanie kłopotów z wyżywieniem, przynajmniej w wypadku niewielkiej populacji. A nawet jeśli im się nie udało, to czemu nie wyruszyli w kosmos w poszukiwaniu pożywienia?

- Niech pan spyta Gunliego Lestera - doradził Morton. - Już przed lądowaniem wysnuł teorię na ten temat. Astronom natychmiast skorzystał z okazji.

- Na razie czeka mnie jeszcze weryfikacja wszystkich danych, ale jedna z nich, musicie panowie to przyznać, ma szczególną wagę. Znajdujemy się w opustoszałym świecie, i jest to jedyna planeta tego żalosego słońca. W układzie nie ma nic poza nią, ani księżycy, ani nawet pasa asteroid. A ponieważ

najbliższy układ gwiazdny znajduje się w odległości dziewięciuset lat świetlnych, dominująca na planecie rasa musiałaby od razu rozwiązać zagadnienie lotów międzygwiazdnych. Proszą sobie natomiast przypomnieć, jak wolno u nas następował postęp w tej dziedzinie. Zaczęliśmy od Księżyca, później przyszła kolej na planety. Sukces rodził sukces i wreszcie, po wielu latach, poleciliśmy do najbliższej gwiazdy. A potem doczekaliśmy się napędu grawitacyjnego i mogliśmy zacząć podróże po galaktyce. Dlatego też sądzę, że żadna rasa nie potrafiłaby wynaleźć napędu umożliwiającego loty międzygwiazdne bez uprzedniego doświadczenia z lotami wewnątrzukładowymi.

Posypały się dalsze komentarze, ale Grosvenor już nie słuchał. Rozejrzał się w poszukiwaniu wielkiego kota, który zniknął ze swojego punktu obserwacyjnego. Zaklął pod nosem zły, że pozwolił sobie na moment dekoncentracji, po czym zatoczył koło nad terenem, gdzie prowadzono badania Bez skutku jednak: panowało zamieszanie, wszędzie piętrzyły się zasłaniające widok budynki i sterty gruzu. Wylądował i zagadnął kilku zapracowanych techników, ale pamiętali tylko, że ostami raz widzieli stwora „jakieś dwadzieścia minut temu”. Niezadowolony wrócił do stateczku i wzniósł się ponad miasto.

Chwilę wcześniej Coeurl opuścił swoje stanowisko i, kryjąc się za gmachami i nierównościami terenu, zaczął przemykać od jednej grupy ludzi do drugiej, nerwowo i szybko, jak kłębek czystej energii. W pewnej chwili drogę zajechał mu niewielki pojazd, a zamontowany na nim aparat bzyknął i zrobił mu zdjęcie. Obok, na skalistym kopcu, potężna maszyna wiertnicza zaczynała właśnie wgryzać się w grunt. W umyśle Coeurla rejestrowane kątem oka obrazy zlały się w rozmazaną smugę; interesował go tylko samotny człowiek, który zniknął w ruinach miasta.

Nie potrafił się już dłużej kontrolować. Na pysk wystąpiła mu piana. Kiedy uznał, że nikt go nie obserwuje, skoczył za kamienny nasyp i rzucił się biegiem. Sadził wielkimi susami, niemal szybując nad ziemią. Zapomniał o wszystkim, co nie wiązało się bezpośrednio z celem polowania, jakby ktoś magiczną szczotką wyczyścił mu umysł. Mknął opustoszałymi ulicami, pędził na skróty przez dziury ziejące w osłabionych upływem czasu murach, i przez korytarze rozsypujących się domów. Wreszcie, gdy włoski czuciowe w uszach zarejestrowały wibracje id, zwolnił i posuwał się naprzód na ugiętych łapach.

Zatrzymał się i wyjrzał zza kopca pokruszonych kamieni. Dwu-noga istota stała przed otworem, który kiedyś musiał być oknem, i zaglądała do mrocznego, rozświetlanego tylko promieniem latarki wnętrza. Potem rozległo się pstryknięcie, latarka zgasła, a masywnie zbudowany mężczyzna oddalił się sprężystym krokiem, czujnie rozglądając się na boki. Coeurlowi nie podobała się ta jego czujność - sugerowała możliwość błyskawicznej reakcji na zagrożenie i zwiastowała kłopoty.

Począł, aż człowiek zniknie za rogiem, a potem wyskoczył z ukrycia i pobiegł. Miał prosty plan. Jak duch wśliznął się w boczną uliczkę i przemknął do najbliższej przecznicy. Nie zwalniając kroku skręcił, jednym skokiem pokonał odkrytą przestrzeń i na brzuchu wczołgał się między budynek i wielką stertę gruzu. Poniżej, przed sobą, miał ślepą alejkę prowadzącą między dwiema podłużnymi hałdami kamieni, która kończyła się dokładnie pod jego nową kryjówką.

W decydującym momencie chyba za bardzo się pospieszył. Kiedy człowiek doszedł do miejsca zasadzki, spod łap Coeurla posypała się strużka piasku i drobnych kamyków. Mężczyzna natychmiast zadarł głowę. Przez jego twarz przebiegł grymas i człowiek sięgnął po broń.

Coeurl uderzył z całej siły w błyszczący, przezroczysty hełm. Rozległ się dźwięk rozdieranego metalu. Trysnęła krew. Człowiek zgiął się, skurczył w sobie jak składany teleskopowo pręt. Przez krótką chwilę jego kości i mięśnie w niewytłumaczalny sposób utrzymywały go jeszcze w pozycji stojącej, po czym runął na ziemię przy wtórze metalicznego łoskotu próżniowego skafandra.

Jednym błyskawicznym skokiem Coeurl spadł na ofiarę, natychmiast aktywując pole przeciwdziałające uwolnieniu id do krwiobiegu. Zadał kolejny cios; trzasnęły kości, jęknął metal, strzępy mięsa rozbryzwały się na wszystkie strony. Zanurzył pysk w ciepłej krwi, a przyssawki na mackach zaczęły wydobywać id z komórek umierającego ciała. Pogrążył się w tym cudownym zajęciu bez reszty. Jednak nie minęły nawet trzy minuty, gdy kątem oka zauważył jakiś ruch. Od zachodu nadlatywał statek patrolowy. Na ułamek sekundy Coeurl zamarł w bezruchu, ale zaraz płynnym ruchem skrył się za kamiennym kopcem.

Patrolowiec przez chwilę leniwie kołysał się niedaleko jego kryjówki, a potem zaczął zataczać koła. Zanosił się na to, że niebawem go odkryje, więc Coeurl, choć wściekły, że przerwano mu żerowanie, porzucił zdobycz i zawrócił w stronę srebrzystego statku bazy. Pędził jak zwierzę umykające przed śmiertelnym niebezpieczeństwem

I zwolnił dopiero na widok pierwszej grupy robotników. Ostrożnie podszedł bliżej i, korzystając z faktu, że nikt nie zwraca na niego uwagi, przycupnął nieopodal.

Nie mogąc znaleźć Coeurla, Grosvenor coraz bardziej się niecierpliwił. Miasto było zbyt rozległe; nie sądził, że napotka aż tyle ruin, aż tyle potencjalnych kryjówek dla stwora. W końcu postanowił wrócić na „Gwiezdnego Ogara”. Poczuł niekłamaną ulgę, gdy dostrzegł wielkiego kota wygrzewającego się na słońcu. Wylądował w dogodnym punkcie obserwacyjnym, nieco powyżej głazu, który upodobał sobie Coeurl.

Dwadzieścia minut później ze słuchawek dobiegła mrożąca krew w żyłach wiadomość, że któraś z przeszukujących miasto grup natknęła się na zmasakrowane zwłoki doktora Jarveya, jednego z chemików.

Grosvenor udał się we wskazanym kierunku i posadził kapsułę na miejscu wypadku. Niemal od razu zauważył, że Morton nie uczestniczy w oględzinach.

- Sprowadźcie szczątki na statek - ponuro polecił koordynator przez radio.

Wokół zwłok zebrali się przyjaciele Jarveya, zdenerwowani i wściekli. Grosvenor poczuł, jak na widok jatki żołądek podchodzi mu do gardła.

- Psiakrew, że też musiał iść sam! - rzucił Kent zduszonym głosem. Grosvenor przypomniał sobie, że kierownika działu chemicznego łączyła z najbliższym asystentem zażyła przyjaźń. Ktoś musiał coś powiedzieć na kanale zastrzeżonym dla chemii, bo Kent dodał:

- Tak, zrobimy sekcję.

Grosvenor uświadomił sobie, że jeśli nie uda mu się włączyć w dyskusję, szybko przestanie się orientować w sytuacji. Złapał najbliższego stojącego mężczyznę za rękaw.

- Mogę się przez ciebie podłączyć do pasma chemików?

- Jasne.

Zaraz usłyszał czyjś drżący głos:

- Najgorsze, że to wygląda na bezsensowne morderstwo. Ciało jest rozsmarowane jak galaretka, ale chyba niczego nie brakuje.

- Zabójca zaatakował Jarveya i początkowo zamierzał go pożreć - wtrącił na kanale ogólnodostępnym biolog Smith, którego końska twarz wyglądała jeszcze smutniej niż zwykle. - Potem stwierdził, że ciało jest dla niego niejadalne. Tak jak ten kot: też nie tknął żarcia, które mu podsunęliśmy... - Smith na chwilę zamyślił się, po czym wolno kontynuował: - No właśnie. Przecież jest na tyle duży i silny, żeby łapami zabić Jarveya.

- Pewnie wszyscy na to wpadli - zauważył Morton, który najwyraźniej przysłuchiwał się dyskusji. - W końcu jest jedyną żywą istotą, na jaką się natknęliśmy, ale przecież nie możemy go zabić nie mając żadnego dowodu przeciw niemu.

- Poza tym cały czas kręcił się w pobliżu nas - dorzucił ktoś inny.

Zanim Grosvenor zdążył zabrać głos, na ogólnym kanale odezwał się Siedel.

- Morton, rozmawiałem tu z ludźmi i wszyscy mówili to samo: z pozoru wydaje im się, że ani na moment nie spuścili go z oka, ale jak ich przycisnąć, to przyznają, że na chwilę mógł się wymknąć. Sam miałem wrażenie, że ciągle jest tuż obok, a teraz, jak się nad tym zastanawiam, były takie okresy, nawet długie, po kilka minut, kiedy nikt go nie widział.

Grosvenor westchnął i postanowił się nie odzywać - po co, skoro ktoś inny przedstawił już jego poglądy na sprawę?

- Powtarzam, nie ma sensu niepotrzebnie ryzykować - przerwał milczenie rozżłoszczony Kent. - Podejrzewamy drania, więc zabijmy go zanim wyrządzi dalsze szkody.

- Korita, jest pan tam? - zapytał Morton.

- Tak, przy zwłokach.

- Rozglądał się pan trochę po mieście z Cranessym i Van Hornem. Jak pan sądzi, czy nasz kociak jest potomkiem tutejszej dominującej rasy?

Grosvenor dostrzegł archeologa za Smithem, otoczonego przez kolegów z działu.

- Panie koordynatorze - zaczął wysoki Japończyk, powoli z szacunkiem. — Mamy tu do rozwikłania pewien sekret. Panowie, proszę tylko spojrzeć na ten majestatyczny krajobraz, na tutejszą architekturę. Mieszkańcy planety zbudowali miasto, ale pozostali w bliskim związku z ziemią. Budynki nie są po prostu przyozdobione, lecz ozdobne same w sobie: oto odpowiednik doryckiej kolumny, tam piramida egipska, tu znów gotycka katedra, strzelająca wprost w niebo, żarliwa, potężna. Nie ulega wątpliwości, że ten pusty świat zajmował szczególne miejsce w sercach mieszkańców, był dla nich tym, czym dla nas Matka Ziemia. Kręte uliczki dodatkowo podkreślają ten efekt. Maszyny, które znaleźliśmy, dowodzą, że znali się na matematyce, przede wszystkim jednak byli artystami. Dlatego też nie budowali wyrafinowanych i zgodnych z prawdami geometrii metropolii. Z nieregularnego, niematematycznego planu miasta przebija prawdziwa artystyczna swoboda, głęboka radość tworzenia, poczucie prawości, boska wiara we własną, wewnętrzną słuszność. To nie była jakaś umęczona wiekami istnienia, dekadenska cywilizacja, lecz młoda, pełna życia kultura, silna i pewna siebie. I w takiej chwili przestała istnieć, tak jakby przegrała własną bitwę pod Tours, po której to upadła starożytna cywilizacja islamska. Albo jakby jednym skokiem pokonała stulecia rozwoju i osiągnęła stadium wojujących państw.

Nigdzie jednak we wszechświecie nie zachowała się choćby najmniejsza wzmianka o jakiegokolwiek kulturze, której udziałem stał się tak gwałtowny rozwój; przeciwnie, zawsze mamy do czynienia z powolnym procesem. Zawsze zaczyna się od bezlitosnego zakwestionowania wszystkiego, co dotąd uważano za święte. Autorytety padają, nie podawane dotąd w wątpliwość sądy nie wytrzymują konfrontacji z okrutnymi pytaniami ścisłych, analitycznych umysłów. Człowiek staje się niepoprawnym sceptykiem. Otóż moim zdaniem tutejsza cywilizacja runęła w gruzy w szczytowym momencie rozwoju, co rodzi określone skutki natury socjologicznej: nastąpił zanik wszelkiej moralności, upadek ideałów, a ich miejsce zajęło bestialskie okrucieństwo i obojętność wobec śmierci. Jeżeli ten... Jeżeli kot jest potomkiem takiej właśnie rasy, należy się spodziewać, że będzie przebiegłym złodziejem i mordercą, który z zimną krwią poderżnąłby gardło własnemu bratu, gdyby miało mu to przynieść korzyść.

- Skończ pan z tym wykładem! - przerwał ostro Kent. - Panie koordynatorze, chętnie wykonam wyrok.

- O nie - wtrącił się Smith. - Panie Morton proszę posłuchać, na razie nie tkniecie kota palcem, nawet jeśli zabił Jarveya. Dla biologa to prawdziwy skarb.

Kent i Smith patrzyli sobie w oczy, nie kryjąc wściekłości.

- Kent, mój drogi, rozumiem, że chemicy najchętniej upakowaliby kociaka do retort i przyrządzili ciekawe odczynniki z jego krwi i mięsa - ciągnął wolno Smith. - Z przykrością więc informuję cię, że trochę się zapędziłeś. W dziale biologicznym potrzebujemy go żywego, nie martwego, a poza tym mam wrażenie, że i fizycy chcieliby się z nim bliżej zapoznać. Wygląda więc na to, że jesteś ostatni na liście i dobrze by było, gdybyś zaczął oswajać się z tą myślą. Nie dostaniesz go prędzej, niż za rok.

- W tej sprawie nie przyjmuję naukowego punktu widzenia - odparł twardo Kent.

- A powinieneś. Zwłaszcza teraz, gdy Jarveyowi już nie można pomóc.

- Jestem przede wszystkim człowiekiem, a dopiero potem naukowcem.

- I byłbyś gotów z powodów emocjonalnych zniszczyć tak cenny okaz?

- Zabiłbym tego potwora, bo stanowi zagrożenie. Nie możemy ryzykować dalszych ofiar.

- Konta, skłaniam się, ku przyjęciu pańskiej hipotezy jako podstawy do dalszych dociekań - z namysłem odezwał się Morton, przerywając kłótnię. - Mam tylko jedno pytanie. Czy jest możliwe, by tutejsza cywilizacja była na tej planecie tworem późniejszym niż nasza w skolonizowanym przez nas wszechświecie?

- Bez wątplenia - odrzekł Japończyk. - Całkiem możliwe, że mamy do czynienia z przedstawicielem którejś kolejnej kultury, jaka narodziła się w tym świecie. Nasza natomiast, o ile ustalenia naukowców są słuszne, jest ósmą cywilizacją rozkwitłą na Ziemi. Każda powstawała, rzecz jasna, na gruzach poprzedniczki.

- A w takiej sytuacji kociak nie powinien zdawać sobie sprawy z naszego sceptycyzmu, który każe nam podejrzewać go o morderstwo, prawda?

- Owszem, to dla niego najprawdopodobniej czysta magia. Morton roześmiał się ponuro.

- W porządku, Smith - powiedział. - Kotek będzie żył, a skoro wiemy do czego jest zdolny, dalsze ewentualne nieszczęścia wynikną wyłącznie z braku ostrożności. Oczywiście możemy się mylić; tak jak Siedel, ja również mam wrażenie, że kociak cały czas był w pobliżu i kto wie, czy teraz nie krzywdzimy go naszymi oskarżeniami. Niewykluczone, że są tu jeszcze inne niebezpieczne stwory. Kent, co zamierza pan zrobić z ciałem Jarveya? - zapytał po krótkiej przerwie.

- Na razie nie będzie pogrzebu - odparł sztywno naczelny chemik. - Przeklęty potwór potrzebował czegoś z jego ciała. Niby niczego nie brakuje, ale z pewnością to tylko pozory. Zamierzam dowiedzieć się całej prawdy i udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że to on go zabił.

Po powrocie na statek Elliott Grosvenor udał się do swojej pracowni. Za drzwiami z tabliczką „Neksjalizm” znajdowało się pięć pokoi, zajmujących łącznie przestrzeń o wymiarach dwanaście na dwadzieścia cztery metry i wyposażonych z rządowych pieniędzy w niemal komplet sprzętu, o jaki prosiła Fundacja Neksjalizmu. Skutkiem tego prywatne zacisze Grosvenora stało się raczej ciasne.

Usiadł przy biurku i zabrał się do przygotowywania raportu dla Mortona. Przeanalizował prawdopodobną budowę fizyczną kotowatego mieszkańca zimnej, pustej planety; zwrócił przy tym uwagę, że stwora nie wolno traktować wyłącznie jako „skarbu dla biologa”. Takie podejście może sprawić, że ludzie zapomną, iż bestia kieruje się własnymi popędami i potrzebami, wynikającymi z odmiennego metabolizmu.

- Zgromadziłem już wystarczająco wiele faktów - mówił do dyktafonu - by wydać to, co my, neksjaliści, nazywamy „Deklaracją zamierzeń”.

Opracowanie dokumentu zajęło mu kilka godzin. Udał się następnie do sekcji stenograficznej z prośbą o natychmiastowe przepisanie i, jako kierownik działu, został obsłużony bez zwłoki. Dwie godziny później dostarczył skończony raport do biura koordynatora i od podsekretarza odebrał pokwitowanie. W poczuciu dobrze spełnionego obowiązku wpadł do kantyny na spóźniony obiad, a przy okazji wypytał kelnera czy nie wie, gdzie podziewa się olbrzymi kot. Kelner nie był wprawdzie pewien, ale najprawdopodobniej należało stwora szukać na górze, w głównej bibliotece.

Przez godzinę Grosvenor siedział w bibliotece i obserwował Coeurla który, wyciągnięty wygodnie na grubym dywanie, nawet się nie poruszył. Wreszcie jedne drzwi otworzyły się i do środka weszło dwóch ludzi, niosąc dużą miskę. Zaraz po nich zjawił się Kent z rozpalonymi podnieceniem oczyma. Wyszedł na środek pomieszczenia i zmęczonym, choć ostrym głosem zakomunikował:

- Proszę państwa o uwagę.

Mimo że jego słowa odnosiły się do wszystkich obecnych, zwrócił się twarzą do grupy najważniejszych naukowców, siedzących w specjalnie wydzielonej sekcji biblioteki. Grosvenor wstał, żeby *zajrzeć* do miski. Okazało się, że zawiera brunatną papkę.

Smith, naczelny biolog, również podniósł się z krzesła.

- Zaraz, zaraz, Kent. W innej sytuacji nie odważyłbym się kwestionować tego, co robisz, ale wyglądasz fatalnie. Jesteś przemęczony. Masz od Mortona pozwolenie na ten eksperyment?

Kent odwrócił się wolno, Grosvenor zaś, który zdążył już z powrotem usiąść, zauważył, że Smith ujął prawdę w nader łagodne słowa. Szef działu chemicznego miał sińce pod oczami i zapadnięte policzki.

- Prosiłem go, żeby tu przyszedł - odparł. - Ale odmówił. Uważa, że jeżeli ten zwierzak z własnej woli zrobi to, o co mi chodzi, nikomu swoim postępowaniem nie wyrządę krzywdy.

- Co tam masz? Co jest w misce?

- Zidentyfikowałem brakujący w zwłokach pierwiastek. To potas. W ciele Jarveya zostały dwie trzecie... no, może trzy czwarte jego normalnej ilości. Wiecie, że w komórkach ludzkiego ciała potas jest związany z dużą cząsteczką białka, co pozwala przechowywać ładunek elektryczny. Ma to podstawowe znaczenie dla podtrzymania życia. Zazwyczaj po śmierci potas z komórek zostaje uwolniony do krwiobiegu i zatrąwa krew. Udało mi się wykazać, że potas, którego brakuje w ciele Jarveya, nie trafił do jego krwi. Nie jestem jeszcze do końca pewien, co to znaczy, ale tego właśnie zamierzam się dowiedzieć.

- A co z tą miską? To jedzenie? - przerwał mu ktoś. Wszyscy obecni w bibliotece odkładali przeglądane książki i czasopisma, z zainteresowaniem przysłuchując się dyskusji.

- Żywe komórki z potasem w naturalnej postaci. Umiemy sztucznie utrzymać je w odpowiednim stanie. Może nie chciał naszego jedzenia, którym częstowaliśmy go podczas lunchu właśnie dlatego, że zawarty w nim potas był dla niego bezużyteczny. Mam nadzieję, że teraz poczuje zapach, czy wykorzysta inny zmysł, którego używa zamiast węchu...

- On chyba reaguje na wibracje - wtrącił Gourlay. - Czasem, kiedy porusza tymi czułkami w uszach, odbieram wyraźną, silną falą zakłóceń, która natychmiast zanika. Chyba szybko przesuwa się w strefę niższych albo wyższych częstotliwości. Najprawdopodobniej może je dowolnie kontrolować, chociaż na razie zakładam, że sam ruch włosków nie generuje fal.

Wyraźnie zniecierpliwiony Kent dał Gourlayowi skończyć, po czym mówił dalej.

- Dobrze, w takim razie wyczuwa wibracje. Dowiemy się, jak reaguje na odbierane fale, kiedy popatrzymy, co robi. Co pan o tym sądzi, Smith? - zapytał uprzejmie na koniec.

- Pański plan ma trzy słabe punkty - odrzekł biolog. - Po pierwsze zakłada pan, że to tylko zwykłe zwierzę. Po drugie, czy nie przyszło panu do głowy, że po zabiciu Jarveya - o ile rzeczywiście to zrobił - kociak może nie być głodny? A poza tym sądzi pan, że nie wzbudzi jego podejrzeń, prawda? Mniejsza z tym; proszę podać mu miskę. Może my dowiemy się czegoś z jego zachowania.

Przygotowany przez Kenta eksperyment wyglądał jednak sensownie, mimo oczywistych emocji, jakie kierowały jego twórcą. Grosvenor analizował sytuację. Stworzenie udowodniło już, że pod wpływem nagłych bodźców potrafi reagować bardzo gwałtownie; nie wolno było zapominać o jego zachowaniu w windzie.

Coeurl patrzył czujnie na mężczyzn, którzy postawili przed nim naczynie i szybko się wycofali. Kent postąpił krok naprzód, a Coeurl rozpoznał w nim osobnika, który rankiem mierzył do niego z broni. Przez chwilę obserwował dwunogą istotę, a później skoncentrował się na misce. Włoski czuciowe rozpoznały emanację id, choć słabiutką i tak niewyraźną, że mógłby jej nie zauważyć, gdyby nie poświęcił jej całej uwagi. W dodatku id było utrzymywane w stanie zawieszenia w sposób, który czynił je niemal bezużytecznym. Natężenie wibracji nie pozostawiało jednak wątpliwości co do intencji ludzi. Coeurl z warknięciem poderwał się z dywanu, zaopatrzoną w przyssawki macką chwycił naczynie i wytrząsnął jego zawartość mężczyźnie prosto w twarz. Kent krzyknął i cofnął się.

Olbrzymi kot błyskawicznie odrzucił miskę na bok i grubą jak okrętowa cuma macką oplótł przeklinającego mężczyznę w talii. Nie zawracał sobie głowy zwisającą mu z pasa bronią - wyczuł, że jest to zwykły pistolet wibracyjny z atomowym zasilaniem, a nie dezintegrator. Cisnął wijącego się Kenta w kąt, i nagle syknął ze złości: powinien był go rozbroić! Teraz będzie musiał ujawnić swoje prawdziwe możliwości.

Wściekły Kent jedną ręką otarł papkę z twarzy, drugą zaś sięgnął po broń. Wycelował i z lufy strzelił wąski snop oślepiająco białego światła, trafiając wprost w masywny łeb stwora. Włoski w u-szach Coeurla zahuczały cicho, automatycznie pochłaniając energię strzału; czarne oczy zwęziły się na widok pozostałych mężczyzn, sięgających po pistolety wibracyjne.

- Spokój! - rozkazał stojący przy drzwiach Grosvenor. - Jeżeli zachowamy się jak banda histeryków, wszyscy będziemy tego żałować.

Kent wyłączył broń i przez ramię rzucił mu zdumione Spojrzenie. Coeurl przykucnął i wpatrywał się w chemika, zły, że ludzie dowiedzieli się o jego umiejętności kontrolowania przepływu energii poza obrębem własnego ciała. Nie pozostało mu nic innego, jak zachować czujność i czekać, co się wydarzy dalej.

Kent jeszcze raz popatrzył na Grosvenora. Zmarszczył brwi.

- A co ty sobie do diabła wyobrażasz? Kim jesteś, żeby wydawać rozkazy?

Grosvenor nie odpowiedział. Jego rola się skończyła. Zdiagnozował sytuację kryzysową i wypowiedział właściwe słowa odpowiednim, nie znoszącym sprzeciwu tonem. Fakt, że ludzie, którzy go posłuchali, kwestionowali teraz jego autorytet, był bez znaczenia. Kryzys został zażegnany i nie miało to nic wspólnego z kwestią winy czy niewinności Coeurla. Bez względu na wyniki jego interwencji, decyzję o dalszym losie stwora powinno podjąć grono uprawnionych do tego osób, nie zaś jeden człowiek.

- Kent, nie wierzę, żebyś faktycznie stracił panowanie nad sobą -zmitygował chemika Siedel. — Przeciwnie, usiłowałeś z rozmysłem zabić kodaka, wiedząc, że Morton kazał zachować go przy życiu. Powiniennem złożyć raport w twojej sprawie i nalegać, żebyś poniósł konsekwencje. Wiesz co mam na myśli: utratę pozycji w dziale i zakaz kandydowania na którekolwiek z dwunastu obieralnych stanowisk.

W grupie ludzi, których Grosvenor zidentyfikował jako popleczników Kenta, rozległy się niezadowolone pomruki.

- Nie wygłupiaj się, Siedel - rzekł jeden z nich. Drugi, bardziej cyniczny, zauważył:

- Weź pod uwagę, że są i tacy, którzy będą świadczyć na korzyść Kenta.

Główny chemik popatrzył ponuro w twarze zebranych.

- Korita miał rację mówiąc, że nasza cywilizacja osiągnęła wysoki stopień rozwoju. Więcej, popada w dekadencję. Na Boga, czy naprawdę nie ma wśród was nikogo, kto byłby w stanie dostrzec okropność tej sytuacji? - Kent zapalał się coraz bardziej. - Jarvey zginął zaledwie przed paroma godzinami, a ten stwór, o którym wszyscy wiemy, że jest winien jego śmierci, leży sobie tutaj spokojnie i planuje następne morderstwo. Morderstwo, którego ofiara prawdopodobnie znajduje się w tym pokoju. Co z nas za ludzie? Idioci, cynicy czy hieny cmentarne? A może na tym etapie rozwoju cywilizacji tak głęboko pograżyliśmy się już w odmętach zdrowego rozsądku, że potrafimy bez śladu emocji dyskutować o zabójstwie? -Wbił wzrok w Coeurla. - Morton miał rację. To nie jest zwierzę, to szatan z najgłębszego kręgu piekła na tej zakazanej planecie.

- Nie próbuj z nami takich melodramatycznych zagrań - ostrzegł go Siedel. - Twoja analiza sytuacji jest niestabilna pod względem psychologicznym. Nie jesteśmy ani hienami cmentarnymi, ani cynikami, lecz naukowcami, którzy zamierzają zbadać tego oto kociaka. Teraz, kiedy w/budził nasze podejrzenia, wątpię, żeby mógł nas jeszcze zaskoczyć. Poza tym mamy tysiakkrotną przewagę liczebną -rozejrzał się po pokoju. - Ponieważ nie ma z nami Mortona, proponuję to przegłosować. Czy wszyscy się ze mną zgadzają?

- Niezupełnie, Siedel - odpowiedział Smith. Psycholog nie ukrywał zaskoczenia, ale szef działu biologicznego mówił dalej. - W tym zamieszaniu chyba nikt nie zwrócił uwagi na to, że Kent trafił tę istotę w głowę, ale nie wyrządził jej najmniejszej krzywdy!

Siedel powoli przeniósł wzrok na Coeurla, po czym wrócił spojrzeniem do Smitha.

- Jest pan tego pewien? Rzeczywiście, wszystko wydarzyło się tak szybko... Kiedy kociakowi się nic nie stało doszedłem do wniosku, że Kent po prostu spudłował.

- Strzelił mu prosto w pysk. Oczywiście, z pistoletu wibracyjnego nawet człowieka nie zabije się od razu, ale można go zranić. A po kotku nie znać ani śladu obrażeń, nawet się nie trzęsie. Nie twierdzę, że ten fakt wszystko wyjaśnia, ale w obliczu naszych wątpliwości...

- Może jego skóra jest dobrym izolatorem - zauważył Siedel.

- To możliwe, ale ponieważ mamy pewne zastrzeżenia, uważam, że należy zwrócić się do Mortona z prośbą o zamknięcie kotka w klatce.

Psycholog zmarszczył brwi, ale to Kent odpowiedział Smithowi:

- Nareszcie mówi pan do rzeczy.

- To znaczy, że zniknięcie go w klatce zadowoli pana, czy tek? -wtrącił szybko Siedel.

- Tak - odparł niechętnie Kent. - Jeżeli nie powstrzyma go dziesięć centymetrów mikrostałi, to lepiej od razu oddajmy mu statek.

Stojący z tyłu Grosvenor nie brał udziału w dyskusji. Kwestię trzymania Coeurla w zamknięciu poruszył już w raporcie dla Mortona i uznał klatkę za niewystarczającą, przede wszystkim z powodu mechanizmu zamykającego.

Siedel podszedł do zainstalowanego w ścianie komunikatora, ściszone głosem zamienił z kimś kilka słów, po czym wrócił do zebranych.

- Koordynator wyraził zgodę pod warunkiem, że uda nam się kotka zwabić do klatki bez użycia siły. Jeżeli będzie to niemożliwe, mamy zamknąć go w pomieszczeniu, w którym akurat się znajduje. Co o tym sądzicie?

- Do klatki! - zakrzyknęli chórem pozostali. Grosvenor odczekał chwilę aż zapadnie cisza, a potem zaproponował:

- Na noc można go wypuścić ze statku. Daleko nie odejdzie. Większość naukowców zignorowała te słowa, tylko Kent spojrzał prosto na niego.

- Coś nie może się pan zdecydować. Najpierw ratuje mu pan życie, a zaraz potem uznaje, że jest niebezpieczny.

- Sam uratował sobie życie - odciął się Grosvenor. Kent odwrócił się i wzruszył ramionami.

- Zamkniemy go w klatce, bo to morderca.

- Skoro podjęliśmy już decyzję, należałoby się zastanowić, jak się do tego zabierzemy? - rzucił Siedel.

- Jesteście pewni, że ma trafić do klatki? - upewnił się Grosvenor. Nie oczekiwał odpowiedzi i nie pomylił się. Podszedł do Coeurla i dotknął najbliższej macki. Stwór podkurczył ją lekko, ale Grosvenor nie ustępował: złapał mocniej i drugą ręką pokazał na drzwi. Zwierzę wahało się jeszcze przez chwilę, ale wreszcie ruszyło we wskazanym kierunku.

- Trzeba to dobrze zgrać w czasie - krzyknął jeszcze nekshalista. - Przygotujcie się!

Chwilę później Coeurl, drepcząc posłusznie za Grosvenorem, znalazł się w kwadratowym pokoju o metalowych ścianach. W przeciwległej ścianie zobaczył kolejne drzwi, przez które przeszedł prowadzący go człowiek. Kiedy Coeurl ruszył za nim, wyjście zamknęło mu się przed nosem. W tym *samym* momencie zza pleców dobiegł go metaliczny szczęk. Okręcił się w miejscu, by stwierdzić, że i drzwi, przez które wszedł, zatrzasnęły się na głucho. Poczł przepływ energii, gdy zasuwa elektrycznie sterowanego zamka wśliznęła się na miejsce. Znalazł się w pułapce. Ograniczył się do wściekłego grymasu, zdając sobie sprawę z tego, że reaguje zupełnie inaczej niż poprzednio, gdy został zamknięty w małym pomieszczeniu. Od setek lat interesowało go wyłącznie zdobywanie pożywienia, teraz jednak w jego mózgu budziły się tysiące wspomnień z jeszcze wcześniejszej przeszłości. Jego ciało dysponowało mocami, z których dawno już nie korzystał. Przypominał sobie, co potrafi, a jego umysł automatycznie dopasowywał możliwości działania do obecnej sytuacji.

Coeurl przysiadł na masywnych tylnych łapach i korzystając z włosków czuciowych w uszach zbadał rodzaje energii w otoczeniu. Potem, zadowolony, położył się na podłodze. Co za głupcy!

Mniej więcej po godzinie usłyszał, jak jeden z mężczyzn -Smith - majstruje przy jakimś mechanizmie na suficie klatki. Spłoszony zerwał się na równe nogi. Przyszło mu na myśl, że błędnie ocenił ludzi i zaraz zostanie zglądzony, a liczył, że będzie miał więcej czasu i spokojnie przeprowadzi swój plan.

Zagrożenie wystraszyło go i gdy nagle wyczuł działanie promieniowania znacznie poniżej progu widzialności, przygotował swój system nerwowy na niebezpieczeństwo. Dopiero po kilkunastu sekundach zrozumiał co się dzieje: ktoś fotografował wewnątrz jego ciała.

Mężczyzna zniknął i do Coeurla docierały tylko odgłosy krzątających się gdzieś daleko ludzi, zajętych swoimi sprawami. Stopniowo hałasy cichły, a wielki kot cierpliwie czekał, aż statek usnie. W dawnych czasach, jeszcze przed osiągnięciem względnej nieśmiertelności, Coeurl również przesypiały noce; obserwując drzemiących w bibliotece ludzi przypominał sobie o tym zwyczaju.

Jeden dźwięk jednak nie zniknął. Długo po tym, jak na pokładzie zapanowała cisza, coeurl wyraźnie słyszał stukot dwóch par stóp, które rytmicznym krokiem przemierzały korytarz obok celi, oddalały się, po czym wracały. Niestety, strażnicy nie chodzili razem: najpierw klatkę mijał jeden, a potem jakieś dziesięć metrów za nim, przechodził drugi wartownik.

Coeurl przez długą chwilę słuchał i oceniał, ile czasu zajmuje strażnikom obchód. Wreszcie uznał, że już to wie i jeszcze raz odczekał, aż go miną, po czym przestawił zmysły z nasłuchu czynionych przez ludzi hałasów na znacznie szerszy zakres. Pulsujący ukrytą mocą stos atomowy w maszynowni budził w jego układzie nerwowym rytmiczne echa, prądnice buczały stłumioną pieśń czystej energii. Coeurl czuł, jak płynie ona przewodami w ścianie klatki i trafia do elektrycznego zamka. Zmusił swoje napięte, drżące ciało do absolutnego bezruchu, usiłując się dostroić do syczącego kłębowiska energii; włoski w uszach zadrżały, dopasowując się do zewnętrznego pola.

Rozległ się metaliczny szczęk i Coeurl delikatnym pchnięciem otworzył drzwi. Wyszedł na korytarz. Przez chwilę na powrót załapała go fala pogardy dla ludzi i miłe uczucie wyższości, kiedy rozmyślał o głupcach, którzy chcieli go przechytrzyć. Nagle uświadomił sobie, że na planecie żyją jeszcze inne coeurli. Myśl ta była dziwna i zgoła nieoczekiwana - dotąd nienawidził ich przecież i bezlitośnie tępił, teraz jednak rozumiał, że ta kurcząca się grupka to jego bracia. Gdyby dać im szansę na rozmnożenie się, nikt - a już z pewnością nie ci ludzie - nie mógłby się im oprzeć.

Pograżony w takich rozmyślaniach poczuł nagle brzemień własnych ograniczeń, samotności, potrzeby kontaktu z innymi coeurlami: jest sam, ma tysiąc przeciwników, a gra toczy się o dostęp do całej galaktyki. Niepohamowana, drapieżna ambicja pchała go ku gwiazdom. Jeżeli mu się nie uda, nie będzie miał drugiej szansy; w świecie, gdzie wciąż brakuje pożywienia nigdy nie zdoła zgłębić sekretu podróży kosmicznych. Nawet budowniczy nie zdołali się oderwać od macierzystej planety.

Przeszedł przez rozległy salon i wynurzył się w przylegającym do niego korytarzu. Przystanął przy drzwiach pierwszej kabiny. Miały elektryczny zamek, który bezszelestnie ustąpił. Coeurl wpadł do środka i rozszarpał gardło śpiącego w łóżku mężczyzny. Głowa przetoczyła się gwałtownie na bok, ciało drgnęło w przedśmiertnym skurczu. Emanacja id okazała się niemal zbyt silna, ale Coeurl zmusił się, by działać dalej.

Siedem kabin, siedmiu martwych ludzi.

Po cichu wrócił do klatki i zamknął za sobą drzwi. Pięknie zgrał to w czasie: strażnicy właśnie przechodzili obok, zajrzeli do środka przez audioskop i ruszyli dalej. Coeurl tymczasem wyruszył na kolejną wyprawę łowiecką, podczas której w ciągu kilku minut odwiedził dalsze cztery kabiny, po czym trafił do wspólnej sali, gdzie spało dwudziestu czterech ludzi. Mordował szybko, bo niedługo będzie musiał wrócić do klatki. Okazja zgładzenia tylu ofiar naraz trochę go zmieszała. Od z górą tysiąca lat zabijał wszystkie formy życia, na jakie udało mu się natknąć - i nawet na samym początku oznaczało to zaledwie jedno id co jakiś czas. Nigdy dotąd nie musiał się ograniczać w zabijaniu. Przeszedł przez pokój bezszelestnie jak olbrzymi kot, którym faktycznie był - cichy morderca, dla którego radość z zabijania kończy się dopiero z chwilą śmierci ostatniej ofiary.

Nagle zdał sobie sprawę, że zbyt długo przebywa poza klatką i aż przypadł do ziemi. Zamierzał całą noc poświęcić na wymordowanie załogi, etapami, tak żeby po każdej fali zabójstw wrócić do więzienia i nie dać nic poznać strażnikom. A teraz możliwość opanowania ogromnego statku podczas jednego okresu snu stanęła pod znakiem zapytania.

Coeurl zebrał resztki rozsądku kołaczące mu się w głębi umysłu i pędem, nie bacząc na hałas, pomknął do salonu. Wypadł na korytarz spodziewając się, że przywitają go strumienie energii, z którymi sobie nie poradzi.

Strażnicy stali obok siebie - bez wątpienia właśnie odkryli otwarte drzwi. Równocześnie podnieśli wzrok, na ułamek sekundy sparaliżowani koszmarnym widokiem migających pazurów, kłębowiska macek, łba wściekłego kota i przepelnionych nienawiścią oczu. Jeden z mężczyzn sięgnął po blaster, ale było już zdecydowanie za późno. Drugi stał jak wrośnięty w ziemię, niezdolny się poruszyć w obliczu nieuniknionej zagłady. Zdołał tylko krzyknąć, jego przeraźliwy wrzask poniósł się echem po statku i obudził wszystkich śpiących, po czym przeszedł w makabryczny charkot, gdy Coeurl jednym ruchem cisnął oboma ciałami przez całą długość korytarza. Nie chciał, żeby znaleziono je pod drzwiami celi. W tym pokładał całą nadzieję.

Wstrząśnięty, świadomy straszliwego błędu, niezdolny do rozsądnego rozumowania, wskoczył do klatki. Drzwi zamknęły się za nim z cichym stuknięciem, gdy prąd znów popłynął w zamku. Położył się na podłodze, udając że śpi. Po chwili usłyszał pospieszne kroki wielu ludzi i prowadzone podniesionymi głosami rozmowy. Zauważył, że ktoś włączył audioskop i zajrzał do celi. Najgorszy będzie moment, kiedy znajdą resztę ciała.

W głębi ducha przygotowywał się do stoczenia najtrudniejszej walki w życiu.

Siever nie żyje. - Grosvenor usłyszał głos Mortona, zupełnie pozbawiony wyrazu. - Co my bez niego zrobimy? I Brecken-ridge! I Coulter, i... To koszmar!

W korytarzu stłoczyło się mnóstwo ludzi i Grosvenor, który z kabiny miał dość daleko do klatki, stał w ostatnich rzędach zbiegowiska. Dwukrotnie próbował precyzyjnie się do przodu, ale został odepchnięty przez innych, którzy nawet sienie odwrócili, żeby spojrzeć, komu blokuje przejście. Wreszcie dał sobie spokój i zorientował się, że Morton znów zamierza zabrać głos. Koordynator popatrzył ponuro na zgromadzonych; jego wydatna szczęka rysowała się jeszcze wyraźniej niż zwykle.

- Jeśli ktoś ma choćby cień jakiegoś pomysłu co tu się stało, chętnie posłuchamy!

- Kosmiczny obłąd!

Grosvenor poczuł falę irytacji, wywołanej tą sugestią, pozbawioną znaczenia frazą, która nie wyszła z obiegu przez długie lata podróży międzygwiazdnych. Fakt, że żyjący w samotności, strachu i wiecznym napięciu astronauta wariowali, ale nie była to wydzielona, konkretna jednostka chorobowa. Długie podróże niosły ze sobą pewne niebezpieczeństwa natury emocjonalnej - między innymi dlatego znalazł się na pokładzie - ale wywołany osamotnieniem obłąd z pewnością do nich nie należał.

Morton się wahał. Nie ulegało wątpliwości, że on również uznał uwagę za bezużyteczną, ale nie był to najlepszy moment do prowadzenia kłótni. Ludzie byli wystraszeni i spięci; chcieli widzieć, że podejmuje się stosowne działania, chcieli poczuć się pewniej. Nieraz zdarzało się w takich sytuacjach, że kierownicy ekspedycji czy dowódcy wojskowi w jednej chwili tracili zaufanie podwładnych. Grosvenor miał wrażenie, że takie właśnie kwestie rozważa Morton. Przemawiały za tym jego ostrożne słowa:

- Zastanawialiśmy się nad tym - przyznał. - Doktor Eggert wraz z asystentami zbada wszystkie ciała; w tej chwili zresztą tym się właśnie zajmuje.

- Już jestem, Morton. - Tubalny baryton zadudnił tuż przy uchu Grosvenora. - Przepuście mnie!

Odwróciwszy się, neksjalista rozpoznał doktora Eggerta, przed którym tłum już się rozstępował. Eggert zanurzył się w ciżbie, a Grosvenor natychmiast wepchnął się za nim. Tak jak się spodziewał, ludzie brali go za asystenta doktora. Podeszli do Mortona.

- Słyszałem, co pan mówił, koordynatorze - odezwał się znowu Eggert. - I od razu mogę stwierdzić, że teoria kosmicznego obłąd tu nie pasuje. Tym ludziom rozszarpała gardła istota o sile dziesięciu mężczyzn. Nawet nie zdążyli krzyknąć. A gdzie jest nasz kot? - dorzucił po chwili milczenia.

Kierownik pokręcił głową.

- Kociaczek spaceruje po klatce, doktorze. Chętnie wysłucham, co eksperci mają do powiedzenia na jego temat. Czy możemy go podejrzewać? Klatkę budowano z myślą o czterech stworach kilka razy większych od niego. Trudno uwierzyć, żeby to była jego sprawka. Chyba że mamy tu do czynienia ze zjawiskami naukowymi, o jakich nam się jeszcze nie śniło.

- Morton, nie potrzeba nam więcej dowodów - zauważył smętnie Smith. - Przykro mi to mówić, bo wie pan, że najchętniej zachowałbym go przy życiu. Próbowałem jednak zrobić mu kilka zdjęć aparatem fluorograficznym. Nic na nich nie widać. Pamięta pan, co mówił Gourlay: ten potwór prawdopodobnie potrafi odbierać i wysyłać fale elektromagnetyczne dowolnej długości. Sposób, w jaki zneutralizował działanie pistoletu Kenta dowodzi, że w jakiś szczególny sposób oddziałuje na

energię.

- Co my tu właściwie mamy, do stu tysięcy diabłów? - jęknął ktoś z tłumu. - Skoro potrafi kontrolować przepływ energii i emitować ją na dowolnej długości fal, mógł załatwić nas wszystkich!

- Ale tego nie zrobił, więc najwyraźniej nie jest aż tak potężny - stwierdził Morton i zdecydowanym krokiem podszedł do tablicy mechanizmów sterowania klatką.

- Nie otworzy pan chyba tych drzwi! - krzyknął Kent sięgając po blaster.

- Nie, ale ten przełącznik pozwala puścić prąd w podłodze klatki i porazić znajdujące się w niej istoty. Zawsze wbudowuje się takie zabezpieczenie w klatki na żywe okazy.

Morton odblokował przełącznik i pstryknął nim. Przez chwilę płynął prąd o maksymalnym natężeniu, a potem z metalu strzeliły błękitne języki ognia i tablica bezpieczników nad głową koordynatora poczerwiała. Morton wyjął jeden z nich z oprawki i przyjrzał mu się marszcząc brwi.

- Dziwne. Nie powinny były się przepalić. - Pokręcił głową. - Cóż, teraz nie możemy ani zajrzeć do klatki, ani posłuchać, co się tam dzieje.

- Jeżeli potrafił przestawić elektryczny zamek i otworzyć drzwi, to pewnie zdawał sobie sprawę, co może mu grozić - powiedział Smith. - I kiedy pan zamknął obwód, był gotowy do natychmiastowej reakcji.

- Przynajmniej wiemy, że jest podatny na działanie naszych urządzeń - rzekł niewesoło Morton. - Bo musi neutralizować ich energię. Najważniejsze jednak, że trzymamy go w zamknięciu, za ścianami wykonanymi z dziesięciu centymetrów najtwardszej stali. W najgorszym wypadku otworzymy drzwi i potraktujemy go największym przenośnym blasterem. Na razie jednak spróbujemy doprowadzić prąd do wnętrza klatki za pomocą kabla telefluorowego.

Przerwał mu łoskot dobiegający ze stalowego więzienia. Coś ciężkiego uderzyło w ścianę, a po chwili rozległ się stłumiony stukot, jakby na podłogę spadało mnóstwo drobnych przedmiotów. Grosvenorowi dźwięki przywodziły na myśl osuwające się, kamieniste zbocze góry.

- Kociak wie, co zamierzamy zrobić - powiedział Smith do Mortona. - Założę się, że nieźle się wścieka. Zdaje sobie sprawę, jak głupio postąpił wracając do klatki.

Napięcie ustępowało. Ludzie zaczęli się nerwowo uśmiechać, ktoś nawet parsknął ponurym śmiechem, słysząc, jak Smith użala się nad losem stwora. Grosvenor nie wiedział, co o tym sądzić. Odgłosy w klatce budziły w nim lęk; słuch jest najbardziej zwodniczym ze zmysłów. Nie sposób było stwierdzić, co się wydarzyło, ani co w tej chwili się dzieje w klatce.

- Jedna rzecz mnie interesuje - odezwał się naczelny inżynier, Pennons. - Dlaczego kiedy rozległ się ten hałas, wskaźnik telefluorometru skoczył do maksymalnego poziomu? Patrzę na niego i tak się zastanawiam...

Zarówno w korytarzu, jak i w klatce zapadła cisza. Nagle w drzwiach za plecami Smitha powstało małe zamieszanie i pojawił się kapitan Leeth w towarzystwie dwóch umundurowanych żołnierzy.

- Chyba powinienem przejąć dowodzenie - oznajmił kapitan, żyłasty, pięćdziesięcioletni mężczyzna. - Wydaje mi się, że wśród naszych specjalistów istnieją pewne różnice zdań co do dalszych losów tego stworzenia. Czy mam rację?

- Konflikt został zażegnany. - Morton pokręcił głową. - Wszyscy uważamy, że należy go zabić. Kapitan Leeth skinął głową.

- Właśnie zamierzałem wydać taki rozkaz.' Sądzę, że zagraża bezpieczeństwu statku, a to moja działka. Zrobić miejsce! - polecił podnosząc głos. - Cofnąć się!

Opróżnienie korytarza zajęło dobrych kilka minut. Grosvenor odetchnął z ulgą. Gdyby stwór opuścił klatkę w czasie, gdy przednie szeregi nie mogły się szybko wycofać, jego ofiarą mogłoby paść mnóstwo ludzi. Niebezpieczeństwo nie przestało wprawdzie istnieć, ale sytuacja znalazła się

pod kontrolą.

- O rany! - krzyknął ktoś. - Statek się chyba poruszył! Grosvenor również odniósł wrażenie, jakby właśnie przeprowadzono trwający ułamek sekundy test silników. Potężny statek zadrżał.

- Pennons, kto jest w maszynowni? - zapytał ostro Leeth.

- Mój asystent z pomocnikami. - Naczelnny inżynier zbladł. - Nie wiem jak...

„Ogarem” znów szarpnęło, przechylił się na jedną stronę, jakby zaraz zamierzał się przewrócić. Potężna siła rzuciła Grosvenora na podłogę. Przez chwilę był oszołomiony, ale szybko, choć z trudem, przyszedł do siebie. Dookoła wszędzie leżeli pojękujący z bólu ludzie. Morton krzyknął coś, ale neksjalista nie rozumiał jego słów. Kapitan Leeth z wysiłkiem gramolił się na nogi, klnąc i mamrocząc pod nosem.

- Kto, do ciężkiej cholery, włączył silniki?

Przyspieszenie nie zmniejszało się. Przeciężenie musiało wynosić pięć, może nawet sześć g. Przekonany, że da sobie z nim radę, Grosvenor przewyciężył ból i wstał. Przysunął się do ściany i na najbliższym komunikatorze niezdarnie wystukał numer maszynowni, właściwie nie oczekując, że urządzenie okaże się sprawne. Zza pleców dobiegł go basowy okrzyk. Odwrócił się i zobaczył Mortona, który ponad jego ramieniem patrzył w ekran.

- To kociak! - krzyknął kierownik. - Dostał się do maszynowni. Lecimy w kosmos!

Nie skończył jeszcze zdania, gdy ekran poczerniał. Przeciężenie nie ustępowało. Grosvenor potykając się wszedł do salonu, pokonał dystans dzielący go od drzwi w przeciwległej ścianie i wyszedł na następny korytarz. Jeśli pamięć go nie myliła, gdzieś w pobliżu znajdował się schowek ze skafandrami próżniowymi. I rzeczywiście tak było ale gdy podszedł bliżej zauważył, że uprzedziła go Leeth, który właśnie niezgrabnie usiłował wciągnąć kombinezon. W końcu kapitan zdołał go uszczelnić i uruchomić moduł antyprzeciężeniowy, po czym odwrócił się i pomógł się ubrać Grosvenorowi. Jeszcze minuta i on również mógł westchnąć z ulgą, bo ciężenie w skafandrze spadło do jednego g. W kilka minut zapas ubiorów ze schowka został wyczerpany, więc trzeba było zejść i przynieść kolejne z niższego pokładu, ale tym zajęli się inni członkowie załogi. Kapitan Leeth już zdążył gdzieś zniknąć, Grosvenor zaś, domyślając się dalszego rozwoju sytuacji, popędził prosto do klatki, w której więziono wielkiego kota. Przy otwartych drzwiach stłoczyła się tam grupka naukowców.

Przepchnął się do przodu i spojrzał ponad barkami tych, którzy stali w pierwszym szeregu. W tylnej ścianie pomieszczenia ziała olbrzymia dziura, przez którą spokojnie precyzyjnie obok siebie pięciu ludzi. Metal był powyginany, a krawędź wychodzącego na kolejny korytarz otworu poszarpana i nieregularna.

- Mógłbym przysiąc, że to niemożliwe - szepnął Pennons, stojący obok klatki z otwartym wizjerem hełmu. - Pojedyncze uderzenie dziesięcotonowego młota zaledwie pozostawia ślad na powierzchni takiej warstwy mikrostali. A słyszeliśmy tylko jeden łomot. Dezintegrator atomowy potrzebowałby na zrobienie czegoś takiego co najmniej minuty, ale skaziłby całą okolicę na długie tygodnie. Morton, mamy do czynienia z prawdziwą nadistotą!

Koordinator nic nie odpowiedział, Smith zaś zaczął się z bliska przyglądać otworowi w ścianie.

- Szkoda, że Breckenridge nie żyje, bo przydałby się nam metalurg. Proszę spojrzeć! - Dotknął krawędzi wyrwy, krusząc kawałek metalu, który osypał się na podłogę w postaci drobnego proszku.

Grosvenor wpełchnął się do pomieszczenia.

- Znam się trochę na tym - rzucił i kilku mężczyzn automatycznie usunęło mu się z drogi. Stał obok Smitha. Biolog zmarszczył brwi i spytał podejrzliwie:

- Jesteś asystentem Brecka?

Neksjalista udał, że nie słyszy pytania i pochyliwszy się, zaczął grzebać w kupce odłamków na podłodze. Po chwili się wyprostował.

- Nic nadzwyczajnego - stwierdził. - Jak zapewne panom wiadomo, klatki tego rodzaju wykonuje się ze stopów elektromagnetycznych, do których surowcem jest drobno sproszkowany metal. Nasz stwór wykorzystał swoje zdolności, by wpłynąć na siły spajające cząstki materiału. Tłumaczyłoby to nagły pobór mocy za pośrednictwem kabla telefluorowego, na co zwrócił uwagę pan Pennons. Kotek zaczerpnął energii elektrycznej, użył swego ciała jako przetwornika, zrobił dziurę w ścianie, i pobiegł do maszynowni.

Grosvenor zdumiał się, że pozwolono mu dokończyć tę pospieszną analizę. Wszystko jednak wskazywało na to, że zebrani brali go za współpracownika Breckenridge'a. Zresztą nie było w tym nic dziwnego: na olbrzymim statku ludzie nie mieli jeszcze czasu poznać wszystkich asystentów i techników niższych stopni.

- A więc mamy do czynienia z nadistotą, która przejęła nasz statek, panie koordynatorze - podsumował spokojnie Kent. - Rządzi maszynownią i jej zasobami mocy, a także kontroluje większość warsztatów.

Grosvenor zauważył, że to proste podsumowanie faktów wywarło na ludziach ogromne wrażenie. Na ich twarzach odmalował się niepokój i lęk.

- Pan Kent się myli - sprzeciwił się pierwszy oficer. - Stwór nie rządzi jeszcze niepodzielnie w maszynowni, bo centrala dowodzenia wciąż jest nasza. A z niej można sterować wszystkimi urządzeniami. Wy panowie, nie należąc do załogi statku, nie zdajecie sobie sprawy z obronnych mechanizmów jakimi dysponujemy. Oczywiście kotek może w końcu odciąć centralę, ale na razie jesteśmy w stanie wyłączyć wszystkie funkcje maszynowni.

- Na miłość Boską! - krzyknął ktoś. - Dlaczego w takim razie zapakowaliście tysiąc osób w skafandry zamiast po prostu to zrobić?

- Kapitan Leeth uważa, że pola siłowe w skafandrach będą dla nas lepszym zabezpieczeniem - wyjaśnił pierwszy oficer. - Istnieje pewne prawdopodobieństwo, że stwór nigdy dotąd nie został poddany przeciążeniom rzędu pięciu czy sześciu g. Pozbycie się jednego z naszych atutów wskutek nie przemyślanych działań, podjętych w panice, byłoby poważnym błędem.

- A jakież to inne atuty jeszcze mamy?

- Ja odpowiem na to pytanie - wtrącił Morton. - Sporo już wiemy o tym stworzeniu. Zamierzam właśnie zaproponować kapitanowi Leethowi pewien eksperyment. Czy poprosi pan dowódcę o zatwierdzenie małego sprawdzianu, który chciałbym przeprowadzić? - zwrócił się do oficera.

- Myślę, że lepiej będzie, jak sam pan z nim porozmawia, panie koordynatorze. Jest w centrali dowodzenia. Może się pan z nim skontaktować przez komunikator.

Morton wrócił od komunikatora po kilku minutach.

- Pennons, ponieważ jest pan oficerem na tym statku i zarazem sprawuje pan pieczę nad maszynownią, kapitan Leeth chce, żeby to pan nadzorował ten test.

Grosvenorowi zdawało się, że słyszy w głosie koordynatora nutkę tłumionej irytacji. Widocznie Leeth nie żartował, gdy oznajmiał, że przejmuje dowodzenie. Oto odwieczny problem z podziałem kompetencji; linię demarkacyjną wytyczono tak precyzyjnie, jak tylko się dało, trudno jednak przewidzieć wszystkie sytuacje. W ostatecznym rozrachunku i tak najczęściej zależało od charakteru oponentów. Do tej pory oficerowie i podlegająca armii załoga statku, pieczołowicie wypełniali swoje obowiązki, podporządkowując się absolutnie celowi misji. Doświadczenia z innych jednostek nauczyły jednak ludzi z rządu, że wojskowi z niejasnych przyczyn niezbyt szanują naukowców. Niechęć ta ujawniała się w takich chwilach, jak teraz, bo przecież właściwie nie było powodu, żeby

Morton nie poprowadził osobiście swojego doświadczenia.

- Panie koordynatorze, nie ma czasu, żeby wprowadził mnie pan w szczegóły swojego planu - odrzekł Pennons. - Proszę wydawać rozkazy. Jeżeli będę miał zastrzeżenia, przedyskutujemy to.

W ten sposób z wdziękiem przekazał pałeczkę Mortonowi. Był wprawdzie żołnierzem, ale zarazem naczelnym inżynierem „Gwiezdnego Ogara”, a więc naukowcem o wysokich kwalifikacjach.

- Panie Pennons - Morton od razu przystąpił do rzeczy. - Proszę przydzielić grupy liczące po pięciu techników na każdy z czterech korytarzy prowadzących do maszynowni. Jedną z nich poprowadzę osobiście, Kent weźmie drugą, Smith trzecią, panu oczywiście pozostanie czwarta. Za pomocą przenośnych nagrzewnic przebijemy się przez drzwi, które, jak zauważyłem, zostały zamknięte. Kociak tego dopilnował. Selenski, pan pójdzie do centrali dowodzenia i wyłączy wszystkie układy oprócz głównego napędu. Niech pan podepnie elektrykę pod jeden wspólny przełącznik i jednocześnie odetnie całe zasilanie. Proszę tylko pamiętać o jednym: przeciążenie ma zostać bez zmian. Nie uruchamiać urządzeń antygravitacyjnych. Czy to jasne?

- Tak jest! - pilot zasalutował i udał się do centrali.

-1 proszę mi zameldować przez komunikator, gdyby jednak któreś z tych urządzeń zostało ponownie uruchomione! - krzyknął za nim Morton.

Wszyscy ludzie wybrani do akcji należeli do wojskowego personelu statku. Grosvenor w towarzystwie garstki ciekawskich obserwował przebieg działań z bezpiecznej odległości ponad pięćdziesięciu metrów. Gdy sprowadzono nagrzewnice i zestawiano ekrany ochronne miał wrażenie, że czeka ich nieuchronna katastrofa. Doceniał celowość próby, której miał być świadkiem; więcej, uważał, że ma ona szansę powodzenia, choć byłby to sukces nieprzewidziany -ot, po prostu szczęśliwy traf. Najbardziej jednak irytował go fakt, że mógł tylko obserwować i krytykować.

- Jak już mówiłem, nasz atak ma właściwie charakter testu -z komunikatora doleciał głos Mortona. — Zakładam, że kociak przebywa w maszynowni zbyt krótko, żeby mógł mu przeciwdziałać lub się przygotować. Pomijając jednak możliwość, że uda nam się go tak po prostu zlikwidować, mam pewną teorię. Pomysł jest prosty: drzwi do maszynowni zaprojektowano tak, by wytrzymały niezłą eksplozję, toteż nagrzewnice będą potrzebowały co najmniej kwadransa, żeby się przez nie przegryźć. W tym czasie pomieszczenie zostanie odcięte od zasilania. Selenski o to zadba. Zostawi oczywiście włączony napęd, ale silniki wykorzystują reakcję jądrową, a podejrzewam, że nasz gość nie może z czegoś takiego korzystać. Niedługo przekonacie się, o co mi chodzi. Przynajmniej taką mam nadzieję. Selenski, jest pan gotów? - zapytał podnosząc nieco głos.

- Tak jest.

- Proszę odciąć zasilanie.

Korytarz - a wraz z nim cały statek - nagle pogrążył się w mroku. Grosvenor włączył reflektor, wbudowany w skafander. Inni poszli w jego ślady; promienie światła padły na blade, zdradzające napięcie twarze.

- Ognia! - Rozkaz Mortona zabrzmiał czysto i wyraźnie.

Przenośne nagrzewnice drgnęły i plunęły strumieniami gorąca, generowanym w ich własnych stosach atomowych. Fale ciepła uderzyły w drzwi maszynowni, z których natychmiast spłynęły pierwsze krople ciekłego metalu. Grosvenor patrzył, jak łączą się w strużki, i spływają w dół. Było ich coraz więcej. Przezroczysta osłona zamgliała się i trudniej było przez nią dostrzec, co dzieje się z drzwiami, kiedy nagle metal zalśnił bielą. Rozpalona stal świeciła jaskrawym, upiornym ogniem, z wolna ustępując przed ognistą furją nagrzewnic.

Czas mijał, aż wreszcie Morton chrapliwym głosem wywołał Selenskiego.

- Nic się nie dzieje, panie koordynatorze.

- Musi przecież coś zrobić - głośnym szeptem skomentował Morton. - Nie może tam siedzieć bezczynnie i czekać jak szczur w pułapce. Selenski!

- Nadal nic.

Minęło siedem minut, dziesięć, dwanaście.

- Panie koordynatorze! - zawołał zdenerwowany Selenski. -Uruchomił prądnicę!

Grosvenor wziął głęboki wdech i usłyszał głos Kenta:

- Morton, nie możemy się głębiej przebić. O to ci chodziło?

Koordynator ekspedycji spojrział przez osłonę i nawet Grosvenorowi, mimo dzielącej go od maszynowni odległości, wydawało się, że metal zbladł i nie świecił już tak jasno, jak przed chwilą. Drzwi poczerwieniały, a po chwili ściemniały jeszcze bardziej, stygnąc w o-czach.

- To wszystko na teraz - westchnął Morton. - Proszę zostawić strażników w każdym korytarzu i nie ruszać nagrzewnic. Będę czekał w centrali dowodzenia na szefów wszystkich działów.

Grosvenor zrozumiał, że eksperyment dobiegł końca.

Grosvenor wręczył swoje upoważnienie strażnikowi przy wejściu do centrali. Żołnierz obejrzał dokument, ale niezbyt wiedział, jak go potraktować.

- Wygląda na to, że jest w porządku - stwierdził wreszcie. - Ale nigdy dotąd nie wpuszczałem do centrali faceta poniżej czterdziestki. Jak udało się panu zdobyć stanowisko szefa działu w tak młodym wieku?

Neksjalista wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Specjalizuję się w zupełnie nowej dyscyplinie naukowej. Strażnik ponownie zerknął w papiery i oddał je Grosvenorowi.

- Neksjalizm? Co to takiego?

- Wszystkologia stosowana - odparł Grosvenor przechodząc przez próg.

Obejrzał się jeszcze przez ramię i dostrzegł wlepione w siebie, bezmyślne spojrzenie żołnierza. Uśmiechnął się tylko i zaraz zapomniał o całym zdarzeniu. Pierwszy raz zdarzyło mu się być w centrali dowodzenia, rozejrzał się wieje ciekawie. Mimo zwartej zabudowy sala robiła spore wrażenie. Zapełniały ją piętrzące się jeden nad drugim, łukowato zakrzywione panele przyrządów kontrolnych. Każdy metalowy łuk miał ponad pięćdziesiąt metrów długości i stromymi schodami łączył się z następnym, wyżej położonym. Aparaturą można było sterować z podłogi, bądź, znacznie szybciej i sprawniej, z wychylanego fotela zwieszającego się z sufitu na końcu konstrukcji, przypominającej odwrócony do góry nogami żuraw budowlany, napędzanego silnikiem.

Na najniższym poziomie znajdowało się audytorium z mniej więcej setką miejsc dla słuchaczy. Ustawiono tu wygodne, obszerne fotele, mogące pomieścić człowieka w skafandrze próżniowym. Około dwudziestu mężczyzn zajęło już miejsca i Grosvenor dyskretnie do nich dołączył. Po chwili z prywatnej kajuty dowódcy wyszli Morton i kapitan Leeth. Dowódca usiadł, a Morton zaczął bez zbędnych wstępów odprawę.

- Wiemy już, że ze wszystkich urządzeń znajdujących się w maszynowni, największe znaczenie dla potwora miała prądnicą. Musiał się niezłe spocić ze strachu, żeby ją uruchomić zanim przebijemy się przez drzwi. Czy ktoś ma coś do powiedzenia na ten temat?

- Chciałbym, żeby ktoś mi wyjaśnił, co on właściwie takiego zrobił, że nie mogliśmy się przebić - poprosił Pennons.

- Istnieje taki sposób elektronicznej obróbki, który pozwala na pewien czas utwardzić metal w niewyobrażalnym wręcz stopniu - odpowiedział mu Grosvenor. - Nigdy jednak nie słyszałem, żeby udało się tego dokonać bez kilku ton specjalistycznego wyposażenia, którego na tym statku nie mamy.

Kent odwrócił się w fotelu i spojrzał na niego.

- Co z tego, że wiemy, jak to zrobił? - rzucił niecierpliwie. - Jeżeli nasze maszyny nie przegryzą się przez drzwi, to po nas. Zrobi ze statkiem co zechce.

- Musimy obmyślić jakiś plan - wpadł mu w słowo Morton. - Po to właśnie się tu zebraliśmy. Selenski!

Pilot wychylił się z podwieszanego fotela. Jego nagłe pojawienie się zaskoczyło Grosvenora, który przedtem nie zwrócił na niego uwagi.

- Słucham, panie koordynatorze?

- Proszę włączyć zasilanie.

Selenski zręcznie przysunął się z fotelem do głównego przełącznika i ostrożnie przełożył masywną dźwignię w odpowiednie położenie. Statkiem szarpnęło, po czym rozległo się niskie buczenie,

któremu przez chwilę towarzyszyło wyraźne drżenie pokładu. Wreszcie wszystkie urządzenia zaczęły pracować normalnie, a drgania przeszły w ledwie wyczuwalną wibrację i Morton mówił dalej.

- Chciałbym usłyszeć opinie ekspertów na temat możliwości walki z kociakiem. Zależy mi na połączeniu wiedzy z różnych, wysoce wyspecjalizowanych dziedzin, przy czym zamiast nawet najbardziej fascynujących rozważań teoretycznych wolałbym konkrety i podejście praktyczne.

A to, jak ze smutkiem zauważył Grosvenor, skutecznie wyklucza z dyskusji niejakiego Elliotta Grosvenora. Choć nie powinno;

Mortonowi chodziło o integrację różnych obszarów nauki, a tym właśnie zajmował się neksjalizm. Przypuszczał jednak, że nie będzie tą osobą, której praktyczne rady specjalnie interesowałyby Mortona. Miał rację.

Dwie godziny później koordynator ekspedycji zaproponował z roztargnieniem:

- Zróbmy sobie może pół godziny przerwy, żeby coś zjeść i odsapnąć. Czeka nas robota, przy której będziemy musieli dać z siebie wszystko.

Grosvenor wrócił do swoich pomieszczeń. Nie chciał mu się ani jeść, ani odpoczywać. Miał trzydzieści jeden lat i bez wysiłku mógł się obejść bez obiadu, czy zarwać noc. Dlatego postanowił uznać, że darowano mu pół godziny na rozwikłanie problemu istoty, która przejęła kontrolę nad statkiem.

Kłopot z ustaleniami poczynionymi przez grono naukowców polegał na tym, że nie przeprowadzono wystarczająco dociekliwej analizy sytuacji. Większość zebranych dość powierzchownie czerpała z zasobów swej wiedzy, starała się w krótkich słowach przedstawić własne poglądy ludziom, którzy nie byli przygotowani na to, by uchwycić bogactwo skojarzeń, kryjących się za każdym z pojęć. Wskutek tego opracowany plan ataku odznaczał się brakiem wewnętrznej spójności.

Grosvenor z niepokojeni zauważył, że prawdopodobnie tylko on jeden, trzydziestojednoletni młokos, przeszedł odpowiednie przeszkolenie, pozwalające mu dostrzec słabe strony planu. Odkąd sześć miesięcy temu znalazł się na pokładzie statku, pierwszy raz w pełni docenił zmianę, jaka dokonała się w nim podczas treningu w Fundacji Neksjalizmu. Nie przesadziłby specjalnie twierdząc, że w porównaniu z neksjalizmem wszystkie dotychczasowe systemy edukacyjne były przestarzałe. Nie zamierzał przypisywać sobie żadnych zasług w związku z posiadaną wiedzą, ale jako absolwent Fundacji, którego w określonym celu umieszczono na pokładzie „Gwiezdnego Ogara”, nie miał innego wyjścia jak tylko przygotować ostateczne rozwiązanie sytuacji, a następnie używając wszelkich możliwych środków przekonać kierownictwo ekspedycji do swojego pomysłu.

Rzecz w tym, że potrzebował więcej informacji. Postanowił je zatem zebrać w najszybszy dostępny sposób i po prostu skontaktował się przez komunikator ze wszystkimi działami.

W większości wypadków rozmawiał ze specjalistami niższych stopni, a ponieważ za każdym razem przedstawiał się jako szef działu, efekt był piorunujący. Młodzi naukowcy zazwyczaj dokładali wszelkich starań, żeby mu pomóc. Nie zawsze jednak. Na przykład jeden z rozmówców stwierdził tylko, że musi dostać pozwolenie od przełożonych. Za to jeden z kierowników działów - Smith - osobiście udzielił mu wszystkich niezbędnych wyjaśnień. Inny znów grzecznie poprosił o kontakt w późniejszym terminie, kiedy olbrzymi kot zostanie już zlikwidowany. Na koniec Grosvenor połączył się z chemią i poprosił o przełączenie do Kenta, przyjmując za pewnik (i mając nadzieję), że mu się nie uda. Właściwie był już gotów powiedzieć: „W takim razie poproszę pana o udzielenie mi paru informacji”, gdy ku jego zdumieniu i irytacji odezwał się Kent.

Przez chwilę słuchał Grosvenora ze źle skrywanym zniecierpliwieniem, po czym przerwał mu wpół zdania:

- Może pan uzyskać te dane za pośrednictwem standardowych kanałów. Jednakże wyniki badań poczynionych na planecie nie będą dostępne przez kilka najbliższych miesięcy. Musimy je najpierw dokładnie sprawdzić.

- Panie Kent - nalegał Grosvenor. - Bardzo pana proszę o natychmiastowe udostępnienie wyników ilościowej analizy atmosfery macierzystej planety kodaka. Mogą mieć niebagatelne znaczenie dla realizacji planu, który został opracowany na naszym spotkaniu. Szczegółowe wyjaśnienia zabrałyby w tej chwili zbyt wiele czasu, zapewniam pana jednak...

- Posłuchaj no, chłopcze - przerwał mu znowu Kent. - Czas akademickich dyskusji się skończył. Chyba nie rozumiesz, że grozi nam śmiertelne niebezpieczeństwo: jeżeli coś pójdzie nie po naszej myśli, zostaniemy fizycznie zaatakowani i nie będzie to kolejne ćwiczenie sprawności intelektualnej. A teraz żegnaj i nie zawracaj mi głowy przez następne dziesięć lat.

Komunikator pstryknął i połączenie zostało przerwane. Grosvenor siedział przez chwilę bez ruchu, przeżuwając zniechęć, po czym ze smutnym uśmiechem odbył kilka ostatnich rozmów.

Wykres prawdopodobieństwa, nad którym pracował, uwzględniał między innymi ilość popiołów wulkanicznych w atmosferze, historię rozwoju różnych gatunków roślin, odtworzoną na podstawie badań nasion, przystosowanie układu pokarmowego zwierząt, które się nimi żywią oraz, przez ekstrapolację, prawdopodobny rodzaj i budowę istot, które żywiłyby się takimi właśnie zwierzętami.

Pracował w pośpiechu, a ponieważ pozostało mu tylko nanieść trochę danych na już istniejący wykres, nie trwało to długo. Otrzymał skomplikowany obraz, którego nie byłoby sensu wyjaśniać komuś bez neksjalistycznego przygotowania. Grosvenor jednak czytał z niego jak z książki, odnajdując możliwości i rozwiązania, których w sytuacji zagrożenia nie należało ignorować.

W podrozdziale „Zalecenia ogólne” napisał więc: „Każdy sposób rozwiązania tej sytuacji musi uwzględniać swoisty zawór bezpieczeństwa”.

Zrobił cztery kopie raportu i udał się do działu matematycznego. Ku swemu zaskoczeniu przed drzwiami natknął się na strażę - bez wątpienia dla obrony przed kotem. Nie pozwolono mu porozmawiać z Mortonem, więc zażądał kontaktu z jednym z jego sekretarzy. Z sąsiedniego pokoju wyszedł do niego młody mężczyzna, który grzecznie obejrzał wykres i stwierdził, że „postara się go przedstawić panu koordynatorowi”.

- Już to słyszałem - zauważył Grosvenor ponuro. - Jeżeli raport nie dotrze do pana Mortona, poproszę o zwołanie Rady Śledczej. Z pismami, które przygotowuję dla biura koordynatora, dzieje się tu coś cholernie ciekawego. Będą z tego kłopoty.

Sekretarz był o pięć lat starszy od Grosvenora, opanowany i nieprzyjazny. Skłonił się i odparł z ironicznym uśmiechem:

- Pan koordynator jest bardzo zajęty człowiekiem. Wiele działów zaprzęta jego uwagę; niektóre z nich szczytą się licznymi osiągnięciami i znacznym prestiżem, co daje im pierwszeństwo przed młodszymi dyscyplinami i... - sekretarz się zawahał - naukowcami. Zapytam go jednak, czy nie zechciałby rzucić okiem na ten raport — dodał wzruszając ramionami.

- Niech go pan poprosi o przeczytanie „Zaleceń”. Na nic więcej nie ma czasu.

- Zwrócę mu na to uwagę.

Grosvenor udał się do kabiny kapitana Leetha, który przyjął go i wysłuchał, po czym obejrzał wykres. Pokręcił głową.

- Wojsko trochę inaczej traktuje tę sprawę - stwierdził sztywno. - Jesteśmy gotowi podjąć skalkulowane ryzyko dla osiągnięcia określonych celów. Pańskie przekonanie, że w ostatecznym rozrachunku najmądrzej byłoby pozwolić potworowi uciec, przeczy mojemu rozumieniu sytuacji. Mamy do czynienia z inteligentną istotą, która przedsięwzięła wrogie działania przeciw uzbrojonemu

statkowi. Nie możemy tego tolerować. Szczerze mówiąc sędzę, że stwór zdawał sobie sprawę z konsekwencji swoich poczynań - kapitan uśmiechnął się lekko. - Mam na myśli możliwość śmierci.

Grosvenorowi przyszło z kolei na myśl, że wszystko owszem, może się zakończyć śmiercią, ale ludzi, którzy usiłują stosować standardowe metody w walce z nieznanym zagrożeniem. Już zamierzał zaprotestować, że wcale nie zamierza wypuścić kota na wolność, gdy Leeth wstał z krzesła.

- Teraz muszę pana poprosić o opuszczenie mojej kwatery - powiedział i dodał, zwracając się do adiutanta: - Proszę odprowadzić pana Grosvenora.

- Trafie do wyjścia - oznajmił kwaśno neksjalista.

Znalazłszy się w korytarzu spojrzął na zegarek. Do planowanego ataku zostało pięć minut. W niewesołym nastroju skierował się do centrali dowodzenia.

Większość personelu przybyła tu przed nim, więc usiadł wśród zebranych. W minutę później do sali weszli Morton i Leeth i zaczęła się odprawa.

Morton przez chwilę przechadzał się w tę i z powrotem przed słuchaczami, wyraźnie zdenerwowany sytuacją. Jego czarne włosy, zwykle gładko zaczesane, straszyły się w nieładzie, a bladość policzków raczej przydawała niż ujmowała agresywnego wyrazu zaciśniętym szczęką. Nagle stanął w miejscu.

- Chcę się jeszcze raz upewnić, że nasze działania będą należycie skoordynowane - rzekł basowym, donośnym, ocierającym się o napastliwość głosem. - Niech każdy po kolei przedstawi swoją rolę w pokonaniu potwora. Zacznie pan Pennons.

Naczelnym inżynier wstał; nie odznaczał się specjalnie potężną posturą, ale dzięki władcemu sposobowi bycia sprawiał wrażenie wyższego, niż w rzeczywistości. Podobnie jak inni szefowie działów specjalizował się w jednej, konkretnej dziedzinie, ze względu jednak na naturę posiadanej wiedzy chyba najmniej ze wszystkich interesował go neksjalizm. Znał się na wszelakich maszynach, studiował ich historię i to - jak wynikało z danych w kartotece, z którymi Grosvenor się zapoznał - na setkach zamieszkałych planet O praktycznej stronie swojego zawodu wiedział zapewne wszystko; mógłby przemawiać godzinami, a przy tym przedstawić zaledwie ogólny zarys zagadnienia.

- Zainstalowaliśmy tu, w centrali dowodzenia, przekaźnik, który będzie rytmicznie włączał i wyłączał wszystkie urządzenia, z częstotliwością do stu razy na sekundę. Zamierzamy w ten sposób wytworzyć bardzo zróżnicowane drgania. Istnieje wprawdzie możliwość, że któreś z urządzeń się posypie, na takiej samej zasadzie jak most wpada w rezonans i wali się, kiedy maszeruje po nim oddział żołnierzy - z pewnością słyszeliście panowie takie historie - ale szczerze powiedziawszy wątpię, by tak się stało. Naszym celem jest zakłócenie oddziaływania potwora na źródła energii i przebicie się przez drzwi.

- Gourlay, pan następny - rzekł Morton.

Sprawiający wrażenie sennego i znudzonego debatą Gourlay niespiesznie wstał z miejsca. Grosvenor zauważył, że główny łącznościowiec „Gwiezdnego Ogara” lubi uchodzić za leniwego. Z danych w archiwum wynikało, że systematycznie rozszerza swą wiedzę w wybranej specjalności. Gdyby uwzględnić liczbę posiadanych przez Gourlaya stopni i tytułów naukowych, trzeba by przyznać, że pod względem formalnego wykształcenia nie ma sobie równych. Kiedy się odezwał, mówił swym zwykłym, spokojnym tonem, przeciągając słowa, co miało, jak zauważył Grosvenor, kojący wpływ na zgromadzonych. Napięcie ustępowało z twarzy, a ludzie wygodniej zapadali się w fotele.

- Przygotowaliśmy ekrany wibracyjne. Kiedy wejdziemy do maszynowni, większość energii, jaką skierujemy przeciwko nam, odbije się z powrotem w jego stronę. Dysponujemy ponadto przenośnymi kondensatorami, które pozwolą podładować go dodatkowym prądem. Muszą być jakieś granice

energii, z jaką potrafi sobie poradzić jego układ nerwowy.

- Selenski! — wywołał następnego mówcę Morton.

Zanim Grosvenor przeniósł wzrok na pilota, ten zdążył już poderwać się z miejsca, jakby przewidział, że koordynator wybierze właśnie jego. Neksjalista przyglądał mu się z zainteresowaniem: szczupły mężczyzna o pociągłej twarzy i intensywnie niebieskich oczach sprawiał wrażenie silnego i wysportowanego. Z dokumentacji wynikało, że braki w wykształceniu nadrabia opanowaniem, błyskawicznym refleksem i zdolnością do długotrwałego, precyzyjnego działania.

- Wydaje mi się, że chodzi przede wszystkim o to, żeby nasze działania stale przybierały na sile - oznajmił pilot. - Kiedy stworowi wydaje się, że już więcej nie znieś, dorzucamy kolejny element, który przysporzy mu nowych kłopotów. Dlatego w momencie największego zamieszania mam włączyć antygravitację. Pan Morton i Gunlie Lester są zdania, że nasz przeciwnik nie ma o niej pojęcia. Urządzenie to jest wynalazkiem ery podróży międzygwiazdnych i w innych okolicznościach najprawdopodobniej w ogóle by nie powstało. Sądzimy, że gdy kotek poczuje pierwsze efekty antygravitacji - wszyscy pewnie pamiętacie z pierwszego razu wrażenie zapadania się w sobie - zgłupieje i nie będzie wiedział, co robić. Selenski usiadł.

- Korita! - rzucił Morton.

- Mogę tylko dodać wam odwagi - powiedział archeolog. - Przyjmuję założenie, że potwór przejawia wszystkie cechy bandyty z wczesnego stadium rozwoju każdej cywilizacji. Smith zwrócił uwagę na jego zastanawiającą znajomość techniki, co mogłoby znaczyć, że marny do czynienia z faktycznym mieszkańcem, nie zaś tylko potomkiem mieszkańców wymarłego miasta, w którym wylądowaliśmy. W takim wypadku nasz przeciwnik byłby praktycznie nieśmiertelny. Potwierdzeniem tego faktu jest jego zdolność do oddychania zarówno tlenem, jak i chlorem - bądź też żadnym z tych gazów. Sama nieśmiertelność nie ma jednak znaczenia. Liczy się fakt, że stwór pochodzi z określonego etapu rozwoju cywilizacji, a przy tym cofnął się w rozwoju na tyle, że procesy myślowe ograniczają się teraz u niego do przywoływania wspomnień z dawnych czasów. Kiedy zaraz po wejściu na statek trafił do windy, wpadł w panikę, a przecież potrafi kontrolować przepływ energii; gdy Kent przyniósł mu pożywienie, pozwolił sobie na okazanie emocji, co zmusiło go do ujawnienia zdolności obronnych gdy strzelono do niego z pistoletu wibracyjnego; przed paroma godzinami spaprał zaplanowane masowe morderstwo. Widzicie więc, panowie, że wykazał się bardzo przeciętnym sprytem, godnym prymitywnego, skrajnie egotycznego umysłu. Nie rozumie, jak przebiegają procesy w jego ciele, nie zdaje sobie również sprawy z tego, z jak złożoną organizacją przyszło mu się zmierzyć.

Pod tym względem przypomina germańskiego wojownika, który uważał się za lepszego od każdego rzymskiego filozofa, co nie przeszkadzało temu ostatniemu wchodzić w skład potężnej cywilizacji, która przepęłniała Germanów lękiem i podziwem. Mamy więc na statku dzikusa, który znalazł się w kosmosie, z dala od swojego naturalnego środowiska. A to oznacza, że mamy wszelkie przesłanki, by go pokonać.

Morton wstał, uśmiechając się półgębkiem.

- Z początku chciałem, by wystąpienie pana Kority dodało nam animuszu przed samym atakiem - wyjaśnił. - Tymczasem przed niespełną godziną trafił do moich rąk dokument, przygotowany przez młodego przedstawiciela dziedziny nauki, która jest mi prawie zupełnie obca. Sam fakt, że człowiek ten znalazł się na pokładzie statku wymaga, bym liczył się z jego opinią, tym bardziej, że kierowany przekonaniem, iż wie jak poradzić sobie z naszym problemem, odwiedził nie tylko mnie, ale i kapitana Leetha. Wspólnie z dowódcą postanowiliśmy dać panu Grosvenorowi kilka minut, podczas których będzie nas mógł przekonać, że wie, co mówi.

Grosvenor wstał. Z emocji drżały mu ręce.

- Zgodnie z poglądami Fundacji Neksjalistycznej, w każdej dziedzinie nauki za konkretnymi faktami kryją się złożone związki z innymi dyscyplinami - zaczął. - Oczywiście nie jest to nowy pomysł, co innego jednak deklorować znajomość idei, a co innego stosować ją w praktyce. Fundacja specjalizuje się w technikach umożliwiających wykorzystanie tej koncepcji; mam w swojej pracowni tak wyrafinowane maszyny edukacyjne, o jakich nawet się panom nie śniło. Ale nie będę ich teraz szczegółowo opisywał i ograniczę się do zrelacjonowania, w jaki sposób osoba wyszkolona dzięki tym technikom zajęłaby się sprawą kota.

Zacznijmy od tego, że wszystkie zgłoszone dotychczas propozycje są dość powierzchowne, gdyż każdy naukowiec podający jakieś rozwiązanie uwzględnia jedynie swoją własną dziedzinę wiedzy. Zgromadziliśmy już dość faktów, by dokładnie odtworzyć dzieje kodaka, więc zrekapituluję to w paru słowach: mniej więcej tysiąc osiemset lat temu rośliny na planecie nagle zaczęły otrzymywać zmniejszoną dawkę słonecznego światła o pewnych długościach fal. Powodem tego zjawiska było pojawienie się w atmosferze znacznych ilości popiołu wulkanicznego. I co się stało? Niemal z dnia na dzień większość roślin wyginęła. Wczoraj jedna z naszych małych kapsuł badawczych, krążąca w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od martwego miasta, natknęła się na kilka istot wielkości ziemskiego jelenia, ale bez wątpienia znacznie bardziej inteligentnych. Były tak czujne, że żadnej nie udało się złapać żywcem i musieliśmy je zlikwidować. Dział pana Smitha zdążył już przeprowadzić wstępną analizę ich ciał. Zwłoki zawierały potas w konfiguracji chemiczno-elektrycznej bardzo zbliżonej do spotykanej w ludzkim ciele. Nie widzieliśmy żadnych innych zwierząt, toteż te jelenie są zapewne jedynym źródłem potasu dla wielkich kotów. W ich żołądkach biolodzy znaleźli fragmenty roślin w różnych stadiach rozkładu, czyli cykl prawdopodobnie wygląda następująco: rośliny - roślinożercy - drapiezniki. Kiedy zatem wymarła większość roślin, żywiące się nimi zwierzęta musiały wyginąć w proporcjonalnej liczbie. Tym samym kociakowi skończyło się pożywienie.

Grosvenor popatrzył po słuchaczach, którzy, z jednym wyjątkiem, uważnie go słuchali. Wyjątkiem był Kent, który nie starał się ukryć irytacji i myślami błądził zupełnie gdzie indziej.

- W galaktyce istnieją liczne przykłady całkowitego uzależnienia form życia od jednego tylko rodzaju pożywienia - mówił dalej. - Nigdy jednak nie natknęliśmy się na istoty inteligentne przestrzegające aż tak ścisłej diety. Najwyraźniej kociaki nie wpadły na pomysł, żeby hodować swoją żywność, a także pokarm dla niej. Zadziwiający brak zdolności przewidywania, nieprawdaż? Fakt ten jest tak niewiarygodny, że każde wyjaśnienie, które go nie uwzględnia, będzie z samej swej natury niewystarczające.

Grosvenor znów przerwał, ale tylko dla nabrania oddechu. Nie patrzył na nikogo z zebranych; nie mógł przedstawić żadnych dowodów na poparcie słów, które zamierzał wypowiedzieć. Szefowie działów straciliby tygodnie na sprawdzaniu faktów, jemu zaś nie pozostało nic innego, jak podać końcowy wniosek, którego ani nie dołączył do wykresu, ani nie przedstawił kapitanowi Leethowi.

- Faktów nie da się ukryć - ciągnął pospiesznie. - Kot nie pochodzi ze społeczności twórców miasta, nie jest również ich potomkiem. Jest zwierzęciem, przedstawicielem rasy, na której budowniczy prowadzili eksperymenty.

Możemy się tylko domyślać, jaki los spotkał budowniczych. Być może zginęli w wojnie jądrowej przed osiemnastoma stuleciami. Zrównane z ziemią miasto i nagłe pojawienie się w atmosferze przypominającego popiół wulkaniczny pyłu w ilości, która na setki lat przesłoniła słońce, mówią nam bardzo wiele. Mało brakowało, by porywczy człowiek dokonał kiedyś tego samego, nie powinniśmy więc zbyt ostro oceniać wymarłej rasy. Jakie wnioski z tego płyną? - Grosvenor ponownie odetchnął głęboko i kontynuował: - Gdyby kot był jednym z budowniczych, znalibyśmy już pełnię jego

możliwości i wiedzielibyśmy dokładnie, co nam grozi. Ale ponieważ tak nie jest, walczymy ze stworem, który nie rozumie, jaką siłą dysponuje. W sytuacji bez wyjścia, a nawet w chwili wzmożonego napięcia, może odkryć w sobie nieoczekiwaną zdolność zabijania istot ludzkich i sterowania maszynami. Musimy więc pozwolić mu uciec. Kiedy znajdzie się poza statkiem, będzie zdany na naszą łaskę. To wszystko. Dziękuję za uwagę.

- No cóż... - Morton rozejrzał się po sali. - Co panowie o tym sądzą?

- W życiu nie słyszałem takich bajek - odparł cierpko Kent. - Możliwości, przypuszczenia, fantazje... Jeżeli tym zajmuje się neksjalizm, według mnie jest nic niewarty.

- Raczej nie można przyjąć tych wyjaśnień bez uprzedniego zbadania ciała kota - zauważył ponuro Smith.

- A ja nie sądzę, by nawet sekcja zwłok pozwoliła bez cienia wątpliwości wykazać, że kot był obiektem doświadczeń - zawtórował mu naczelny fizyk von Grossen. - Analiza pana Grosvenora budzi poważne wątpliwości.

- Dalsze badania miasta mogłyby doprowadzić do znalezienia dowodów potwierdzających teorię pana Grosvenora - powiedział ostrożnie Korita. - Nie podważyłoby to wcale koncepcji cykliczności, gdyż przetworzony pod wpływem eksperymentów umysł z pewnością przypomina umysły swoich nauczycieli.

Pennons był następnym, który zabrał głos.

- W tej chwili w warsztacie znajduje się jedna z kapsuł ratunkowych. Jest częściowo zdemontowana. Naprawienie jej dla kociaka wymagałoby co najmniej takiego samego wysiłku, jak otwarty atak, który planujemy. Oczywiście jeśli nam się nie powiedzie, możemy rozważyć poświęcenie kapsuły, choć nie bardzo wiem, jak miałyby opuścić statek. W warsztacie nie ma służy.

- Co pan na to? - z tym pytaniem Morton zwrócił się do Grosvenora,

- Służa znajduje się na końcu korytarza przylegającego do maszynowni. Musielibyśmy mu ją udostępnić. Kapitan Leeth wstał ze swojego fotela.

- Jak już mówiłem panu Grosvenorowi, wojsko odważniej podchodzi do całej sprawy - rzekł. - Liczymy się z możliwością strat. Pan Pennons wyraził i mój pogląd: jeżeli atak zakończy się niepowodzeniem, rozważymy inne rozwiązania. Dziękuję panu za analizę, ale na razie bierzmy się do roboty!

Słowa zabrzmiały jak rozkaz i naukowcy natychmiast zaczęli opuszczać centralę dowodzenia.

Coeurl pracował bez wytchnienia w gigantycznym, rozświetlonym oślepiającymi reflektorami warsztacie. Wracały mu wspomnienia oraz zdolność adaptacji do nowych okoliczności i nowych maszyn, przypominał sobie umiejętności, które wpoili mu budowniczowie. Znalazł spoczywającą na stanowisku, częściowo rozmontowaną kapsułę ratunkową i wziął się do roboty.

Coraz wyraźniej rozumiał, jak ważne jest, by uciekł, powrócił na planetę i do pozostałych coeurli. Kiedy przekaże im nabytą wiedzę, staną się niepokonani i odniosą ostateczne zwycięstwo. Czuł, że podjął nieodwołalną decyzję, ale niechętnie myślał o opuszczeniu statku; uważał, że nie grozi mu prawdziwe niebezpieczeństwo. Zapoznawszy się z mechanizmem zasilania warsztatu wrócił myślą do wydarzeń na pokładzie i doszedł do wniosku, że dwunogie istoty nie dysponują sprzętem, który mógłby mu zagrozić.

Toczył wewnętrzną walkę, ale nie przerywał pracy. Dopiero gdy zrobił sobie krótką przerwę, by ocenić wynik swoich wysiłków dostrzegł, ile już dokonał. Kapsuła została naprawiona, pozostało już tylko załadować na pokład narzędzia i instrumenty, które chciał zabrać ze sobą. A co potem? Uciec, czy walczyć? Słyszał zbliżających się ludzi; zaczynał się denerwować. Nagle jego uwagę zwróciła zmiana w grzmocie maszynierii: w miejsce rytmicznego, basowego dudnienia pojawił się szarpiący nerwy, ostrzejszy i nieregularny pomruk, jakby ktoś wciąż ją włączał i wyłączał. Coeurl usiłował się do niego dostroić, skoncentrować się, ale kiedy jego ciało już-już miało złapać nowy rytm, pojawił się nowy dźwięk. Po drugiej stronie masywnych drzwi rozległ się ohydny ryk przenośnych nagrzewnic i Coeurl musiał dokonać wyboru: oprzeć się ich mocy, czy walczyć z nierównomiernymi wibracjami maszyn. Szybko przekonał się, że nie podoła obu tym zadaniom jednocześnie.

Skupił się więc na ucieczce i, napinając mięśnie do granic możliwości, zaczął przenosić wybrane przyrządy i urządzenia i upychać je w kapsule. Wreszcie ostatni raz przystanął w drzwiach do warsztatu; wiedział, że wrota maszynowni już długo nie wytrzymają. Płomień nagrzewnic powoli, ale nieubłaganie wgryzał się coraz głębiej w stal. Zawahał się jeszcze, po czym zamknął dopływ energii utwardzającej drzwi i skierował ją na zewnętrzną ścianę statku, w którą celował tępy dziób dwunastometrowej kapsuły. Skrzywił się z bólu, gdy przez jego ciało popłynął prąd z wszystkich generatorów i włoskami usznymi skierował moc wprost ku burcie. Czuł się tak, jakby płonął żywym ogniem; domyślał się, że znalazł się niebezpiecznie blisko granicy swoich możliwości, jeśli chodzi o sterowanie przepływem energii.

Jego wysiłki okazały się jednak bezskuteczne. Ściana nie ustąpiła. Metal był naprawdę twardy, twardszy od wszelkich materiałów, z jakimi się dotąd spotkał. Jednak nie chciał się poddać: materia składała się wprawdzie z pojedynczych atomów, ale zestawionych w nie zwykłej konfiguracji. Ciasne upakowanie atomów nie wiązało się w tym wypadku z dużą gęstością materii.

Coeurl usłyszał, że któreś z drzwi do maszynowni ustępują z trzaskiem. Ludzie coś krzyczeli, nagrzewnice sunęły do przodu, paląc wszystko na swojej drodze. Podłoga syczała w zetknięciu z płomieniem. Potężny, groźny dźwięk rozlegał się coraz bliżej. Lada moment dwunogie stwory przedrą się przez cieniutkie drzwi prowadzące do warsztatu.

Ale on potrzebował już tylko chwili. Wyczuł zmianę zachodzącą w upartym metalu, i zaraz cały ogromny kawał ściany stracił wewnętrzną spójność. Na pozór nic się nie zmieniło, ale nie miał wątpliwości: energia swobodnie płynęła przez jego ciało. Odczekał jeszcze kilka sekund, aż wreszcie z triumfalnym warknięciem wskoczył do kapsuły. Szarpnął za dźwignię i włączył się za nim

zamknął.

Delikatnie, niemal z czułością chwycił dźwignię sterowania mocą w jedną z macek i ostro wystartował, celując wprost w osłabiony fragment burty. Dziób kapsuły zetknął się z metalem i ściana zmieniła się w obłoczek srebrzystego pyłu. Gdy przebijał się przez chmurę metalicznych odłamków, która minimalnie spowolniła jego lot, stateczkiem szarpnęło ale już po chwili znalazł się w otwartym kosmosie.

Mijały sekundy. Coeurl zauważył, że kapsuła wystrzeliła z ogromnego statku pod kątem prostym do jego kursu. Wciąż był na tyle blisko, żeby widzieć otwór o poszarpanych brzegach, przez który wydostał się na zewnątrz. Tłoczyli się przy nim ludzie w kombinezonach - ciemne sylwetki na tle rozświetlonego wnętrza malały w oczach, podobnie jak i cały statek. Po chwili przestał to wszystko rozróżniać i została tylko miniaturowa srebrzysta kula z mnóstwem lśniących iluminatorów.

Odwrócił się szybko do panelu sterowania, zmienił kurs o dziewięćdziesiąt stopni i nastawił maksymalne przyspieszenie. W ten sposób w niespełną minutę od ucieczki skierował się z powrotem tam, skąd kilka godzin przyleciał wielkim statkiem.

Gigantyczna kula za jego plecami kurczyła się coraz bardziej, aż wreszcie prawie znikła. Z przodu zaś Coeurl dostrzegł maleńką, słabo świecącą kropkę - słońce, pod którym się wychował. I właśnie tam pospołu z innymi coeurlami zbuduje statek do podróży międzygwiazdnych i razem wyruszą w drogę do zamieszkałych planet. Nagle wystraszył się powagi swego zadania. Znowu obejrzał się za siebie: wciąż tkwiła tam srebrna kula, samotny punkcik światła pośrodku nieprzebytej czerni kosmosu. Kiedy na nią patrzył, zniemacka zamigotała i gdzieś się rozplynęła.

Przez chwilę miał dziwne wrażenie, że na moment przed tym, jak przestał ją widzieć, kula lekko drgnęła. W każdym razie teraz nie widział już nic i zastanawiał się z niepokojem, czy przypadkiem dwunogi nie pogasiły wszystkich świateł i nie śledzą go teraz w ciemności. Wiedział już, że naprawdę bezpieczny będzie dopiero wówczas, gdy uda mu się wylądować.

Podenerwowany wrócił do obserwacji przednich iluminatorów. Ogarnęło go przerażenie: słabe słońce, ku któremu zmierzał, wcale się nie przybliżało. Przeciwnie, od kiedy ostatni raz na nie patrzył, wyraźnie zmałało! Stało się maleńkim świecącym punktem, by po chwili zniknąć zupełnie.

Przebiegł go lodowaty dreszcz. Przez długie minuty wpatrywał się z napięciem w pustkę. Miał gorącą nadzieję, że znowu ujrzy swój jedyny punkt orientacyjny. Ale w próżni lśniły tylko gwiazdy, niewyobrażalnie odległe, świetliste na atlasowym tle wszechświata.

Zaraz! Jedna z tych kropek pomału rosła w oczach. Coeurl w napięciu obserwował, jak z punkciku staje się kropką, a później małą kulką blasku, która uparcie się do niego zbliżała. Nagle zamigotała i Coeurl zobaczył przed sobą olbrzymi, srebrny kadłub statku z rozświetlonymi iluminatorami. Był to ten sam statek, który przed kilkoma minutami zniknął mu za rufą.

W tym momencie coś w nim pękło. Umysł wirował mu opętańczo, niczym nadmiernie rozpędzone koło zamachowe, aż wreszcie rozpadł się na miliony kawałeczków. Oczy niemal wyszły mu z orbit, gdy jak rozwścieczone zwierzę miotał się po maleńkiej kabinie; macki zaciskały się kurczowo na bezcennych przyrządach i ciskały nimi po kątach, łapy waliły bezsilnie o ściany. W ostatnim, krótkim przebłysku rozsądki zdał sobie sprawę, że już nic go nie uchroni przed niszczycielskimi promieniami dezintegratorów, wymierzonych przez dwunogi z bezpiecznej odległości.

Bez trudu przekonfigurował swoje komórki w taki sposób, by wyciekła z nich każda drobina id. Po raz ostatni grymas pogardy wykrzywił mu pysk, macki zwinęły się i rozkurczyły bez celu i Coeurl, nagle zmęczony i niezdolny do stawiania oporu, padł na podłogę. Po tylu godzinach walki przyjął z radością łagodną śmierć.

Kapitan Leeth nie ryzykował niepotrzebnie. Kiedy wreszcie rozkazał wstrzymać ogień i zbadać

resztki kapsuły, zespół poszukiwawczy znalazł tylko kawałki stopionego metalu i rozproszone szczątki ciała Coeurla.

- Biedny kodak! - roztkliwił się Morton. - Ciekawe, co sobie pomyślał, kiedy zjawiliśmy się przed nim po tym, jak słońce zniknęło mu z oczu. Nie mając pojęcia o antygravitacji nie wiedział, że możemy zatrzymać się w miejscu, podczas gdy jemu wyhamowanie zajęłoby trzy godziny. Z pozoru wracał na planetę, ale w rzeczywistości nie przestał się od niej oddalać. Nie mógł też przypuszczać, że kiedy się zatrzymamy, przemknie obok nas jak pocisk, a nam wystarczy później polecieć za nim i udawać jego słońce, przynajmniej do chwili, aż będziemy go mogli zlikwidować. Dla niego cały wszechświat wywrócił się do góry nogami.

Grosvenor słuchał koordynatora z mieszanymi uczuciami. Cały incydent szybko zamazywał się w pamięci, szczegóły traciły na wyrazistości, odpływały w mrok. Nikt już nie zdoła odtworzyć wydarzeń minuta po minucie, dokładnie tak, jak zaszły. Niebezpieczeństwo wydawało się teraz bardzo odległe.

- Dość tych wyrazów współczucia! - obruszył się Kent. - Mamy coś do zrobienia. Trzeba wybić wszystkie koty na tej żalösnej planecie.

- Nie powinniśmy mieć z tym kłopotu - mruknął cicho Korita. - To dzikusy. Wystarczy, że wylądujemy, a same do nas przyjdą w nadziei, że uda się im nas oszukać. - Odwrócił się do Grosvenora i ciągnął przyjaźnie: - Nadal uważam, że tak się stanie, nawet gdyby przedstawiona przez naszego młodego przyjaciela teoria „zwierzęca” okazała się słuszna. Co pan na to, Grosvenor?

- Poszedłbym nawet o krok dalej - odrzekł neksjalista. - Jako historyk zgodzi się pan zapewne, że żadna z podejmowanych w przeszłości prób całkowitej eksterminacji jakiegoś gatunku nie zakończyła się powodzeniem. Nie zapominajmy, że kot zaatakował nas kierowany straszliwym głodem, co oznacza, że zasoby planety nie wystarczają już dla zachowania jego rasy przy życiu. Inne kociaki nie mają pojęcia o naszej obecności, więc nie musimy się nimi przejmować. Może po prostu dajmy im wymrzeć z głodu?

Neksjalizm to umiejętność harmonijnego łączenia wiedzy z różnych dziedzin nauki. Oferuje techniki przyspieszające proces uczenia się i skutecznego wykorzystywania wiadomości już posiadanych. Serdecznie zapraszam wszystkich na wykład, który odbędzie się

W DZIALE NEKSJALIZMU
O godzinie 15.50 dnia 9/7/1*
ELLIOTT GROSVENOR

Grosvenor umieścił ogłoszenie na prawie całkowicie już wypełnionej tablicy. Następnie odsunął się o krok, żeby popatrzeć na swoje dzieło. Jego propozycja musiała rywalizować z ośmioma innymi wykładami, trzema filmami fabularnymi, czterema oświatowymi, dziewięcioma zebraniem grup dyskusyjnych oraz kilkoma meczami, a ludzie, których nie zainteresuje żadna z tych ofert, będą w tym czasie siedzieć w swoich kabinach czytając książki lub spotykając się z przyjaciółmi, albo odwiedzać bary i kluby, z których każdy był codziennie wypełniony po brzegi.

Mimo to miał pewność, że jego ogłoszenie zostanie przeczytane. W przeciwieństwie do pozostałych, nie było zwykłą kartką papieru, lecz pomysłowym gadżetem, grubym prawie na centymetr. Litery odznaczały się niczym płaskorzeźby na podświetlonym tle. Cienka jak papier wielobarwna tarcza, obracająca się w polu magnetycznym, emitowała coraz to nowe kolory. Litery zmieniały barwę pojedynczo lub grupami, a ponieważ częstotliwość fal świetlnych była inna przy każdym obrocie tarczy, układ kolorów nigdy się nie powtarzał.

Ogłoszenie wyróżniało się wśród pozostałych jak jaskrawy neon. Chyba wszyscy zwrócą na nie uwagę. Doskonale.

Zadowolony, udał się do bufetu. Kiedy wchodził, jakiś człowiek stojący przy drzwiach wręczył mu ulotkę. Grosvenor obejrzał ją z lekkim zdziwieniem.

GŁOSUJ NA KENTA!

Pan Gregory Kent jest szefem jednego z największych działów na naszym statku. Zawsze chętnie współpracuje z innymi sekcjami naukowymi. To naukowiec o wielkim sercu, rozumiejący problemy innych naukowców. Pamiętaj, że twój statek, oprócz stu osiemdziesięciu oficerów i żołnierzy, wiezie na pokładzie również ośmiuset czterech naukowców, a kierownictwo wyprawy zostało wyznaczone arbitralnie i w pośpiechu przed samym odlotem. Nie powinniśmy tego dłużej tolerować. Mamy prawo do demokratycznych wyborów.

SPOTKANIE PRZEDWYBORCZE 9/7/1

Godzina 15.00 GŁOSUJ NA KENTA!

Grosvenor wsunął ulotkę do kieszeni i wszedł do jasno oświetlonego bufetu. Jego zdaniem osoby tak zasklepione w swojej specjalności naukowej jak Kent rzadko zastanawiają się, jaki skutek mogą mieć na dłuższą metę ich poczynania. A przecież ich postępowanie prowadziło prosto do tego, że ludzie dzielili się na przeciwstawne obozy. W ciągu ostatnich dwustu lat zaginęła dokładnie połowa międzygwiazdnych ekspedycji. Powodów można było jedynie się domyślać wiedząc, co działo się na statkach, które powróciły. Wśród członków załóg panowało powszechne zniechęcenie, toczono jałowe dyskusje, wzbierały konflikty interesów, tworzyły się opozycyjne grupy. To ostatnie zjawisko rosło niemal wprost proporcjonalnie do czasu trwania wyprawy.

Demokratyczne wybory stanowiły nowość. Udzielono pozwolenia na ich przeprowadzenie, ponieważ ludzie niechętnie okazywali posłuszeństwo oficjalnie ustanowionym dowódcom. Jednak załoga statku to nie miniaturowy naród. W trakcie wyprawy nie można uzupełniać ewentualnych strat w ludziach. W przypadku katastrofy, zasoby ludzkie stawały się poważnie ograniczone.

Marszcząc czoło na myśl o możliwych konsekwencjach, zły, że spotkanie przedwyborcze koliduje z jego wykładem, Grosvenor podszedł do swojego stolika. W bufecie było tłoczno. Ludzie, którzy towarzyszyli mu w tym tygodniu, zaczęli już jeść. Byli to trzej młodzi naukowcy z różnych działów.

Kiedy usiadł, jeden z nich powiedział wesoło:

- No jak, panowie, na którą kobietkę dziś zapolujemy?

Grosvenor roześmiał się przez grzeczność, lecz wiedział, że ta uwaga nie była do końca żartobliwa. Rozmowy między młodymi mężczyznami najczęściej schodziły na te same tematy. Nieustannie rozmawiano o seksie i o kobietach. Ponieważ w wyprawie brali udział wyłącznie mężczyźni, problem potrzeb seksualnych rozwiązano za pomocą chemii, dodając do codziennej diety mieszankę pewnych Środków farmakologicznych. Likwidowało to popęd fizyczny, ale nie dawało zaspokojenia emocjonalnego.

Nikt nie odpowiedział na pytanie. Carl Dennison, młody chemik, popatrzył posepnie na swoich rozmówców, a potem zwrócił się do Grosvenora:

- Jak zamierzasz głosować, Grove?

- Wybory są tajne - przypomniał mu Grosvenor i zmienił temat. - Pamiętacie, co dziś rano opowiadał Allison o tej blondynce? Dennison nie dawał za wygraną.

- Będziesz głosował na Kenta, prawda? Grosvenor uśmiechnął się.

- Jeszcze o tym nie myślałem. Wybory są dopiero za kilka miesięcy, A co powiesz o M Ottonie?

- Przecież to człowiek narzucony przez rząd.

- Tak samo jak ja. I jak ty.

- On jest tylko matematykiem, a nie prawdziwym naukowcem.

- To dla mnie coś nowego - zdziwił się Grosvenor. - Zawsze wydawało mi się, że matematycy są naukowcami.

- No widzisz, wydawało ci się. Ale oni tylko udają naukowców. - Dennison najwyraźniej zamierzał przekonać go do swojej koncepcji. Był poważnym, dobrze zbudowanym mężczyzną. Teraz pochylił się do przodu, jakby zamierzał powiedzieć coś bardzo ważnego. - My, prawdziwi naukowcy, powinniśmy trzymać się razem. Pomyśl tylko, stanowimy większość załogi statku, a kogo postawiono nad nami? Faceta zajmującego się abstrakcjami. On nie ma doświadczenia w rozwiązywaniu rzeczywistych problemów.

- To ciekawe. Zawsze miałem wrażenie, że Morton dobrze sobie radzi z kierowaniem wyprawą.

- Sami możemy się zatroszczyć o siebie - Dennison był już poirytowany.

Grosvenor nacisnął klawisze i potrawy zaczęły wylaniać się z rury pośrodku stołu. Pociągnął nosem.

- Ach, wędzone trociny, prosto z działu chemii! Pachną wybornie. Ciekawe, czy drewno z planety kotów zostało przyrządzone równie starannie jak to, które wieźliśmy ze sobą? - Machnął ręką. - Proszę odpowiadać. Nie chcę pozbywać się złudzeń w kwestii prawidłowego funkcjonowania wydziału pana Kenta, mimo że nie podoba mi się jego postępowanie. Widzisz, prosiłem go kiedyś o współpracę, o której teraz napisał w ulotce, a on mi odpowiedział, że bym zadzwonił za dziesięć lat. Chyba zapomniał, że zbliżają się wybory. Poza tym miał czelność zaplanować swoje spotkanie przedwyborcze na wieczór mojego wykładu. - Powiedziawszy to, zabrał się do jedzenia.

- Żaden wykładnie jest równie ważny jak to spotkanie. Będziemy na nim omawiać sprawy, od

których zależy los nas wszystkich. Twój również. - Dennison poczerwieniał, mówił zachrypniętym głosem. - Posłuchaj, Grove, przecież nie możesz być źle nastawiony do człowieka, którego prawie nie znasz. Kent potrafi się odwdzięczać przyjaciołom.

- Założę się, że równie dobrze potrafi odwdzięczać się wrogom - odparł Grosvenor. Wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem. - Widzisz, Carl, według mnie Kent reprezentuje wszystko, co jest destrukcyjne na naszym etapie rozwoju cywilizacji. Konta twierdzi w swojej teorii cykliów historycznych, że znajdujemy się teraz w epoce „zimowej”. Nie pytałem go jeszcze, co to dokładnie oznacza, ale myślę, że ta karykatura demokratycznej kampanii, którą prowadzi Kent, jest jednym z najgorszych przejawów takiej właśnie epoki.

Chciał jeszcze dodać, że jego obecność na statku miała zapobiegać podobnemu obrotowi spraw, ale oczywiście nie mógł sobie na to pozwolić. Właśnie takie spory były przyczyną porażki widu wcześniejszych wypraw. W rezultacie załogi, nawet o tym nie wiedząc, stanowiły obecnie doświadczalne grupy do badań socjologicznych. Wysyłano neksjalistów, zezwalano na przeprowadzanie wolnych wyborów, dzielono dowództwo między kilku ludzi - wszystko po to, aby podróż kosmiczną uczynić bardziej znośną.

Na twarzy Dennisona zagościł wyraz niezadowolenia.

- Patrzcie, co za filozof! - wykrzyknął. Po chwili jednak dodał nieco ciszej: - Jeśli wiesz, co dla ciebie dobre, będziesz głosował na Kenta.

- A jeśli nie, to co? Kent odbierze mi moją porcję trocin? A może sam chce kandydować? Spróbuję zdobyć głosy wszystkich, którzy nie ukończyli trzydziestu pięciu lat. Bądź co bądź, nas młodych jest kilka razy więcej niż starszych. Demokracja wymaga, abyśmy mieli odpowiednią liczbę przedstawicieli - odpowiedział Grosvenor spokojnie, chociaż był zły.

Dennison najwyraźniej zdołał się opanować.

- Popelniasz życiową pomyłkę, Grosvenor - ostrzegł. - Przekonasz się.

Resztę posiłku zjedli w milczeniu.

Tego wieczoru, pięć minut po godzinie, o której miał się rozpocząć jego wykład, Grosvenor zaczął odnosić wrażenie, że to, co ma do powiedzenia nie wzbudza u nikogo najmniejszego zainteresowania. Trochę się temu dziwił. Oczywiście Kent mógł zabronić swoim zwolennikom chodzenia na wykłady prowadzone przez człowieka, który namawiał, aby na niego nie głosować. Lecz jeśli nawet szef działu chemii miał wpływ na większość swoich wyborców, pozostawało przecież, kilkuset ludzi, którzy go nie słuchali. Grosvenorowi uparcie przypominały się słowa neksjalisty z rządu wypowiedziane na dzień przed odlotem wyprawy.

- Praca, której podjął się pan na statku, nie będzie łatwa. Neksjalizm proponuje zupełnie nowe podejście do przyswajania sobie wiedzy i łączenia w jedno różnych dyscyplin nauki. Starsi ludzie będą się temu odruchowo przeciwstawiać. Młodszy, jeśli kształcono ich zwykłymi metodami, z początku okażą niechęć, bo dowiedzą się, że opanowane przez nich umiejętności są już przestarzałe. Pan zaś będzie musiał przekładać na praktykę to, czego nauczył się w teorii, choć szkolenie jakie pan przeszedł, bardzo to panu ułatwi. Proszę tylko pamiętać, że człowiek, który ma rację, w sytuacji kryzysowej na ogół zyskuje zwolenników.

O 16.10 Grosvenor poszedł do tablicy ogłoszeń w dwóch holach oraz na głównym korytarzu, i zmienił godzinę rozpoczęcia wykładu na 17.00. Potem zmienił ją na 17.50, a później jeszcze na 18.00. - Ktoś powinien przyjść - mruknął pod nosem. - Spotkanie przedwyborcze nie może trwać w nieskończoność, a pozostałe wykłady są dwugodzinne. - Za pięć osiemnasta usłyszał kroki dwóch mężczyzn zbliżających się powoli korytarzem. Kiedy dotarli do otwartych drzwi, zapadła cisza, a potem odezwał się głos:

- Tak, to tutaj.

Mężczyźni roześmiali się bez wyraźnego powodu i weszli: Grosvenor wahał się przez chwilę, ale zaraz skinął im grzecznie na powitanie. Od pierwszego dnia podróży postawił sobie za zadanie zapamiętać wszystkich członków załogi, ich głosy, twarze i imiona, i dowiedzieć się o nich jak najwięcej. Ponieważ załoga była bardzo liczna, do dziś nie udało mu się zrealizować zamiaru. Ale tych dwóch pamiętał. Obaj byli z działu chemii.

Patrzył na nich niepewnie, kiedy przechadzali się między tablicami przedstawiającymi maszyny uczące. Mężczyźni wydawali się czymś rozbawieni. W końcu usiedli i jeden z nich zapytał z trochę przesadną uprzejmością:

- Panie Grosvenor, kiedy zacznie się wykład?

- Mniej więcej za pięć minut - odparł Grosvenor spojrzawszy na zegarek.

Potem przyszło jeszcze osiem osób. Po przykrym początku, podniosło to Grosvenora na duchu, zwłaszcza że wśród przybyłych był Donald McCann, szef działu geologii. Nie przeszkadzało mu nawet, że czterech obecnych stanowili chemicy.

Zadowolony, rozpoczął wykład na temat warunkowania klasycznego i jego rozwoju od czasów Pawłowa aż po dzisiejsze odkrycia neksjalistów.

Gdy skończył, zabrał głos McCann.

- Słyszałem, że w jednej z technik stosuje się tak zwaną maszynę snu, która uczy gdy człowiek śpi.

- Zaśmiał się ironicznie. - Pamiętam, jak jeden z moich dawnych profesorów wykazał, zapoznanie wszystkiego, co do tej pory odkryła nauka, zajęłoby tą metodą prawie tysiąc lat. Pan nie wspomniał o tej niedoskonałości. ?

Grosvenor zdawał sobie sprawę, że jego rozmówca spogląda na niego z odrobiną politowania. Uśmiechnął się.

- Ta niedoskonałość - powiedział - była częściowo spowodowana starszym sposobem korzystania z tych maszyn, bez wstępnego treningu. Obecnie neksjaliści stosują hipnozę i psychoterapię, aby przełamać początkowy opór. Dla przykładu, mnie po testach powiedziano, że w normalnych warunkach mogę włączać hipnogenerator na pięć minut co dwie godziny.

- Bardzo słaba tolerancja - stwierdził McCann. - Ja mogłem go włączać na trzy minuty co pół godziny.

- I uznał pan, że to wystarczy, prawda? - odparł natychmiast Grosvenor.

- A co pan zrobił? Grosvenor uśmiechnął się.

- Ja osobiście nie robiłem nic, ale trenowano mnie różnymi metodami, dopóki nie zdołałem spać spokojnie przez osiem godzin przy włączonej maszynie. Poznałem też kilka technik przyspieszających proces uczenia.

Geolog zignorował¹ to ostatnie stwierdzenie.

- Osiem godzin porządnego snu! - wykrzyknął zaskoczony.

- Porządnego - przyznał Grosvenor.

McCann najwyraźniej zastanawiał się nad tym, co usłyszał.

-A jednak-powiedział w końcu-to pozwala wydłużyć czas nauki zaledwie trzykrotnie. Wielu ludzi nawet bez przygotowania potrafi korzystać z maszyn co kwadrans przez pięć minut i nie budzić się.

- Owszem, ale wymaga to wielokrotnego powtarzania informacji - odpowiedział spokojnie Grosvenor, przyglądając się uważnie rozmówcy. - Poznał po niepewności malującej się na jego twarzy, że udało mu się wysunąć przekonujący argument. Natychmiast podjął swój wywód. -Z całą pewnością zdarzyło się panu zobaczyć czy usłyszeć coś tylko raz, i już nigdy tego nie zapomnieć. A jednak innym razem informacja, która wydaje sterownie ważna, zanika w pańskiej pamięci do tego

stopnia, że nie jest pan nawet w stanie rozpoznać jej, kiedy się pan na nią natknie po raz drugi. Ma to swoje przyczyny, a neksjalistom udało się ustalić.

McCann nic nie powiedział. Zaciśnął usta. Ponad jego ramieniem Grosvenor spostrzegł, że czterech ludzi z działu chemii zebrało się przy drzwiach prowadzących na korytarz. Rozmawiali o czymś szeptem. Popatrzył na nich tylko przelotnie, a potem znów odezwał się do geologa.

- Na samym początku wydawało mi się czasami, że nie wytrzymam tak dużego tempa. Rzecz jasna, nie mam na myśli nauki za pomocą hipnogenatora. W całym moim szkoleniu dostarczyła mi ona zaledwie dziesięciu procent informacji.

- To, co usłyszałem, przytłacza mnie. McCann potrząsał głową. Domyślam się, że najwięcej dowiedział się pan z tych filmów, na których każdy obraz jest pokazywany tylko przez niewielki ułamek sekundy.

- Owszem używaliśmy filmów tachistoskopowych przez trzy godziny dziennie - przyznał Grosvenor - ale one dostarczyły mniej więcej czterdziestu procent całej wiedzy. Najważniejsze było przyspieszone powtarzanie informacji.

- Cała dziedzina nauki za jednym posiedzeniem! - zachwycił się McCann. - Właśnie to nazywacie nauczaniem kompleksowym?

- To tylko jedna z metod. Pozwala uczyć się za pomocą wszystkich zmysłów - dotyku, słuchu, wzroku, węchu i smaku.

McCann ponownie zmarszczył czoło. Grosvenor zauważył, że młodzi chemicy ostatecznie postanowili opuścić salę. Z korytarza dobiegał ich stłumiony śmiech. Hałas wyrwał McCanna z zamyślenia.

- Czy zechciałby pan w najbliższym czasie odwiedzić mój wydział? - spytał w końcu - Może udałoby nam się stworzyć metodę wykorzystania pańskiej wiedzy w naszej pracy w terenie. Będziemy mogli przeprowadzić próby, jak tylko wylądujemy na następnej planecie.

Grosvenor wracał do siebie pogwizdując pod nosem. Odniósł swoje pierwsze zwycięstwo i było mu z tym bardzo przyjemnie.

* Na statku posługiwano się tak zwanym czasem gwiazdnym, według którego godzina miała sto minut, a doba dwadzieścia godzin. Tydzień miał dziesięć dni, miesiąc - trzydzieści, a rok - trzysta sześćdziesiąt. Dni tygodnia nie miały nazw, lecz numery, zaś datę liczono od momentu rozpoczęcia wyprawy.

Następnego ranka, kiedy Grosvenor przyszedł do pracy, ze zdziwieniem zauważył, że drzwi są otwarte. Na mroczny korytarz wylewało się z nich jaskrawe światło. Przyspieszył kroku i wszedł do środka.

Od razu spostrzegł siedmiu techników z dziań chemii. Wśród nich było dwóch słuchaczy wczorajszego wykładu. Ustawili w pomieszczeniu jakieś urządzenie, złożone z dużej liczby probówek, kilku tygli oraz płataniny rurek.

Grosvenor przypomniał sobie, jak chemicy zachowywali się na wykładzie. Stał w drzwiach, rozważając różne wyjścia z sytuacji i wściekając się na myśl o tym, co stało się z jego wyposażeniem. Wykorzystywał tę salę do rozmaitych celów. Trzymał tu wiele urządzeń, choć początkowo w sali miały się jedynie odbywać wykłady i szkolenia. W pozostałych czterech pomieszczeniach znajdowało się wyposażenie specjalistyczne.

Przez otwarte drzwi prowadzące do studia nagrań zobaczył, że i ono zostało zajęte. Był tak zszokowany, że nic nie powiedział. Nie zwracając uwagi na krzątających się ludzi, przeszedł przez salę i kolejno zlustrował wszystkie cztery pokoje. Trzy z nich przywłaszczyli sobie chemicy: studio nagrań, laboratorium i narzędziownię. Do czwartego pokoju, w którym stało wyposażenie techniczne, oraz do przyległego magazynu, wepchnięto wszystkie meble oraz przenośne aparaty z pozostałych pokoi. Magazyn miał osobne wejście z wąskiego korytarza. Grosvenor pomyślał ze smutkiem, że już wkrótce może to być jedyne wejście do jego działu.

Mimo to powściągnął gniew i zaczął się zastanawiać nad konsekwencjami tej sytuacji. Powinien złożyć protest na ręce Mortona.

Być może Kent w jakiś sposób zamierzał spożytkować ten fakt w swojej kampanii wyborczej. Grosvenor nie rozumiał, jakie korzyści by mu to mogło przynieść, ale Kent najwyraźniej miał jakiś plan.

Wolnym krokiem wrócił do dawnej sali wykładowej. Teraz zauważył, że w probówkach produkowano żywność. Sprytnie. Będzie wyglądało na to, że pomieszczenie zagospodarowano w sposób użyteczny, co wcześniej było kwestią dyskusyjną.

Wiedział, dlaczego Kent zaanektował jego pomieszczenia. Szef działu chemicznego od początku odnosił się do niego z wielką niechęcią. Opowiadając się otwarcie przeciwko jego kandydaturze - o czym zapewne rozpowiadano - Grosvenor musiał jeszcze pogłębić tę niechęć. Jednak zemsta Kenta, jeśli tylko umiejętnie zagrać, mogła obrócić się przeciwko niemu samemu. Grosvenor postara się, aby ta inwazja nie przyniosła Kentowi nawet najmniejszej korzyści.

Podszedł do jednego z krzątających się mężczyzn i powiedział:

- Czy mógłby pan przekazać, że cieszę się możliwością doskonalenia pracowników działu chemii, i że chciałbym, aby wszyscy oni zgodzili się poddać podczas pracy zabiegom edukacyjnym?

Odszedł nie czekając na odpowiedź. Kiedy obejrzał się przez ramię, intruzi wpatrywali się w niego. Grosvenor powstrzymał śmiech. Wchodząc do pomieszczenia technicznego poczuł rozbawienie. Przynajmniej znalazł się w sytuacji, w której będzie mógł wypróbować kilka eksperymentalnych metod nauczania.

Ponieważ całe wyposażenie stłoczono w niewielkim pokoju, dopiero po jakimś czasie odnalazł gaz hipnotyzujący, którego potrzebował. Prawie pół godziny zajęło mu znalezienie tłumika do dyszy. Nie chciał, żeby gaz wydobywał się z sykiem, Założywszy tłumik, wytaszczył pojemnik z gazem do sali wykładowej. Otworzył szafę ścienną o drzwiach z drucianej siatki, wstawił pojemnik do środka i odkręcił kurek. Szybkim ruchem zaniknęły drzwi z powrotem.

Delikatna woń perfum zmieszała się z zapachem chemikaliów.

Pogwizdując cicho, Grosvenor ruszył przez salę. Zatrzymał go szef produkcji żywności, który również był obecny na wczorajszym wykładzie.

- Co pan do cholery wyprawia?

Grosvenor uśmiechnął się nieznacznie.

- Proszę nie zwracać na mnie uwagi. Będę przeprowadzał eksperyment edukacyjny na pańskich ludziach.

- A kto pana prosił o robienie jakichś eksperymentów?

- Ależ panie Malden - odparł Grosvenor, udając zaskoczenie. - Po cóż innego zostalibyście tu przysłani? - Roześmiał się głośno. - Żartowałem. To tylko dezodorant. Nie chcą, żeby moje pomieszczenia przeszły zapachem chemikaliów.

Odszedł nie czekając na odpowiedź i stanął z boku, wypatrując reakcji na gaz hipnotyzujący. W dziale znajdowało się piętnastu ludzi. Należało oczekiwać pięciu w pełni prawidłowych reakcji i pięciu częściowo prawidłowych. Istniały sposoby, aby to rozpoznać.

Po kilku minutach bacznej obserwacji, Grosvenor postąpił naprzód, zatrzymał się przy jednym z ludzi i powiedział cichym, lecz zdecydowanym głosem:

- Przyjdź do łazienki za pięć minut, to coś ci dam. A teraz zapomnij o tym, co powiedziałem!

Cofnął się do drzwi prowadzących do studia nagrań. Gdy się odwrócił zobaczył, że Malden podchodzi i mówi coś do zahipnotyzowanego człowieka. Technik pokręcił głową z wyraźnym zaskoczeniem.

- Jak to: nie rozmawiałeś z nim? Przecież sam widziałem. - Malden podniósł głos.

- Nic nie słyszałem. Przecież bym pamiętał - rozżłościł się technik.

Grosvenor już ich nie słuchał. Kątem oka dostrzegł, że jeden z mężczyzn pracujących w sąsiednim pokoju przejawia oznaki prawidłowej reakcji. Podeszedł do niego i powiedział mu to samo, co pierwszemu - zjedną tylko różnicą: kazał mu przyjść nie za pięć, lecz za piętnaście minut.

Aż sześciu lute zareagowało na tyle silnie, aby pomóc Grosvenorowi w realizacji planu. Spośród pozostałych, trzy osoby - w tym Malden - przejawiały słabszą reakcję. Grosvenor na razie się nimi nie zajmował. Na tym etapie eksperymentu musiał mieć całkowitą pewność sukcesu. Później wypróbuje na pozostałych inną odmianę gazu.

W wyznaczonym czasie pierwszy z zahipnotyzowanych wszedł do łazienki. Grosvenor uśmiechnął się do niego i powiedział:

- Widziałeś kiedyś coś takiego? - Trzymał w ręku miniaturowy kryształ z zaczepami umożliwiającymi umieszczenie go w uchu.

Mężczyzna z ciekawością spojrzął na urządzenie, i przecząco pokręcił głową.

- Co to takiego? - zapytał.

- Odwróć się, żebym mógł ci to założyć - nakazał Grosvenor. - Kiedy tamten potulnie spełnił rozkaz, Grosvenor ciągnął dalej: - Jak zapewne zauważyłeś, zewnętrzna część urządzenia ma kolor Ciała, dzięki czemu można je dostrzec jedynie z bliska. Jeśli ktoś je zauważy, możesz powiedzieć, że to aparat słuchowy.

Skończywszy zakładać urządzenie, odsunął się o krok.

- Za chwilę powinieneś przestać odczuwać, że je masz. Nie będziesz nic czuł.

- Już teraz prawie wcale go nie czuję. Do czego to służy? - Technik był wyraźnie zainteresowany aparacikiem.

- To jest radio - wyjaśnił Grosvenor. Mówił powoli, podkreślając każde słowo. - Ale to, co usłyszysz, nie dotrze do twojej świadomości. Wszystko zapadnie ci od razu w podświadomość.

Będziesz słyszał, co mówią do ciebie inni ludzie. Będziesz mógł normalnie rozmawiać. Będziesz prowadził normalne życie, nie zdając sobie sprawy, że dzieje się coś niezwykłego. Wkrótce o wszystkim zapomnisz.

- Ach, coś podobnego! - powiedział technik.

Wyszedł, kręcąc głową z niedowierzaniem. Po kilku minutach przyszedł następny, a później pozostałe cztery osoby przejawiające prawidłową reakcję. Grosvenor zamontował wszystkim miniaturowe radia.

Pogwizdując pod nosem wyciągnął kolejny pojemnik z gazem i wstawił go do szafki na miejsce poprzedniego. Tym razem szef produkcji żywności i czterech innych ludzi zareagowało prawidłowo. Spośród pozostałych dwóch przejawiało słabą reakcję, u jednego reakcja znikła całkowicie, a jeden w ogóle nie zareagował.

Grosvenor cieszył się, bo udało mu się wprowadzić w głęboki trans jedenaście z piętnastu osób. Kent będzie niemile zaskoczony, kiedy w jego dziale pojawi się tyłu geniuszy.

Mimo wszystko było jeszcze daleko do ostatecznego zwycięstwa i prawdopodobnie wcale go nie osiągnie, jeśli w jakiś sposób nie zaatakuje Kenta bezpośrednio.

W pośpiechu nagrał taśmę, której zawartość miała zostać nadana do odbiorników usznych. Kiedy taśma zaczęła się odtwarzać, przechadzał się wśród pracujących ludzi i obserwował ich reakcje. Czterech z nich najwyraźniej było czymś zaniepokojonych. Grosvenor podszedł do tego, który najczęściej kręcił głową.

- Co się stało? - zapytał

- Słyszę jakiś głos. To idiotyczne. - Mężczyzna zaśmiał się nerwowo.

- Wyraźny? - Nie było to pytanie, które w takich okolicznościach zadałby zwykły rozmówca, lecz Grosvenor wypowiedział je zdecydowanym tonem.

- Nie, odległy. Czasami oddala się, a potem...

- Wkrótce ucichnie - zapewnił go Grosvenor. - Wiesz, że umysł może ulec przeciążeniu. Załóżę sta, że ten głos ucichł, gdy tylko skierowałeś uwagę na rozmowę.

Mężczyzna przechylił głowę na bok, jakby nasłuchiwał i pokiwał niepewnie głową.

- Rzeczywiście, ucichł. - Wyprostował się i westchnął z ulgą. - A już zaczynałem się niepokoić.

Jeszcze, dwóch przejawiało podobną reakcję. Trzeci zaś, nawet mimo dodatkowej sugestii, nadal słyszał głos. Grosvenor w końcu postanowił odciągnąć go na stronę, i pod pozorem badania ucha usunął miniaturowy odbiornik. Widocznie ten człowiek potrzebował dłuższego treningu.

Grosvenor porozmawiał przez chwilę z pozostałymi uczestnikami eksperymentu. Następnie, zadowolony z siebie, poszedł do pomieszczenia technicznego i nagrał serię trzyminutowych przekazów, które miały być odtwarzane co kwadrans. Wróciwszy na salę wykładową jeszcze raz rozejrzał się i upewnił, czy wszystko jest w porządku. Uznał, że bez obaw może pozostawić techników samych. Wyszedł na korytarz i skierował się do windy.

Po dłuższej chwili znalazł się w dziale matematycznym i poprosił o spotkanie z Mortonem. Ku jego zaskoczeniu, natychmiast udzielono mu zgody.

Morton, siedzący za wielkim biurkiem, wskazał krzesło i Grosvenor usiadł.

Znalazł się w gabinecie cywilnego szefa ekspedycji po raz pierwszy, więc rozglądał się ciekawie. Pomieszczenie było przestronne, jedną ścianę zajmował olbrzymi iluminator, przez który było teraz widać całą galaktykę, w której rodzime słońce ludzi miało wielkość ziarenka piasku.

W polu widzenia znajdowało się też kitka gromad gwiazdnych, które - mimo iż nie stanowiły jedności z Drogą Mleczną - wraz z nią obracały się w przestrzeni. Ich widok przypomniał Grosvenorowi, że statek właśnie przelatuje przez jedną z nich.

Skończywszy powitalne grzeczności, zapytał:

- Wiadomo już, czy zatrzymamy się przy którejś z gwiazd tej gromady?

- Wygląda na to, że nie. I zgadzam się z tą decyzją. Lecimy do innej galaktyki. Nasza podróż wystarczająco się już przeciągnęła. - Pochylił się, żeby wziąć z biurka jakiś dokument, po czym znów rozparł się w fotelu. - Słyszałem, że zajęto pańskie pomieszczenia - powiedział, zmieniając temat.

Grosvenor uśmiechnął się, chociaż wcale nie było mu do śmiechu. Nie wątpił, że pewnym ludziom wydarzenie sprawiało prawdziwą przyjemność, gdyż wielu z nich odczuwało lekką obawę na myśl o możliwościach neksjalizmu. I właśnie im - chociaż niekoniecznie chodziło tu o popleczników Kenta - nie podobałoby się, że koordynator wyprawy miesza się w tę sprawę.

Wiedząc o tym, Grosvenor mimo wszystko postanowił przyjść, aby przekonać się, czy Morton ma rozeznanie w sytuacji. Opisał mu w skrócie co się stało i na koniec dodał:

- Panie Morton, proszę aby kazał pan Kentowi wycofać się z mojego działu. - Wcale nie zależało mu, żeby taki rozkaz został wydany. Chciał się tylko przekonać, czy Morton zdaje sobie sprawę z grożącego niebezpieczeństwa.

Koordynator tylko pokręcił głową i powiedział spokojnie:

- Prawdę mówiąc, ma pan dość duże pomieszczenia jak na jedną osobę. Dlaczego nie miałyby się pan nimi podzielić z innym działem?

Odpowiedź na to pytanie była zbędna. Grosvenor nie miał innego wyjścia, jak tylko nalegać dalej.

- Czy mam przez to rozumieć, że kierownik jakiegokolwiek działu na naszym statku ma prawo samowolnie zająć pomieszczenia innego działu?

Morton nie odpowiedział od razu. Na jego twarzy zagościł ponury uśmiech. Przez chwilę bawił się ołówkiem, w końcu odrzekł:

- Moim zdaniem źle pan pojmuję funkcję, jaką tutaj pełnię. Przed podjęciem decyzji dotyczącej kierownika działu, mam obowiązek skonsultować się z władzami innych działów. - Zaczął wpatrywać się w sufit - Założmy, że postanowię podjąć ten temat na zebraniu, i zapadnie decyzja zezwalająca Kentowi na przejęcie pomieszczeń, które do tej pory zajął. Wówczas utraci je pan na zawsze. - Po chwili dodał obojętnym tonem: - Odnoszę wrażenie, że w chwili obecnej taka niedogodność byłaby panu nie na rękę. - Uśmiechnął się nieco szerzej.

Grosvenor, osiągnąwszy swój cel, odwzajemnił uśmiech.

- Cieszę się, że mogę liczyć na pańskie wsparcie w tej sprawie. A zatem, o ile dobrze zrozumiałem, nie pozwoli pan Kentowi podjąć tej kwestii na zebraniu?

Jeśli nawet Morton był zaskoczony nagłą zmianą postawy Grosvenora, to nie dał nic po sobie poznać.

- Porządek dzienny zebrań - powiedział dumnie - to jedna z rzeczy, nad którymi mam znaczną kontrolę. Moje biuro zajmuje się ich przygotowaniem. Ja dbam o to, by go przestrzegano. Kierownicy działów mogą postanowić, aby prośba Kenta została rozpatrzona na najbliższym zebraniu, lecz na razie nic mi o tym nie wiadomo.

- Z tego, co pan mówi wynika - stwierdził Grosvenor - że pan Kent wniósł już wniosek o przyznanie mu czterech pomieszczeń należących do mojego działu.

Morton przytaknął. Odłożył dokument, który trzymał w ręku, i wziął kalendarz. Przejrzał go z uwagą.

- Najbliższe zebranie odbędzie się pojutrze. Kolejne są zaplanowane na co dziesięć dni, jeśli nie postanowię inaczej. Wydaje mi się... - Morton mówił takim tonem, jakby rozmyślał na głos. - Wydaje mi się, że bez trudu odwołam zebranie wyznaczone za dwanaście dni. - Odłożył kalendarz i wstał energicznie. - A więc będzie pan miał dwadzieścia dwa dni, aby rozwikłać tę sprawę.

Grosvenor powoli wstał z krzesła. Postanowił nie dyskutować na temat czasu, jaki uzyskał. W tej chwili wydawało mu się, że otrzymał go stanowczo zbyt wiele, ale gdyby o tym powiedział, wyszedłby na zarozumialca. Na długo przed wyznaczonym terminem powinien już wiedzieć, czy odzyskał kontrolę nad swoim działem, czy też poniósł definitywną porażkę.

- Chciałem poruszyć jeszcze jedną kwestię - powiedział. - Myślę, że powinienem mieć możliwość bezpośredniego komunikowania się z kierownikami innych działów, gdy mam na sobie skafander.

- Jestem pewien, że to było zwykłe niedopatrzenie. Sprawa zostanie załatwiona - obiecał mu Morton z uśmiechem.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie i rozstali się. Wracając do siebie Grosvenor miał wrażenie, że chociaż w bardzo pośredni sposób, neksjalizm zaczyna jednak zdobywać grunt.

W sali wykładowej z zaskoczeniem spostrzegł, że jest tu Siedel i stojąc z boku, przygląda się pracującym chemikom.

- Młody człowieku - powiedział psycholog podchodząc bliżej - czy to przypadkiem nie jest trochę sprzeczne z etyką?

Grosvenor z przerażeniem zrozumiał, że Siedel odkrył, co się stało z chemikami. Nie okazał jednak tego przerażenia i szybko odparł:

- Absolutnie sprzeczne, proszę pana. Czuję się dokładnie tak, jak i pan by się czuł, gdyby pański dział został zajęty wbrew prawu.

Co on tu robi? - pomyślał. Czyżby Kent przysłał go na zwiady?

Siedel podrapał się po brodzie. Był dobrze zbudowanym mężczyzną o bystrych, czarnych oczach.

- Nie to miałem na myśli - powiedział, cedząc słowa. - Ale widzę, że czuje się pan usprawiedliwiony.

- Czy chodzi panu o metodę nauczania, jaką stosuję wobec tych ludzi? - spytał Grosvenor, zmieniając taktykę.

Nie czuł żadnych wyrzutów sumienia. Bez względu na to, z jakiego powodu ten człowiek tu przyszedł, musi wykorzystać jego obecność na swoją korzyść. Miał nadzieję, że uda mu się zasiać w psychologu wątpliwości, skłonić go do zajęcia neutralnej pozycji wobec konfliktu między nim samym a Kentem.

- Owszem, o to mi chodzi - przyznał Siedel ironicznie. - Na prośbę pana Kenta przebywałem tych członków działu chemicznego, którzy jego zdaniem zachowywali się w sposób niezwykle. W tej chwili moim obowiązkiem jest przedstawienie panu Kentowi raportu z badania.

- Dlaczego? - zdziwił się Grosvenor. Po chwili dodał żarliwie: -Panie Siedel, mój dział został bezprawnie zajęty przez człowieka, który mnie nie lubi, ponieważ otwarcie oświadczyłem, że nie będę na niego głosował. Skoro pan Kent złamał zasady obowiązujące na naszym statku, mam prawo bronić się najlepiej, jak umiem. Proszę zatem, aby zachował pan neutralność w tym całkowicie prywatnym sporze.

- Pan mnie nie rozumie - powiedział Siedel marszcząc czoło. -Jako psycholog uważam, że zastosowanie przez pana hipnozy bez zgody badanych jest nieetyczne. Dziwi mnie, że oczekuje pan, abym stanął po pańskiej stronie.

- Zapewniam pana, że mój kodeks etyczny jest równie surowy jak pański - bronił się Grosvenor. - Hipnotyzując tych ludzi bez ich zgody zadbałem o to, aby dla własnych korzyści nie wyrządzić im nawet najmniejszej krzywdy. Nie widzę więc powodu, dla którego miałby pan trzymać stronę Kenta.

- To jest spór między panem a Kentem, zgadza się? - drażył dalej Siedel.

- Tak - przyznał Grosvenor. Domyślał się, co teraz nastąpi.

- A mimo to - stwierdził Siedel - zahipnotyzował pan nie Kenta, lecz grupę niewinnych

pracowników.

Grosvenor przypomniał sobie, jak czterej chemicy zachowywali się na jego wykładzie. A więc przynajmniej nie wszyscy byli niewinni.

- Nie zamierzam się z panem sprzeczać w tej kwestii - oświadczył. - Uważam, że bezmyślna większość zawsze płaci cenę za ślepe wypełnianie rozkazów wydawanych przez zwierzchników, którymi kierują nieuczciwe motywy. Ale zamiast o tym dyskutować, wolę zadać panu jedno pytanie.

- Słucham.

- Czy był pan w pomieszczeniu technicznym? Siedel skinął głową.

- Widział pan nagrania? - Grosvenor nie dawał za wygraną.

-Tak.

- Zauważył pan, czego dotyczyły?

- Były to informacje z dziedziny chemii.

- Niczego innego nie zamierzałem przekazywać. Traktuję swój dział jak centrum edukacyjne. Każdy, kto wkracza tu na siłę, zostanie czegoś nauczony, czy tego chce, czy nie.

- Muszę przyznać - powiedział Siedel - że nie rozumiem, w jaki sposób miałyby to panu pomóc w pozbyciu się chemików. Z przyjemnością jednak poinformuję pana Kenta o tym, co pan zrobił. Pan Kent nie powinien mieć nic przeciwko temu, aby jego ludzie poszerzyli swoją wiedzę.

Grosvenor nic nie odpowiedział. Miał własne zdanie na temat tego, co powie Kent, kiedy okaże się, że część jego podopiecznych posiada w dziedzinie chemii większą wiedzę niż on sam.

Patrzył ze smutkiem, jak Siedel oddala się korytarzem. Psycholog zapewne złoży Kentowi szczegółowy raport, a to oznaczało, że trzeba będzie opracować nowy plan. Stojąc w drzwiach, Grosvenor doszedł do wniosku, że jest jeszcze za wcześnie na radykalne działania obronne. Nie miał pewności, czy przypadkiem to, co teraz robi, nie przyczyni się do powstania na statku sytuacji, której chciał zapobiec. Chociaż nie wiedział wiele o cyklach historycznych, pamiętał doskonale, że każda cywilizacja rodzi się, rozwija, a następnie umiera ze starości. Zanim podejmie jakiegokolwiek działania, powinien porozmawiać z Koritą, aby dowiedzieć się, jakie pułapki mogą na niego czekać.

Znalazł japońskiego naukowca w Bibliotece B, usytuowanej na przeciwległym krańcu statku, na tym samym piętrze, co dział neksjalizmu. Korita właśnie wychodził, więc Grosvenor dotrzymał mu towarzystwa. Bez zbędnych wstępów wyniszczył mu swoją sprawę.

Korita nie odpowiedział od razu. Przeszli całą długość korytarza, zanim historyk rzekł z powątpiewaniem:

- Mój drogi, zapewne rozumie pan, że nie da się rozwiązywać konkretnych problemów za pomocą ogólników, z których zasadniczo składa się teoria cykli historycznych.

- A jednak - zauważył Grosvenor - niektóre analogie mogą być dla mnie użyteczne. Z tego, co czytałem wynika, że znajdujemy się obecnie w późnym, czy też „zimowym” okresie cywilizacji. Innymi słowy, popełniamy błędy, które prowadzą do katastrofy. Chciałbym dowiedzieć się więcej na ten temat.

- Dobrze. Spróbuję przedstawić to w skrócie - zgodził się Korita wzruszając ramionami. - Przez chwilę milczał, a potem zaczął wyjaśniać: - Najbardziej jaskrawym przejawem „zimowego” okresu cywilizacji jest upowszechnianie się wiedzy o przyczynach zjawisk. Ludziom przestają wystarczać magiczne wytłumaczenia tego, co dzieje się w ich ciałach i umysłach, w otaczającym ich świecie. W miarę gromadzenia wiedzy, nawet najmniej inteligentni „przeglądają na oczy” i odmawiają podporządkowania się mniejszości sprawującej dotąd dziedziczną władzę. A wtedy rozpoczyna się bezlitosna walka o równość.

Korita zamilkł na chwilę, by zebrać myśli, ale szybko podjął wywód.

- I właśnie to dążenie do osobistego rozwoju jest najbardziej znaczącym zjawiskiem wspólnym dla wszystkich „zimowych” etapów rozwoju cywilizacji znanych historii. Na szczęście lub na nieszczęście, walka odbywa się wewnątrz prawnego systemu stworzonego przez mniejszość dla własnej ochrony. Każdy, kto wchodzi na pole walki, a nie rozumie jej celu, zaczyna ślepo dążyć do zdobycia władzy. Rezultatem jest prawdziwy chaos, w którym zwalczają się niezdyscyplinowane inteligencje. W swojej zajadłości i pragnieniu potęgi ludzie idą za przywódcami, którzy tak samo jak oni nie rozumieją, o co chodzi. I zawsze wynikający z tego nieporządek prowadzi stopniowo do zastoju.

Prędzej czy później, pewna grupa ludzi uzyskuje przewagę nad innymi. Dochodząc do władzy, przywódcy zaczynają ustanawiać własny „porządek” w sposób tak drastyczny, że cierpią na tym miliony. Wkrótce rządząca grupa zaczyna wprowadzać coraz więcej zakazów. Zezwolenia i inne dokumenty konieczne do funkcjonowania każdego zorganizowanego społeczeństwa stają się narzędziem nacisku i wspierają monopole. Rozwijanie własnej inicjatywy jest coraz trudniejsze, w końcu - niemożliwe. W ten oto sposób, krok po kroku, zbliżamy się do systemu kastowego, jaki panował w starożytnych Indiach, oraz innych, mniej znanych, lecz równie niereformowalnych systemów, takich jak państwo rzymskie około 300 roku naszej ery. Człowiek rodzi się z określoną pozycją społeczną i nie jest w stanie jej zmienić... Cóż, czy mój krótki wywód w czymś panu pomógł?

- Jak już mówiłem - odparł Grosvenor - pragnę wybrnąć z kłopotów, jakich przysporzył mi Kent nie popełniając przy tym błędów charakterystycznych dla człowieka schyłku cywilizacji, który właśnie pan opisał. Chcę wiedzieć, czy mogę bronić swoich praw nie pogłębiając wrogości, która już istnieje między różnymi grupami.

- Jeśli się panu uda, będzie to niespotykane zwycięstwo. Z historycznego punktu widzenia, taki problem jest nierozwiązywalny. Cóż, powodzenia, młody człowieku! - Mówiąc to Korita uśmiechnął się ponuro.

Zaczęło się zanim jeszcze przebrzmiało jego ostatnie słowo.

Zatrzymali się w „szklanej komnacie”, na tym samym piętrze co wydział Grosvenora. Nie był to komnata w dosłownym znaczeniu, ani też nie było to szkło. Była to nisza w zewnętrznej powłoce statku, zaś szkło imitowała olbrzymia, wygięta w łuk płyta wykonana z przekrystalizowanego metalu. Płyta była tak przezroczysta, że przechodzący odnosili wrażenie, iż nie ma tam żadnej ściany.

Za płytą otwierała się czarna przestrzeń kosmiczna.

Grosvenor zauważył mimochodem, że statek prawie minął niewielką gromadę, przez którą do tej pory leciał. Widać było już tylko nieliczne spośród pięciu tysięcy tutejszych gwiazd. Właśnie otwierał usta, żeby powiedzieć: „Korita, chciałbym z panem jeszcze porozmawiać, kiedy tylko będzie pan miał czas”, ale nie zdążył. Nagle ze zdumieniem zobaczył podwójny, nieco zamazany obraz kobiety w kapeluszu z piórkami, który pojawił się na przezroczystej płycie. Obraz jarzył się i mienił kolorami. Grosvenor poczuł niezwykle napięcie mięśni gałek ocznych. Przez chwilę miał w głowie zupełną pustkę, potem, w jego uszach rozległy się jakieś dźwięki, przed oczami zaczęło błyskać światło, a wszystkiemu towarzyszył estry ból. Omamy hipnotyczne! Uświadomienie sobie tego podziałało na niego jak porażenie prądem. Uratowało go to, że w porę zrozumiał, co się dzieje. Wcześniejszy trening umożliwił mu obronę przez hipnotycznym działaniem migoczącego światła. Popędził do najbliższego komunikatora i krzyknął:

-Nie patrzcie na obrazy! Są hipnotyczne. Zostaliśmy zaatakowani!

Wyłączając komunikator, potknął się o ciało półprzytomnego Kority. Przyklęknął przy nim.

- Korita! - zawołał. - Słyszysz mnie?

-Tak.

- Będziesz słuchał tylko moich poleceń. Rozumiesz?

-Tak.

- Zaczynasz się uspokajać, zapominać. Nie myślisz o niczym. Efekt wywołany przez obrazy słabnie. Już go nie ma. Minął na dobre. Rozumiesz? Minął na dobre.

- Rozumiem.

- Więcej go już nie odczujesz. *Za* każdym razem, kiedy zobaczysz jakiś obraz, przypomnij sobie jakieś przyjemne zdarzenie sprzed odlotu. Jasne?

-Oczywiście.

- A teraz zaczynasz się budzić. Będę liczył do trzech. Kiedy powiem „trzy”, będziesz całkowicie przebudzony. Jeden... dwa... trzy - obudź się!

Korita otworzył oczy.

- Co się stało? - zapytał zdziwionym głosem.

Grosvenor udzielił mu krótkiego wyjaśnienia, po czym dodał:

- Pospieszmy się! Mimo umiejętności jakie posiadam, ja też zaczynam ulegać hipnozie.

Pociągnął za sobą zdezorientowanego archeologa. Kierowali się w stronę działu neksjalizmu. Minawszy pierwszy zakręt korytarza, natknęli się na człowieka rozciągniętego na podłodze.

- Słyszysz mnie pan? - zawołał Grosvenor i kopnął leżącego dość silnie. Chciał wywołać reakcję szokową. Mężczyzna drgnął.

-Tak.

- Więc niech pan posłucha. Błyskające obrazy nie mają już na pana wpływu. Proszę wstać. Już się pan obudził.

Mężczyzna zerwał się na nogi i rzucił na Grosvenora, biorąc szeroki zamach. Grosvenor uskoczył,

zaś napastnik minął go, jakby był ślepcem.

Grosvenor nakazał mu się zatrzymać, lecz tamten uciekał nie odwracając się za siebie. Neksjalista chwycił Koritę za ramię.

- Chyba za późno go obudziłem.

Korita w oszołomieniu pokręcił głową. Jego wzrok padł na ścianę, i Grosvenor od razu zorientował się, że jego sugestia nie odniosła pełnego efektu, lub jej działanie zdążyło minąć, bo Korita pytał nieprzytomnie:

- Kto to jest? Kto to jest?

- Nie patrz!

Jemu samemu też było niewiarygodnie ciężko się powstrzymać od patrzenia. Musiał nieustannie mrugać oczami, aby zniekształcić sekwencję błysków pochodzących od obrazów pojawiających się na ścianach. Na początku wydawało mu się, że obrazy te otaczają go ze wszystkich stron. Potem zorientował się, że kobiece sylwetki - niektóre pojedyncze, niektóre dziwacznie podwójne - pojawiają się wyłącznie na przezroczystych lub półprzezroczystych fragmentach ścian. Fragmentów takich były setki, lecz przynajmniej stanowiło to jakieś ograniczenie.

Widzieli wielu ludzi leżących w nierównych odstępach na podłodze. Dwukrotnie natknęli się na przytomnych. Jeden stał na środku korytarza; miał błędny wzrok i nie zareagował, kiedy Grosvenor i Konta przemknęli obok niego. Drugi wrzasnął, chwycił miotacz i wystrzelił. Język ognia dosięgnął ściany tuż obok Grosvenora. Neksjalista skoczył na napastnika i powalił go. Tamten - pomocnik Kenta - popatrzył na niego z wściekłością.

- Ty cholerny szpiegu! - wykrztusił. - Jeszcze cię dopadniemy.

Grosvenor nie tracił czasu na dochodzenie przyczyn tak dziwnego zachowania. Jednak kiedy prowadził Koritę do swojego działu, był pełen obaw. Jeśli jeden chemik mógł zostać tak łatwo doprowadzony do otwartego okazania nienawiści, to co dopiero tamtych piętnastu, którzy zajęli jego pomieszczenia?

Na szczęście wszyscy byli nieprzytomni. Grosvenor pospiesznie wyciągnął dwie pary przyciemnionych okularów, dla siebie i dla Kority, po czym skierował silne reflektory na ściany, sufit i podłogę. Światło natychmiast przyćmiło błyskające obrazy.

Następnie skierował się do pomieszczenia technicznego i nadał przez radio rozkazy budzące chemików, których wcześniej zahipnotyzował. Przez otwarte drzwi obserwował ich reakcję. Po pięciu minutach nadal byli nieprzytomni. Domyślił się, że wzorzec hipnotyczny przekazany przez napastników zagłuszył lub nawet usunął efekty jego własnej hipnozy, i dlatego nikt nie słyszał nadawanych komunikatów. Oznaczało to, że chemicy w każdej chwili mogą obudzić się spontanicznie i zwrócić przeciwko niemu.

Z pomocą Kority wciągnął wszystkich do łazienki i zamknął drzwi na klucz. Jeden fakt wydawał mu się już oczywisty. Użyto mechaniczno-wizualnej hipnozy o takiej sile, że udało mu się oprzeć jej działaniu tylko dzięki natychmiastowej reakcji. Lecz to, co się wydarzyło, nie wpływało wyłącznie na wzrok. Błyskające obrazy usiłowały przejąć nad nim kontrolę, stymulując mózg poprzez oczy.

Grosvenor był na bieżąco z większością odkryć dokonanych w tej dziedzinie. Wiedział więc - choć najwyraźniej napastnicy nie mieli o tym pojęcia - że przejęcie kontroli nad ludzkim układem nerwowym jest niemożliwe bez użycia encefaloregulatora.

Na podstawie tego, co o mały włos nie spotkało jego samego mógł tylko zgadywać, że pozostali ludzie zostali wprowadzeni w stan głębokiego transu lub padli ofiarą halucynacji, a zatem nie odpowiadali za swoje czyny.

Jego zadaniem było teraz dotarcie do centrali dowodzenia i włączenie pola siłowego. Bez

względu na to, skąd pochodził atak - z innego statku czy z innej planety - powinno to skutecznie odciąć wszelkie wiązki promieniowania wysyłane przez napastników.

Zaczął gorączkowo montować przenośną baterię reflektorów. Potrzebował urządzenia, które przyćmiłoby błyskające obrazy, gdy będzie szedł do centrali. Łączył właśnie ostatnie przewody, kiedy doznał bardzo charakterystycznego odczucia - jakby lekkiego ogłuszenia - które po chwili ustąpiło. Było to odczucie, które zazwyczaj pojawiała się w wyniku działania urządzeń antygravitacyjnych podczas zmiany kursu statku.

Czyżby kurs rzeczywiście został zmieniony? Będzie to musiał sprawdzić... później.

- Zamierzam przeprowadzić eksperyment. Proszę zostać tutaj - polecił Koncie.

Wyniósł baterię reflektorów na korytarz i umieścił jeż tyłu samojezdnego wózka. Następnie siadł za kierownicą i pojechał do windy. Szacował, że od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał błyskające obrazy, musiało upłynąć jakieś dziesięć minut.

Przejechał zakręt korytarza prowadzącego do windy z prędkością dwudziestu pięciu mil na godzinę, co było dość znaczną szybkością w tak wąskiej przestrzeni. W niszy naprzeciwko windy dwóch mężczyzn w wielkim skupieniu siłowało się ze sobą. Nie zwracali uwagi na Grosvenora, tylko napierali na siebie z uporem, dysząc i klnąc. W korytarzu rozlegało się echo ich oddechów. Nie przerwali walki nawet wtedy, gdy Grosvenor oświetlił ich swoimi reflektorami. Bez względu na to, jakich halucynacji obaj doznawali, najwyraźniej byli w nich całkowicie pogrążeni.

Grosvenor wjechał wózkiem do windy i ruszył na dół. Zaczynał mieć nadzieję, że w centrali nie zastanie nikogo.

Nadzieja ta prysnęła, kiedy tylko znalazł się przy głównym korytarzu. Było w nim wyjątkowo tłoczno. W poprzek ustawiono barykady, a w powietrzu unosił się zapach ozonu. Miotacze ognia nieustannie błyskały i syczały. Grosvenor wyjrzał ostrożnie z windy, próbując ocenić sytuację. Okazało się, że jest fatalna. Obydwa wejścia do centrali były zatarasowane stertami poprzewracanych podnośników. Za nimi kryli się ludzie w wojskowych mundurach. Wśród obrońców Grosvenor dostrzegł kapitana Leetha, zaś po drugiej stronie barykady, w atakującej grupie - koordynatora Mortona.

To wyjaśniało wszystko. Tłumiona do tej pory wrogość wybuchła, podsycona hipnotyzującymi obrazami. Naukowcy wydali wojnę żołnierzom, których zawsze podświadomie nienawidzili. Żołnierze zaś mieli wreszcie okazję, aby dać upust swojej pogardzie i złości na zniechęconych naukowców.

Grosvenor wiedział jednak, że nie było to wierne odzwierciedlenie ich uczuć. W normalnych warunkach umysł ludzki nieustannie balansuje między sprzecznymi impulsami, dzięki czemu żadna z emocji nie jest w stanie zdominować pozostałych. Ta wewnętrzna równowaga została obecnie zburzona. Groziło to katastrofą całej ekspedycji, i ułatwiało zwycięstwo nieznanym siłom, których zamiary były trudne do przewidzenia.

W każdym razie, droga do centrali dowodzenia została odcięta. Grosvenor niechętnie wycofał się do własnego działu.

Konta czekał na niego przed drzwiami, bo chciał zwrócić jego uwagę na ścienny ekran powtarzający obraz trajektorii statku ze sterowni, znajdującej się na dziobie. Na ekranie widać było siatkę cienkich jak włos linii. Grosvenor przyjrzał się uważniej i zauważył, że na tle tych linii wyświetlany jest kurs statku prowadzący prosto na oślepiająco jasną gwiazdę. Systemy automatycznej nawigacji zostały ustawione tak, aby pilnować właśnie tego kursu.

- Czy mogli to zrobić agresorzy? - zapytał Korita.

Grosvenor pokręcił głową, bardziej zaskoczony niż przerażony. Przesunął obraz na urządzenia

wspomagające. Sądząc po spektrum światła gwiazdy, a także po jej wielkości i jasności, znajdowała się ona w odległości czterech lat świetlnych. Statek już pokonywał jeden rok świetlny w ciągu pięciu godzin, i nieustannie przyspieszał. Grosvenor obliczył, że powinni znaleźć się w pobliżu gwiazdy za około jedenastu godzin.

Energicznym ruchem zgasił ekran. Mimo szoku wierzył w to, co zobaczył. Celem obcych sił, które zmieniły kurs statku, mogło być jego zniszczenie. A jeśli jego domysły okazałyby się słuszne, na ocalenie wyprawy pozostało mu dziesięć godzin.

W pierwszej chwili, kiedy jeszcze nie obmyślił żadnego planu, Grosvenor miał przecucie, że do zwycięstwa może doprowadzić jedynie zaatakowanie wroga za pomocą technik hipnotycznych. Ale na razie...

Wstał energicznie. Trzeba ponownie spróbować wejść do centrali dowodzenia.

Potrzebował środka, który bezpośrednio oddziaływałby na komórki mózgowe. Miał do dyspozycji wiele takich specyfików, ale większość z nich można było stosować wyłącznie w celach leczniczych. Wyjątkiem był encefaloregulator, aparat pozwalający przesyłać impulsy nerwowe do mózgu drugiego człowieka.

Nawet z pomocą Kority Grosvenor stracił kilkanaście minut na zmontowanie jednego z regulatorów. Przetestowanie go trwało jeszcze dłużej. Ponieważ było to bardzo delikatne urządzenie, mocując je na wózku, użył miękkiej poduszki jako podkładki. Łącznie wszystkie przygotowania zajęły trzydzieści siedem minut.

Następnie odbył krótką, lecz zawziętą sprzeczkę z archeologiem, który chciał mu towarzyszyć. Ostatecznie jednak Konta zgodził się zostać w dziale i strzec ich centrum operacyjnego.

Wioząc encefaloregulator do centrali dowodzenia, Grosvenor musiał ograniczyć prędkość. Denerwowało go to, lecz zarazem pozwoliło zaobserwować zmiany, jakie zaszły od początku ataku.

Tylko gdzieś widział nieprzytomnych ludzi. Domyślał się, że ci, którzy zapadli w stan głębokiego transu, obudzili się spontanicznie. Takie przebudzenie było normalnym zjawiskiem posthipnotycznym. Bezpośrednio po nim człowiek ze zwiększoną siłą reagował na wszelkie bodźce. Niestety - choć można się było tego spodziewać - oznaczało to, że ich działaniami zaczęły kierować długo skrywane pragnienia i ludzie, którzy w normalnych warunkach po prostu się nie lubili, nieświadomie zmienili niechęć w morderczą nienawiść.

Najgroźniejsze było to, że ci ludzie absolutnie nie zdawali sobie sprawy ze zmiany, jaka w nich zaszła. A niestety istniała możliwość zakłócenia równowagi psychicznej człowieka bez jego wiedzy. Wystarczyło umieścić go w środowisku wywołującym szkodliwe skojarzenia, albo zaatakować takimi metodami, jakich teraz użyli napastnicy. W obu przypadkach człowiek zachowywał się tak, jakby jego nowe poglądy były w nim zakorzenione równie mocno jak te, które mu odebrano.

Dojechawszy na poziom centrali, Grosvenor otworzył drzwi windy, i zaraz je przymknął. Miotacz zalewał cały korytarz ogniem.

Stalowe ściany tliły się z potwornym sykiem. Przez wąską szczelinę Grosvenor ujrzał trzech martwych mężczyzn. Po krótkiej chwili rozległa się ogłuszająca eksplozja. Płomienie zniknęły w okamgnieniu. Powietrze wypełniał teraz niebieskawy dym, a w korytarza było straszliwie duszno ale w ciągu kilku sekund gorąco i dym ustąpiły. Przynajmniej system wentylacyjny nadal funkcjonował poprawnie. Grosvenor wyrzwał z wielką ostrożnością przez drzwi windy. Na pierwszy rzut oka korytarz wydawał się opustoszały. Później spostrzegł Mortona, częściowo ukrytego za ochronną przegrodą stojącą kilka stóp dalej. Niemal w tej samej chwili koordynator zauważył Grosvenora i ruszył w jego stronę. Grosvenor zawahał się, lecz zdał sobie sprawę, że musi podjąć ryzyko. Wypchnął wózek z windy i rozejrzał się po zrujnowanym korytarzu. Morton powitał go

entuzjastycznie.

- Jak to dobrze, że pana spotkałem - powiedział. - Musimy pozbawić kapitana Leetha kontroli nad statkiem, zanim Kent i jego ludzie zdążą zorganizować atak.

Morton był spokojny, a w jego oczach błyszczała dawna inteligencja. Wyglądał jak człowiek, który walczy w słusznej sprawie. Najwyraźniej nie domyślał się, że powinien wyjaśnić Grosvenorowi, co tu się działo. Ciągnął dalej: - Potrzebujemy pańskiej pomocy zwłaszcza w walce z Kentem. Jego ludzie ściągają tu środki chemiczne, o jakich nigdy nie słyszałem. Jak dotąd nasze dmuchawy zdołały wtłoczyć gaz z powrotem do ich pomieszczeń, lecz oni już przygotowują własne. Chodzi nam przede wszystkim o to, aby pokonać Leetha zanim Kent zdąży zebrać wystarczające siły.

Grosvenorowi również zależało na czasie. Niedbałym ruchem dotknął prawą dłońią do lewego nadgarstka, uruchamiając wyłącznik zdalnie sterujący kierunkowymi nadajnikami encefaloregulatora. Wycelował nadajniki w Mortona i powiedział:

- Mam pewien plan. Myślę, że może być skuteczny w walce z przeciwnikiem.

- Widzę, że przyniósł pan ze sobą regulator, i właśnie go pan włączył. Co pan chce przez to osiągnąć? - spytał Morton zauważając aparat.

Grosvenor w pierwszej chwili zeszywniał, lecz później zaczął gorączkowo szukać właściwej odpowiedzi. Miał dotąd nadzieję, że Morton nie zna się na encefaloregulatorach. Kiedy ta nadzieja go zawiodła, mógł nadal próbować posłużyć się urządzeniem, chociaż stracił przewagę zaskoczenia. Wbrew temu co czuł, powiedział pewnym tonem:

- No właśnie! Mój plan wymaga użycia tej maszyny.

- Wnioskuje po myślach, jakie chodzą mi po głowie, że pan już rozpoczął nadawanie... - odparł Morton po chwili wahania. Nagle na jego twarzy pojawiło się zaciekawienie. - No jasne - powiedział całkiem przytomnie. - Ma pan rację. Jeśli tylko potrafi pan udowodnić, że zostaliśmy zaatakowani przez obce siły... - Zamilkł ponownie, zacisnął usta i przymrużył powieki, jakby nad czymś się zastanawiał. - Kapitan Leeth już dwukrotnie próbował zawrzeć ze mną układ - stwierdził. - Teraz mógłbym udawać, że się zgodziłem, a pan włączyłby swoją maszynę. Zaatakowalibyśmy na pana znak. Rozumie pan, nigdy nie próbowałbym się dogadać z Kentem albo z kapitanem Leethem, chyba że od tego zależałoby nasze zwycięstwo - wyjaśnił jeszcze z godnością.

Grosvenor znalazł kapitana Leetha w centrali dowodzenia. Kapitan powitał go z obojętną uprzejmością.

- Ta walka między naukowcami - powiedział - postawiła żołnierzy w trudnej sytuacji. Musimy bronić centrali i maszynowni, bo to wchodzi w zakres naszych obowiązków. - Pokręcił ponuro głową. - Rzecz jasna, nie podlega dyskusji fakt, iż żadna ze stron nie ma prawa odnieść zwycięstwa. W ostateczności my, żołnierze, jesteśmy gotowi na każde poświęcenie, by przywrócić równowagę sił.

To wyjaśnienie zdumiało Grosvenora. Przyszło mu do głowy, że to właśnie kapitan Leeth mógł skierować statek na gwiazdę. Istniały pewne poszlaki, które za tym przemawiały. Kapitan najwyraźniej wychodził z założenia, że zdobycie przewagi przez jakąkolwiek grupę, z wyjątkiem jego własnej, jest niedopuszczalne, a to prowadziło prosto do decyzji, że cała ekspedycja powinna zostać unicestwiona.

Grosvenor niedbałym ruchem wycelował nadajnik encefaloregulatora w stronę kapitana Leetha.

Fale mózgowe, czyli niewielkie impulsy przenoszone z aksonów do dendrytów i z dendrytów do aksonów, zawsze płyną ścieżkami wytworzonymi przez wcześniejsze skojarzenia - jest to proces nieustannie odbywający się wśród dziewięćdziesięciu milionów komórek ludzkiego mózgu. Każda komórka posiada własny stan równowagi elektrochemicznej, zależny od skomplikowanej gry napięć i

impulsów. Trwało długie lata zanim skonstruowano urządzenia mogące z pewną dokładnością ustalić rolę poszczególnych fal mózgowych.

Najstarszym przodkiem encefaloregulatora był słynny elektroencefalograf. Jednak w regulatorach jego działanie zostało odwrócone. Nowe urządzenie wytwarzało fale mózgowo o dowolnym wzorcu. Posługując się nim, zręczny operator mógł stymulować każdą część mózgu, wzbudzając określone myśli i emocje lub przywołując wspomnienia z przeszłości obiektu manipulacji. Nie był to przyrząd do kontroli zachowania. Potraktowany nim człowiek zachowywał własną wolę. Jednak za jego pomocą można było przekazać komuś własne impulsy mózgowo. Ponieważ zależały one od tego, o czym myśli operator, odbiorca był stymulowany delikatnie i precyzyjnie. Kapitan Leeth nie wiedział, że regulator już działa, więc nie zauważył, że w jego głowie pojawiły się obce myśli. Powiedział:

- Atak obcych sprawia, że spór pomiędzy naukowcami przybrał znamiona zdrady i musi zostać natychmiast przerwany. - Zamilkł, a po chwili dodał z namysłem: - Oto mój plan...

Plan zakładał częściową eksterminację naukowców za pomocą generatorów ciepła i rozciąganie mięśni przy użyciu modułów grawitacyjnych. Kapitan Leeth zupełnie zapomniał o obcych i absolutnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że zdradza swój plan komuś, kogo powinien uważać za wysłannika wrogich mu naukowców. Na koniec oznajmił:

- Panie Grosvenor, najbardziej przyda się pan pozostając z naukowcami. Jako neksojalista umiejący koordynować wiedzę z różnych dziedzin, odegra pan decydującą rolę w walce z nimi.

Zmęczony i zniechęcony, Grosvenor poddał się. Panujący chaos był zbyt wielki, aby móc go opanować w pojedynkę. Wszędzie gdzie spojrzał, roило się od uzbrojonych ludzi. Stopniowo przybywało zabitych. W każdej chwili niepewny rozejm między kapitanem Leethem a koordynatorem Mortonem mógł przerodzić się w walkę na miotacze ognia Nawet teraz słysząc było szum wentylatorów, którymi Morton odpierał atak Kenta. Westchnął i zwrócił się do kapitana:

- Muszę ściągnąć od siebie część wyposażenia, - Czy może mi pan udostępnić windę awaryjną? Wrócę za pięć minut

Wtaczając wózek przez tylne drzwi swojego działu, sądził, że już wie, co powinien zrobić. To, co na początku wydawało mu się nierealnym pomysłem, okazało się jedynym planem, jaki mu pozostał.

Będzie musiał zaatakować obcych za pomocą obrazów hipnotycznych. Pokona napastników stosując ich własną broń.

Czyniąc przygotowania, Grosvenor miał świadomość, że Korita bacznie mu się przygląda. Archeolog patrzył na instrumenty, które Grosvenor podłączał do encefaloregulatora, lecz o nic nie pytał. Wyglądało na to, że całkowicie otrząsnął się z wcześniejszego szoku.

Grosvenor nieustannie ocierał pot z czoła. Jednak w pomieszczeniu nie było gorąco. Temperatura była taka, jak zawsze. Wreszcie uświadomił sobie, że musi na chwilę przerwać pracę, aby poradzić sobie z własnym lękiem, spowodowanym chyba tym, że zbyt mało wie o przeciwnikach.

To, że miał teorię na temat ich sposobu działania, nie dawało mu jeszcze przewagi. Wydawało się dziwne, że obce istoty przybierają kobiece kształty. Potrzebował racjonalnej podstawy naukowej dla swojego planu, a tę mogła mu dać jedynie solidna wiedza.

- Według teorii cyklu historycznego, na jakim etapie może się znajdować cywilizacja obcych? - spytał Koritę

Archeolog usiadł na fotelu, chwilę się zastanowił, a w końcu poprosił:

- Opowiedz mi, jaki masz plan. - Kiedy Grosvenor wyjawiał mu swoje zamiary, mocno pobladał. Po długim milczeniu spytał obcesowo: - Jak to się stało, że nie zdołałeś ocalić nikogo prócz mnie?

- Dotarłem do ciebie natychmiast. Ludzki układ nerwowy uczy się przez powtarzanie. W twoim przypadku wzorzec hipnotyczny nie został powtórzony tak wiele razy, jak w przypadku innych ludzi.

- Czy mogliśmy uniknąć katastrofy? - spytał Japończyk ponuro.

- Tylko gdyby wszyscy przeszli uprzednio trening neksjalistyczny, który między innymi uodparnia na działanie hipnozy. Istnieje tylko jeden sposób, aby nie poddać się hipnozie. Trzeba przejść taki właśnie trening - wyjaśnił Grosvenor z bladym uśmiechem. - Czy mógłbyś mi odpowiedzieć na pytanie o teorię cyklu historycznego? Na czole archeologa perlił się pot.

- Mój drogi - powiedział - na tym etapie z całą pewnością nie mogę tworzyć uogólnień. Co wiemy na temat tych istot?

Grosvenor zaklął w duchu. Rozumiał zastrzeżenia Kority, lecz zdawał sobie sprawę z upływającego czasu. Powiedział niezdecydowanym głosem:

- Istoty potrafiące posługiwać się hipnozą na odległość prawdopodobnie są w stanie oddziaływać na siebie wzajemnie za pomocą jakiegoś rodzaju telepatii, którą człowiek może osiągnąć jedynie za pomocą encefaloregulatora. - Pochylił się do przodu, nagle ożywiony. - Korita, jaki wpływ na cywilizację miałyby umiejętności odczytywania cudzych myśli bez użycia specjalnych urządzeń?

Archeolog wyprostował się na fotelu.

- Wydaje mi się - powiedział - że sam znasz odpowiedź. Odczytywanie myśli zahamowałoby rozwój każdej cywilizacji, a więc ta jest z całą pewnością w fazie zaniku. - Z błyskiem w oku popatrzył na zaskoczonego Grosvenora. - Nie rozumiesz? Taka umiejętność wytworzyłaby w tobie poczucie, że wiesz wszystko o drugim człowieku. Na tej podstawie rozwinięłyby system niepodważalnych przekonań. W jaki sposób mógłbyś w coś wątpić, gdybyś zawsze posiadał pewność? Takie istoty przeszłyby błyskawicznie przez wszystkie stadia cywilizacji, i osiągnęły fazę zaniku w wyjątkowo krótkim czasie.

Grosvenor siedział ze zmarszczonym czołem, a Korita entuzjastycznie opisał rozmaite cywilizacje ziemskie i pozaziemskie, które wyczerpały swoją energię i umierały. Fellahowie - jak ich nazywał - sprzeciwiają się zmianom i nowościom. Jako grupa nie są szczególnie okrutni, lecz z powodu swojego ubóstwa często rozwijają w sobie obojętność na cudzą krzywdę.

Kiedy Korita skończył, Grosvenor powiedział:

- Być może powodem ataku na nasz statek jest ich niechęć do zmian?

- Być może. - Archeolog był ostrożny w wyciąganiu wniosków.

Zapadło milczenie. Grosvenor uznał, że będzie musiał postępować tak, jakby twierdzenia Kority były udowodnione ponad wszelką wątpliwość. Nie umiał postawić konkurencyjnych hipotez. Natomiast traktując teorię Kority jako punkt wyjścia, mógł poddać ją weryfikacji, analizując pojawiające się obrazy.

Spojrzenie na zegarek wyrwało go z zamyślenia. Zostało mu niecałe siedem godzin, aby ocalić statek.

Pospiesznie skierował strumień światła do encefaloregulatora. Na wyjściu światła sprawnymi ruchami umieścił ekran. Teraz obrazy nadawane przez napastników przechodziły przez regulator i pojawiały się na ekranie.

Natychmiast zobaczył jedną z podwójnych sylwetek, jakie widział już wcześniej. Ponieważ teraz oglądał ją za pomocą encefaloregulatora, nie groziło mu zapadnięcie w hipnotyczny trans. Ale i tak kiedy tylko przyjrzał się uważnie, doznał szoku. Sylwetka ta była ludzka tylko z pozoru. Mimo to rozumiał, dlaczego wcześniej uznał ją za kobietę. Niezwykła, podwójna twarz była ukoronowana pękiem złotych piór. Jednak cała głowa, chociaż zdecydowanie ptasia, do złudzenia przypominała ludzką. Twarz nie była porośnięta piórami, lecz pokryta siateczką żyłek. Przypominała ludzką twarz, ponieważ żyłki, skupiające się w kilku miejscach, wyglądały całkiem jak policzki i nos.

' Druga para oczu i drugie usta znajdowały się ponad dwa cale nad pierwszymi. Tworzyły niemalże oddzielną głowę, która dosłownie wyrastała z poprzedniej. Postać miała też dwie pary rąk, z których obie zakończone były pięknymi dłońmi, długimi i szczupłymi, prawdziwie kobiecymi. Grosvenorowi przyszło do głowy, że te drugie ręce oddzielały się jako pierwsze, a potem powstawało całe nowe ciało. Partenogeneza, pomyślał. Rozmnażanie bezpłciowe. Potomek wyrastał z ciała rodzica, aby ostatecznie się od niego oddzielić.

Postać na ekranie posiadała też szczątkowe skrzydła. Kępki piór wyrastały z „nadgarstków”. Postać miała na sobie jasnoniebieską tunikę, opinającą niezwykle prężne i zdumiewająco człekokształtne ciało. Jeśli pozostałości piór rosły jeszcze w innych miejscach, skrywała je tunika. Jedno było jasne: ta istota nie była w stanie latać o własnych siłach.

Korita odezwał się pierwszy, a jego głos zdradzał niepokój.

- Jak zamierzasz poinformować te istoty, że chcesz zostać zahipnotyzowany po to, aby wymienić z nimi informacje?

Grosvenor nie odpowiedział słowami. Wstał i naszkicował na tablicy oglądaną postać oraz siebie samego. Po czterdziestu siedmiu minutach rysowania i ścierania, gdy kończył już chyba dwudziesty szkic, postać na ekranie zniknęła, a na jej miejsce pojawił się obraz miasta.

Nie było to wielkie miasto. To, co ujrzeni, prawdopodobnie stanowiło widok z jakiegoś wzgórza. Na pierwszy plan wysuwały się wysokie, wąskie budynki, stojące tak blisko siebie, że na ulicach między nimi przez większość dnia musiał panować półmrok. Grosvenor pomyślał przełomie, że może to odzwierciedlać przystosowanie do nocnego trybu życia z jakiejś zamierzchłej epoki, ale szybko przestał przyglądać się poszczególnym budynkom, chcąc ogarnąć całość widzianego obrazu. Przede wszystkim chciał się dowiedzieć, czy jest to cywilizacja przemysłowa, w jaki sposób obce istoty komunikują się, i czy statek został zaatakowany przez mieszkańców miasta przedstawionego na ekranie.

Nie widział żadnych maszyn, samochodów, ani pojazdów latających. Nie było też nic, co przypominałoby sprzęt do łączności międzygwiazdnej używany przez ludzi, który na Ziemi wymagał potężnych stacji, zajmujących wiek mil kwadratowych terenu. Wydawało się więc prawdopodobne,

że atak nie pochodził stamtąd.

W momencie, gdy dochodził do tego wniosku, obraz na ekranie zmienił się. Nie przedstawiał już widoku ze wzgórza, lecz wnętrze budynku położonego w pobliżu centrum miasta. Chociaż Grosvenor nie wiedział, w jaki sposób nadawano przekaz, za wszelką cenę chciał zobaczyć więcej. Początkowo był zainteresowany wyglądem planety, lecz w tej chwili najbardziej zajmował go sposób, w jaki mu to wszystko pokazywano. Obrazy zmieniały się w okamgnieniu. Tymczasem upłynęła dopiero niecała minuta, odkąd udało mu się wytłumaczyć obcym istotom, że pragnie uzyskać informacje.

Myśli przebiegały mu przez głowę z szybkością błyskawicy. Teraz przyglądał się bocznej ścianie budynku. Przestrzeń dzieląca go od sąsiedniego domu nie miała więcej jak dziesięć stóp. Zobaczył coś, czego nie mógł widzieć ze wzgórza. Budynki na każdym piętrze były połączone przejściami szerokości zaledwie kilku cali, stanowiącymi coś w rodzaju chodników dla pieszych.

Bezpośrednio pod Grosvenorem dwaj osobnicy idący w przeciwnym kierunku spotkali się na kładce. Chyba wcale im nie przeszkadzało, że znajdują się co najmniej sto stóp nad ziemią. Minęli się spokojnie, jak gdyby nigdy nic. Każdy z nich przerzucił prawą nogę nad przepaścią i postawił za drugim przechodniem. Potem gwałtownym ruchem zrobił to samo lewą nogą, odzyskując w tym półobrocie równowagę, i obaj minęli się, nie zakłócając rytmu w jakim szli. Na innych piętrach przechodnie mijali się w równie niedbały sposób. Patrząc na nich, Grosvenor domyślił się, że ich kości są cienkie i wypełnione powietrzem, a ciała lekkie.

Obraz zmienił się ponownie, a potem jeszcze raz. Przedstawiał kolejno różne odcinki tej samej ulicy. Grosvenor odniósł wrażenie, że udało mu się zobaczyć wszystkie stadia procesu rozmnażania. Niektóre były tak zaawansowane, że nogi, ręce i większość tułowia już oddzieliły się od ciała rodzica. Inne wyglądały tak, jak na obrazie, który widział wcześniej. W każdym przypadku rodzic zdawał się zupełnie nie przejmować dodatkową masą, którą musiał dźwigać.

Grosvenor usiłował właśnie zajrzeć do jednego z ciemnych korytarzy, kiedy obraz na ekranie zaczął blaknąć. Po chwili miasto zniknęło całkowicie. Na jego miejscu pojawiła się podwójna postać, wskazująca palcami encefaloregulator. Gest był jednoznaczny. Ptaki spełniły jego prośbę. Nadszedł czas, aby i on dotrzymał obietnicy.

Obce istoty były naiwne, jeśli liczyły, że Grosvenor dotrzyma słowa. Lecz cały kłopot polegał na tym, że nie miał innego wyjścia, jak tylko wypełnić swoje zobowiązanie.

Jestem spokojny i odprężony - oznajmił zarejestrowany głos Grosvenora. -Nie myślę o niczym. To, co widzę, nie musi mieć związku z tym, na co patrzę. To, co słyszę, może nie mieć żadnego znaczenia dla ośrodka interpretacji w moim mózgu. Lecz widziałem ich miasto takim, jakie chcieli je zaprezentować. Bez względu na to, czy to, co teraz zobaczę i usłyszę będzie sensowne czy nie, pozostanę spokojny, rozluźniony, opanowany...

Grosvenor wysłuchał uważnie własnych słów, potem zwrócił się do Kority.

- To wszystko - powiedział zwyczajnie.

Rzecz jasna', może się zdarzyć, że nie odbierze świadomie jakiejś części przekazu. Ale on i tak będzie nadawany, a bez udziału świadomości Grosvenora odcisnie się nawet jeszcze silniej w jego umyśle. Wciąż nasłuchując, po raz ostatni sprawdził encefaloregulator. Funkcjonował poprawnie. Następnie zwrócił się do Kority:

-Nastawiam automatyczne wyłączenie sygnału za pięć godzin. Jeśli naciśniesz ten przełącznik - tu wskazał na czerwoną dźwignię- możesz uwolnić mnie wcześniej, ale wolno ci to zrobić jedynie w ostateczności.

- Co rozumiesz przez ostateczność?

- Atak obcych. - Grosvenor zawahał się. Wolałby zaprogramować kilka przerw w eksperymencie. Jednak to, co zamierzał zrobić, nie było wyłącznie naukowym eksperymentem. Była to również walka na Śmierć i życie. Gotów do działania, oparł dłoń na tarczy kontrolnej. I zawahał się.

Ogarnął go lęk. Za kilka sekund grupowy umysł niezliczonych ptasich istot przejmie kontrolę nad częścią jego układu nerwowego. Bez wątpienia spróbują oni pokierować nim tak, jak pokierowali pozostałymi członkami załogi.

Był prawie całkiem pewien, że nawiąże kontakt z wieloma współpracującymi umysłami. Na planecie nie widział żadnych maszyn, żadnych pojazdów, ani nawet najbardziej prymitywnego sprzętu technicznego. Początkowo przyjmował za pewnik, że jego przeciwnicy używają kamer przypominających telewizyjne, potem jednak doszedł do wniosku, że oglądał miasto oczami któregoś z mieszkańców. Jeśli rzeczywiście tak było, to u tych istot zmysł telepatii mógł okazać się tak samo dobrze rozwinięty jak zmysł wzroku. Skomasowana siła umysłów milionów ptasich istot byłaby w stanie pokonać dystans wielu lat świetlnych. W tym świecie maszyny były zbędne.

Grosvenor nie wiedział, czym skończy się jego próba dołączenia do zbiorowego umysłu.

Wciąż słuchając nagranych głosu, manipulował pokrętłem encefaloregulatora, nieznacznie modyfikując rytm własnych myśli. Musiał być ostrożny. Nawet gdyby bardzo chciał, nie mógłby w pełni dostroić się do obcych, gdyż za tymi rytmicznymi impulsami kryła się przytomność umysłu lub szaleństwo. Musiał ograniczyć się do odbierania myśli, które z psychologicznego punktu widzenia nie wydawały się szalone.

Encefaloregulator przekształcił myśli w wiązkę światła, która padała bezpośrednio na obraz wyświetlany przez obce istoty. Jeśli istota nadając przekaz mogła odbierać wzorzec zakodowany w wiązce świetlnej, jak dotąd nie dała niczego po sobie poznać. Grosvenor nie oczekiwał jednoznacznych dowodów, więc nie czuł się rozczarowany. Był przekonany, że jedynym potwierdzeniem odebrania jego przekazu będzie zmiana we wzorcu, który kierowano do niego. To zaś - był tego pewien - będzie musiał odebrać przez własny układ nerwowy.

Koncentrowanie się na wyświetlanym obrazie przychodziło mu z trudem, lecz nie dawał za wygraną, Encefaloregulator zaczął w sposób znaczący wpływać na to, co widział, mimo to nadal

wpatrywał się w ekran.

- Jestem spokojny i odprężony. Nie myślę o niczym...

Przez chwilę te słowa dudniły mu w uszach. Potem ucichły. Na ich miejscu pojawił się huk odległych wyładowań atmosferycznych.

Hałas z wolna słabł. W końcu przerodził się w ciągły pomruk, podobny do szumu słyszanego w wielkiej muszli. Grosvenor zorientował się, że widzi słabe światło. Znajdowało się daleko od niego i było rozproszone jak światło latarni w gęstej mgle.

-Nadal panuję nad sobą - zapewnił sam siebie. - Odbieram pewne bodźce zmysłowe za pośrednictwem ich układu nerwowego, a o-ni odbierają wrażenia za moim pośrednictwem.

Mógł siedzieć tu i czekać, aż mrok się rozjaśni, aż jego umysł przystąpi do interpretowania zjawisk, których doświadcza telepatycznie. Mógł tak siedzieć i...

Zaraz, chwileczkę. Siedzieć! - pomyślał. Czy tamte istoty również siedzą? Skupił mocniej uwagę. Usłyszał odległy głos mówiący: - Bez względu na to, czy to, co teraz zobaczę i usłyszę będzie sensowne czy nie, pozostanę spokojny...

Zaczął go swędzić nos. Pomyślał o tym. Oni nie mają nosów, a przynajmniej nie zauważyłem, żeby mieli. A więc swędzi mnie mój własny nos, albo to jest złudzenie. Zaczął wyciągać rękę, żeby się podrapać, i wtedy poczuł nagły ból w żołądku. Zgiąłby się wpół gdyby tylko był w stanie. Nie mógł. Nie był w stanie podrapać się po nosie ani położyć ręki na brzuchu.

Wówczas zdał sobie sprawę, że swędzenie i ból nie pochodzą z jego własnego ciała. Nie musiały też odnosić się do analogicznych narządów w ciele innej istoty. Dwie wysoko rozwinięte formy życia wysyłały do siebie pewne sygnały - miał nadzieję, że on sam również je wysyła - których żadna z nich nie potrafiła właściwie zinterpretować. Jego przewaga polegała na tym, że zdawał sobie z tego sprawę. Obcy, który żył w epoce schyłkowej, jeśli teoria Kority była słuszna, z pewnością nic o tym nie wiedział. Rozumiejąc to, OB sam mógł liczyć na poprawę postrzegania, zaś tamten mógł jedynie popadać w coraz większy zamęt umysłowy.

Swędzenie ustąpiło. Ból żołądka przerodził się w uczucie sytości, tak jakby za dużo zjadł. Nagle poczuł, że gorąca igła wbija mu się w kręgosłup, dotykając każdego pojedynczego kręgu po kolei. W połowie drogi igła stała się lodowato zimna, a następnie lód roztopił się i zaczął spływać cienką strużką po plecach Grosvenora. Coś - może ręka? może kawałek metalu? może szczypce? - musnęło mięsień jego przedramienia, niemal wrywając go z więzadeł. Jego umysł ugiął się pod ciężarem bólowych sygnałów. O mało nie stracił przytomności.

Zanim te odczucia zniknęły, Grosvenor doznał poważnego wstrząsu. Wszystkie były złudzeniami. Nic takiego się nie wydarzyło, ani w jego ciele, ani w ciele ptasiej istoty. Jego mózg odbierał wiązkę sygnałów docierającą przez oczy, i mylnie je interpretował. W takim przypadku przyjemność mogła przerodzić się w ból, każdy bodziec mógł wywołać dowolne odczucie. Grosvenor nie spodziewał się, że błędy w interpretacji będą aż tak poważne.

Zapomniał o tym, kiedy poczuł, na ustach delikatne muśnięcie. Usłyszał głos: - „Jestem kochany...” - Grosvenor uznał, że błędnie odczytał znaczenie. Nie, to nie było „kochany”. To - jak sądził - znów jego mózg próbował zinterpretować zjawisko zmysłowe pochodzące z układu nerwowego, doświadczonego rzeczywistości w sposób całkiem odmienny od ludzkiego. Świadomie zmienił usłyszane słowa na: „jestem stymulowany przez...” - po czym znów wsłuchał się w odbierane sygnały. Pod koniec wciąż nie był pewien, co tak naprawdę usłyszał. Odczuwane bodźce nie były przykre. Jego kubki smakowe odbierały nawet coś w rodzaju słodczy. Przyszedł mu do głowy obraz kwiatu. Był piękny, czerwony, podobny do ziemskich, i z całą pewnością nie pochodził z planety Riim.

Riim! - pomyślał. Jego umysł ogarnęło nagle podniecenie. Czyżby ta myśl dotarła do niego przez kosmiczną przestrzeń? Choć było to całkiem irracjonalne, nazwa, która przysłała mu do głowy, wydawała się prawdziwa. Jednak bez względu na to, co wcześniej usłyszał, nie mógł wyzbyć się wątpliwości. Wciął nie był niczego pewien.

Ostatnia seria impulsów była całkiem przyjemna. Mimo to z obawą czekał na dalsze przykrości. Światło wciąż było przyćmione i rozproszone. Po raz kolejny miał wrażenie, że do oczu napływają mu łzy. Nagle poczuł dotkliwe swędzenie w stopach. Po chwili odczucie minęło, a zamiast niego pojawiło się wrażenie gorąca, tak jakby przebywał w dusznym pomieszczeniu.

- Błąd! - powiedział sam do siebie. - Nic takiego nie mogło się zdarzyć.

Stymulacja ustała. Znow docierał do niego jedynie pulsujący dźwięk i rozproszone światło. Zaczęło go to niepokoić. Nawet jeżeli wybrał skuteczną metodę, i uzyskaj kontroli nad przeciwnikiem było jedynie kwestią czasu, jemu się spieszyło. Każda sekunda przybliżała go coraz bardziej do zagłady. Gdzieś w kosmosie -a właściwie tutaj (w tej chwili nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje) -jeden z największych i najkosztowniejszych statków jakie kiedykolwiek zbudowano pochłaniał milę za milą, z prędkością, której prawie już nie można było określić.

Grosvenor wiedział, które części jego mózgu były poddawane stymulacji. Skoro słyszał dźwięki, pobudzeniu musiał ulec boczny fragment kory. Część zewnętrznej warstwy mózgu, położona ponad uszami, przy stymulacji generowała sny i przywoływała wspomnienia z przeszłości. Już dawno temu sporządzono dokładne „mapy” mózgu. Lokalizacja obszarów stymulacji różniła się nieznacznie u poszczególnych osób, lecz ogólna struktura zawsze była taka sama.

Ludzkie oko jest niesłychanie precyzyjnym mechanizmem. Soczewki skupiają rzeczywisty obraz na siatkówce. Sądząc po widokach przesłanych z ptasiego miasta, jego mieszkańcy - podobnie jak mieszkańcy planety Riim - posiadali równie precyzyjnie działające oczy. Gdyby Grosvenor zdołał dostroić swoje ośrodki wzrokowe do odbieranego sygnału, otrzymałby w pełni wiarygodny obraz.

Upłynęły kolejne minuty. Grosvenor, w nagłym przypiływie rozgoryczenia, pomyślał: czyżbym miał przesiedzieć tu całe pięć godzin, nie nawiązawszy żadnego kontaktu? Po raz pierwszy podał w wątpliwość swój pomysł całkowitego pogrążenia się w tej sytuacji. Kiedy spróbował poruszyć ręką spoczywającą na potencjometrze encefaloregulatora, najwyraźniej nic się nie wydarzyło. Pojawiło się jedynie kilka niewyraźnych odczuć, z których tylko jedno było z całą pewnością zapachem palonej gumy.

Po raz trzeci poczuł pod powiekami łzy. Zaraz potem przed jego oczami pojawił się nagle całkiem wyraźny obraz, który jednak zgasł równie szybko jak powstał. Ale Grosvenor, który przeszedł trening w odczytywaniu prezentacji tachistoskopowych, zachował w pamięci ten obraz równie wyraźnie, jakby przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

Wydawało mu się, że znalazł się w jednym z wysokich budynków, skąpo oświetlonym światłem wpadającym przez otwarte drzwi. Pokój nie miał okien, zamiast podłogi były jedynie podesty. W ścianach widniały rzędy drzwi, prowadzących do innych pokoi lub magazynów.

Ten obraz jednocześnie podekscytował go i przeraził. Załóżmy, że rzeczywiście udało mu się nawiązać kontakt z obcą istotą; wówczas jej układ nerwowy oddziaływał na jego układ, i *vice versa*. Załóżmy, że zdoła osiągnąć stan, w którym będzie w stanie słyszeć uszami tamtej istoty, widzieć jej oczami i do pewnego stopnia czuć to, co ona odczuwa. Na razie jednak odbierał wyłącznie bodźce wzrokowe.

Czy uda mu się wywołać reakcje ruchowe? Czy będzie w stanie zmusić tamtą istotę, aby chodziła, obracała głowę, poruszała ramionami, zachowywała się tak, jakby jej ciało należało do niego? Atak na statek został zorganizowany przez grupę współpracujących ze sobą umysłów, razem działających i

czujących. Czy zdobywając kontrolę nad jednym z członków tej grupy, będzie w stanie kontrolować pozostałych?

To, co do tej pory zobaczył, z pewnością było widziane oczami jednego osobnika. To, czego dotąd doświadczył sugerowało, że nie nawiązał kontaktu z żadną grupą. Czuł się jak człowiek uwięziony w ciemnej celi, który znalazł otwór w ścianie, zalepiony półprzezroczystym materiałem, przez który docierało do niego słabe światło. Od czasu do czasu wyłaniały się z niego jakieś kształty, niczym wizje z innego świata. Miał prawie całkowitą pewność, że były to obrazy realne. Lecz nie mógł tego powiedzieć o dźwiękach wydobywających się jakby przez inny otwór w ścianie, ani o innych wrażeniach, które zdawały się docierać do niego przez sufit i podłogę.

Człowiek jest w stanie słyszeć dźwięki o częstotliwości nie przekraczającej dwudziestu tysięcy drgań na sekundę. Niektóre istoty słyszały wyłącznie drgania o częstotliwościach znacznie wyższych. Poddając człowieka hipnozie, można było doprowadzić go do śmiechu, gdy w rzeczywistości cierpiał nieznośny ból, lub do krzyku gdy się go zaledwie łachotało. Bodźce odbierane przez jeden organizm jako bólowe, dla innego mogły być obojętne.

Pomyślawszy o tym, Grosvenor rozluźnił się wewnątrz. Nie pozostało mu nic więcej, jak tylko odprężyć się i czekać.

Czekał więc.

Przyszło mu do głowy, że wrażenia jakie odbierał, mogły mieć związek z jego własnymi myślami. Na przykład - o czym to myślał, zanim ujrzał wewnątrz budynku? Przypomniawszy sobie, że rozmyślał o budowie ludzkiego oka.

Analogia była tak oczywista, że Grosvenor w duchu aż zadrżał z wrażenia. Lecz przyszło mu do głowy jeszcze coś. Do tej pory koncentrował się na możliwości zobaczenia lub odczucia czegoś poprzez układ nerwowy innej istoty. Jednak spełnienie jego oczekiwań zależało od tego, czy nawiąże kontakt lub przejmie kontrolę nad grupą osobników, którzy zaatakowali statek.

Nagle zrozumiał, że aby rozwikłać ten problem, musi całkowicie kontrolować własny mózg. Niektóre jego obszary powinny zostać całkowicie wyciszone, powinny funkcjonować z minimalną intensywnością, natomiast inne powinny stać się wyjątkowo wrażliwe, aby nadchodzące impulsy łatwiej znajdowały swój wyraz. Jako człowiek biegły w stosowaniu autohipnozy, Grosvenor mógł osiągnąć taki stan za pomocą sugestii.

Rzecz jasna, najpierw musiał skupić się na tym, co widział. Następnie powinien przejąć kontrolę nad układem mięśniowym osobnika należącego do grupy walczącej przeciwko niemu.

Z rozmyślań wyrwały go błyski różnobarwnego światła. Grosvenor potraktował je jako dowód skuteczności własnej sugestii. Kiedy obraz nagle wyostrzył się i pozostał wyraźny wiedział, że jest na właściwej drodze.

Widok był identyczny. Osobnik, z którym Grosvenor nawiązał kontakt, nadal siedział na jednym z podestów wewnątrz wysokiego budynku. Mając nadzieję, że obraz nie rozwieje się za chwilę, Grosvenor zaczął koncentrować się na poruszaniu mięśniami obcego.

Cały problem polegał na tym, że nie znał zbyt dobrze mechanizmu ruchu mięśni. Nie był w stanie wyobrazić sobie szczegółowo wszystkich impulsów wysyłanych z mózgu, by unieść chociaż jeden palec. Wolał więc myśleć w kategoriach całych narządów. Jednak nic się nie wydarzyło. Grosvenor - zaskoczony, lecz nieustępliwy - spróbował użyć hipnozy symbolicznej, polegającej na użyciu jednego słowa - klucza, obejmującego cały proces ruchu.

Powoli poczuł, jak podnosi się ramię jego ofiary. Następnie sprawił, aby poruszyła głowę. Jeszcze jedno polecenie, i obca istota wstała. Rozejrzawszy się, przypomniała sobie, że pomieszczenie, w którym się znajduje „należy” do niej. Pamięć na krótko zetknęła się ze świadomością. Stwór

rozpoznał swoją własność i zaakceptował ten fakt bez większego zainteresowania.

Grosvenor z trudem opanował podniecenie. Z nieskończoną cierpliwością sprawił, że ptasia istota stanęła na nogach, podniosła ręce, opuściła je, w końcu przeszła się w tę i z powrotem po podeście. Na koniec, usiadła na swoim miejscu.

Mózg musiał odebrać jakiś bodziec, ponieważ kiedy tylko Grosvenor znów zaczął się koncentrować, cały jego umysł został zalany informacjami, które zdawały się oddziaływać na wszystkie poziomy jego myśli i uczuć. Prawie automatycznie przetłumaczył skłębione myśli na zrozumiałe słowa.

- Komórki krzyczą, krzyczą. Komórki się boją. Och, komórki czują ból! W świecie Riim panuje ciemność. Uciec od istoty - uciec z Riim... Cienie, ciemność, zamęt... Komórki muszą go odrzucić... Ale nie mogą. Postąpiły słusznie, traktując gościnnie istotę przybywającą z wielkiej ciemności, skoro nie wiedziały, że jest ich wrogiem... Noc zapada coraz głębiej. Wszystkie komórki muszą się odłączyć... Ale nie mogą...

Traktowali nas gościnnie? - pomyślał nieprzytomnie Grosvenor.

To by pasowało do całej sytuacji. Wiedział, że to, co do tej pory się wydarzyło, można wytłumaczyć również w ten sposób. Z przerażeniem zdał sobie sprawę z powagi sytuacji. Jeśli katastrofa, która wydarzyła się na statku, była rezultatem omyłki przy próbie nawiązania przyjaznego kontaktu, to jakie szkody mogły wyrządzić obce istoty, gdyby faktycznie postanowiły ich zniszczyć?

Grosvenor był w gorszej sytuacji niż one. Jeśli teraz zerwie z nimi kontakt, one uwolnią się od przybyszów. Możliwe, że zaatakują. Chcąc się go pozbyć, mogą nawet zniszczyć cały statek.

Nie miał innego wyjścia, jak tylko kontynuować to, co zaplanował i mieć nadzieję, że wydarzy się coś, co przyniesie mu korzyść.

Na początek skupił się nad czymś, co wydawało mu się najrozsądniejszym pośrednim rozwiązaniem: na przeniesieniu kontroli na innego obcego. W przypadku tych istot, wybór był oczywisty.

- Jestem kochany! - powiedział sam do siebie, z wahaniem dając dojść do głosu odczuciom, które wcześniej go zaniepokoiły. - Jestem kochany przez mojego rodzica, z którego wyrastam na nową osobę. Dzielę jego myśli, lecz teraz widzę już własnymi oczami, i wiem, że należę do grupy...

Przeniesienie kontroli nastąpiło błyskawicznie, tak jak się tego spodziewał. Poruszył mniejszymi, identycznymi jak poprzednie palcami. Wyciągnął wątłe ramiona. Następnie przeniósł swoją kontrolę z powrotem na rodzica. Próba powiodła się tak doskonale, że Grosvenor był gotów dokonać znacznie więcej: przejąć kontrolę nad systemem nerwowym kolejnej istoty.

Okazało się, że to również zależy wyłącznie od stymulacji określonych ośrodków mózgowych. Grosvenor zorientował się, że jego nowa ofiara stoi wśród porośniętych krzewami pagórków, twarzą do wąskiego strumienia. Pomarańczowe słońce wisiało nisko na ciemnopurpurowym niebie, zasnutym pierzastymi chmurami. Grosvenor sprawił, że jego ofiara obróciła się dookoła. W dole strumienia zobaczył wysoki budynek z podestami. Była to jedyna budowla w okolicy. Poszedł w jej stronę i zajrzał do środka. W ciemnym wnętrzu rozróżnił kilka kładek. Na jednej z nich siedziały dwa ptaki. Obydwa miały zamknięte oczy.

Możliwe, pomyślał Grosvenor, że te osobniki współuczestniczą w ataku.

Wypróbowując rozmaite bodźce, przeniósł kontrolę na istotę zamieszkującą część planety, na której w tej chwili panowała noc.

Tym razem przeniesienie nastąpiło jeszcze szybciej. Grosvenor ujrzał pogrążone w ciemnościach miasto, będące labiryntem budynków i kładek. Czym prędzej zaczął łączyć się z nowym układem nerwowym. Nie miał pojęcia, dlaczego nawiązuje kontakt akurat z tymi osobnikami, nie zaś z innymi, spełniającymi te same warunki. Możliwe, że niektóre istoty szybciej niż inne odbierały wysyłane przez niego bodźce. Możliwe też, że były one krewnymi jego pierwszej ofiary. Nawiązawszy kontakt z kilkudziesięcioma mieszkańcami planety uznał, że ma już wystarczająco kompletny obraz sytuacji.

Zobaczył świat, którego mieszkańcy budowali domy z cegły, kamieni i drewna, a zarazem tworzyli wspólnotę, o jakiej człowiek nawet nie mógł marzyć. Ta cywilizacja ominęła wiek techniki, i nie widziała konieczności zgłębiania sekretów materii i energii. Grosvenorowi wydawało się, że w tej chwili może bezpiecznie przeprowadzić przedostatnią część swojego kontraktaku.

Skoncentrował się na wzorcu, który mógłby charakteryzować jedną z istot wysyłających na „Gwiezdnego Ogara” telepatyczne obrazy. Czuł że upłynęło trochę czasu. A potem...

Zobaczył własny statek oczami jednej z postaci widzianych na ścianach.

W pierwszej chwili najbardziej interesowało go, jak rozwija się walka na pokładzie. Powstrzymał się jednak od zaspokojenia ciekawości, gdyż wejście na statek byłoby teraz stratą czasu. Musiał podporządkować sobie grupę mogącą liczyć nawet milion osobników. Musiał podporządkować ich sobie na tyle silnie, aby odstąpili od oblężenia i wycofali się na dobre.

Wiedział już, że może odbierać ich myśli, a oni -jego. W przeciwnym razie nie mógłby łączyć się z kolejnymi układami nerwowymi. Teraz czuł, że jest gotów. Wysłał swoje myśli w przestrzeń: „Żyjecie we wszechświecie, i dla własnego użytku formujecie sobie takie obrazy wszechświata, jakie uważacie za słuszne. Nie wiecie o tym wszechświecie nic. Znacie tylko płynące z niego obrazy. Lecz obrazy płynące do was nie są prawdziwym odbiciem wszechświata...”

W jaki sposób sprawić, aby ktoś zmienił zdanie? Należy podważyć założenia, którymi się kieruje. Jak zmienić czyjeś zachowanie? Należy zmienić jego najbardziej podstawowe poglądy i przekonania.

Grosvenor ostrożnie mówił dalej: „Obrazy nie mówią wam wszystkiego o wszechświecie, gdyż jest w nim wiele rzeczy, których nie możecie poznać bezpośrednio, bo nie macie odpowiednich zmysłów. We wszechświecie panuje porządek. Jeśli w obrazach wszechświata, które posiadacie, nie ma porządku, w takim razie jesteście w błędzie...”

Rzadko zdarza się, aby istota myśląca postępowała wbrew logice - takiej, jaką sama uznaje. Jeśli jednak czyjeś myślenie opiera się na fałszywych założeniach, wówczas logiczne myślenie może prowadzić do błędnych wniosków.

Należało więc zmienić założenia. Grosvenor zmienił je z wyrachowaniem, lecz uczciwie. Zakładał, że mieszkańcy planety Riim nie posiadają żadnego systemu obrony. To, co im przekazał stanowiło pierwsze nowe idee, jakie poznali od wielu pokoleń. Nie wątpił, że efekt będzie olbrzymi. Ich cywilizacja była w stadium upadku, opierała się na założeniach, których nikt nigdy nie sprawdzał. Istniały rzetelne historyczne dowody na to, że choćby najmniejsza nowość może zaważyć na przeszłości takiej cywilizacji.

Ogromne starożytne Indie poddały się kilku tysiącom Brytyjczyków. Równie łatwo podbijano inne ludy żyjące w schyłkowym stadium cywilizacji. Ludy te nie odzyskiwały wolności, dopóki nie uświadamiały sobie, że życie może być znacznie bogatsze niż zakładał to ich ciasny sposób myślenia.

Mieszkańcy planety Riim musieli być szczególnie wrażliwi na nowości. Ich sposób komunikowania się, chociaż wspaniały i jedyny w swoim rodzaju, stwarzał możliwość wpływania na nich poprzez jedną sprytną akcję. Grosvenor wielokrotnie powtarzał swój przekaz, za każdym razem dodając jedno polecenie mające związek ze statkiem. Polecenia te brzmiały następująco: „Zmieńcie wzorzec hipnotyczny, jaki stosujecie wobec przybyszów. Przerwijcie atak. Zmieńcie swój przekaz, tak aby przybysze mogli zapaść w sen... potem przerwijcie wysyłanie sygnałów... wasza gościnność wyrządziła nam wiele szkód. Jesteśmy wobec was przyjaźnie nastawieni, ale wasz sposób okazywania sympatii wyrządza nam krzywdę”.

Nie wiedział, jak długo w rzeczywistości trwało wydawanie komend. Szacował, że około dwóch godzin. Jego kontakt z obcymi istotami zakończył się, kiedy wyłącznik czasowy encefaloregulatora automatycznie przerwał połączenie pomiędzy nim a obrazem wyświetlanym na ekranie.

Nagle zdał sobie sprawę, że to, co widzi wokół siebie wydaje się znajome. Popatrzył na miejsce, gdzie przed chwilą znajdował się obraz. Nie było go. Zerknął na Koritę. Archeolog uciał sobie drzemkę na krześle.

Grosvenor energicznie zerwał się z fotela, przypominając sobie instrukcję, jaką wydał obcym: „pozwólcie przybyszom zasnąć”. Oto rezultaty. Wszyscy uczestnicy wyprawy spali w najlepsze.

Zbudziwszy Koritę, Grosvenor natychmiast wyszedł na korytarz. Biegając zauważył, że wszędzie leżeli nieprzytomni ludzie, lecz na ścianach nie było już obrazów. Przez całą drogę do centrali dowodzenia nie zobaczył ani jednej obcej istoty.

W centrali Grosvenor przeszedł obok kapitana Leetha, śpiącego na podłodze obok pulpitu sterującego. Westchnął z ulgą, naciskając przycisk włączający pole siłowe statku.

Kilka sekund później, Elliott Grosvenor siedział już na fotelu dowódcy i przygotowywał się do zmiany kursu.

Przed opuszczeniem centrali uruchomił czasowe zabezpieczenie urządzeń sterowniczych, uniemożliwiając korzystanie z nich przez najbliższe dziesięć godzin. Zrobił to na wypadek, gdyby któryś z członków załogi obudził się w samobójczym nastroju. Następnie wyszedł na korytarz, aby udzielić pomocy medycznej poszkodowanym.

Wszyscy bez wyjątku byli nieprzytomni. Mógł jedynie zgadywać, w jakim są stanie. Kiedy przyspieszony oddech wskazywał na szok, Grosvenor aplikował plazmę krwi. Stosował środki przeciwbólowe, kiedy widział poważnie wyglądające rany, a na groźne rozcięcia i poparzenia naklejał plastry przyspieszające gojenie. Wiele razy - z pomocą Kority - kładł zabitych na wózki i przewoził ich do komory reanimacyjnej. Uratował czterech ludzi, ale trzydziestu dwóm nawet reanimacja nie mogła pomóc.

Obaj mężczyźni nadal zajmowali się rannymi, kiedy technik z wydziału geologii obudził się, ziewnął leniwie, a potem coś wykrzyknął ze zdumieniem. Grosvenor sądził, że załaza go fala wspomnień. Ale niespokojnie patrzył, jak tamten zrywa się na nogi i podchodzi do niego. Technik spoglądał pytająco to na Grosvenora, to na Koritę, wreszcie powiedział:

- Czy mogę w czymś pomóc?

Wkrótce potem kilkunastu ludzi przyłączyło się do akcji. Od czasu do czasu wymieniali uwagi na temat chwilowego szaleństwa, jakie ich ogarnęło.

Grosvenor nie zdawał sobie sprawy z przybycia kapitana Leetha i koordynatora Mortona, dopóki nie zobaczył, że rozmawiają z Koritą. Po chwili Konta odszedł, a dwaj zwierzchnicy zbliżyli się do Grosvenora i zaprosili go na spotkanie w centrali dowodzenia. Morton w milczeniu poklepał go po plecach. Grosvenor zastanawiał się, czy tamci wszystko pamiętają. Spontaniczna amnezja była typowym zjawiskiem towarzyszącym hipnozie. Jeśli sami niczego sobie nie przypomną, bardzo trudno będzie im w sposób przekonujący wyjaśnić, co się wydarzyło.

Poczuł ulgę, kiedy kapitan Leeth powiedział:

- Panie Grosvenor, myśląc o katastrofie, którą przeżyliśmy, jesteśmy pod wrażeniem tego, co pan uczynił, aby uchronić nas przed atakiem obcych istot. Pan Korita opowiedział nam właśnie o pańskich

poczynaniach. Proszę wyjaśnić nam, co tak naprawdę się wydarzyło.

Opowiedzenie wszystkiego ze szczegółami zajęło Grosvenorowi ponad godzinę. Kiedy skończył, jeden z jego rozmówców spytał:

- Czy mam rozumieć, że cała katastrofa była spowodowana nieumiejętną próbą nawiązania przyjaznych kontaktów?

- Obawiam się, że tak właśnie było - przytaknął Grosvenor.

- I nie możemy polecieć zbombardować naszych przeciwników? - oburzył się tamten.

- To by było bezcelowe. - Grosvenor mówił ze spokojem. - Moglibyśmy jednak polecieć do nich i nawiązać bezpośredni kontakt.

- To by zajęło zbyt wiele czasu - wtrącił kapitan Leeth. - I tak mamy spore opóźnienie. - Po chwili dodał cierpko: - Wygląda na to, że natknęliśmy się na wyjątkowo prymitywną rasę.

Grosvenor zawahał się. Zanim zdołał się odezwać, koordynator Morton zapytał:

- Co pan na to, panie Grosvenor?

- Przypuszczam - powiedział Grosvenor - że kapitan ma na myśli brak urządzeń technicznych. Jednak żyjące istoty nie potrzebują maszyn do zaspokajania swoich potrzeb: jedzenia, picia, towarzystwa, miłości. Przypuszczam, że ten ptasi lud znajduje przyjemność w grupowym myśleniu i w swojej metodzie rozmnażania. W dawnych czasach człowiek posiadał niewiele więcej, a jednak nazywał cywilizacją to, co osiągnął. W tamtych czasach żyło równie wielu wybitnych ludzi, co obecnie.

- A mimo to - wtrącił zgryźliwie fizyk von Grossen - nie zawahał się pan przed dokonaniem zmian w ich sposobie myślenia. Grosvenor zachował spokój.

- Tak ustabilizowane życie nie jest wskazane ani dla ludzi, ani dla ptasich istot. Złamałem ich opór

wobec nowych idei, czego jak dotąd nie udało mi się dokonać na własnym statku.

Kilku ludzi roześmiało się cicho. Spotkanie powoli dobiegało końca. Grosvenor zobaczył, że Morton rozmawia z Yemensem, jedynym chemikiem obecnym na zebraniu. Yemens, zastępca Kenta, zmarszczył brwi i kilkakrotnie pokręcił głową. Wreszcie zabrał głos i mówił coś przez dłuższy czas, w końcu uściśnił dłoń Mortonowi.

Morton podszedł do Grosvenora i szepnął:

- Dział chemii usunie swoje sprzęty z pańskich pomieszczeń w ciągu dwudziestu czterech godzin pod warunkiem, że cały incydent pójdzie w zapomnienie. Pan Yemens...

- Co na to wszystko Kent? - wtrącił Grosvenor.

Morton zawahał się.

- Zatrął się gazem - oznajmił w końcu. - Będzie musiał pozostać w łóżku przez najbliższych kilka miesięcy.

- Czy spowoduje to odroczenie wyborów? - spytał Grosvenor. Morton znów się zawahał, wreszcie powiedział:

- Nie. Po prostu wygram, bo nie będzie żadnych konkurentów.

Grosvenor milczał, rozważając możliwe konsekwencje sytuacji. Dobrze, że Morton będzie dalej sprawować swój urząd. Lecz co zrobią rozczarowani zwolennicy Kenta? Zanim zdążył się odezwać, Morton kontynuował:

- Chcę pana prosić o osobistą przysługę, panie Grosvenor. Przekonałem pana Yemensa, że dalsze ataki Kenta na pana byłyby nierozsądne. W imię pokoju, proszę was o zachowanie tajemnicy. Proszę, aby nie rozpowiadał pan o swoim zwycięstwie. Jeśli ktoś pana spyta, proszę mówić, że wypadek Kenta położył kres sporowi, i niech pan nie porusza tej kwestii z własnej inicjatywy. Obiecuję pan?

Grosvenor obiecał, potem powiedział z wahaniem:

- Czy mógłbym coś zasugerować?

- Oczywiście.

- Myślę, że powinien pan mianować Kenta swoim zastępcą. Morton popatrzył na niego spod półprzymkniętych powiek. Nie wyglądał na przekonanego. W końcu stwierdził:

- Nie spodziewałem się takiej sugestii z pańskiej strony. Osobiście wcale nie mam ochoty podnosić Kenta na duchu.

- Nie chodzi o Kenta - odparł Grosvenor. Morton zastanawiał się nad tym przez chwilę, aż wreszcie zrozumiał.

- Przypuszczam, że to by obniżyło panujące napięcie.

- Wygląda na to, że nasze opinie co do niego są zgodne - stwierdził Grosvenor.

Morton roześmiał się ponuro.

- Jest wielu ludzi, których wolałbym jako swoich zastępców, ale w imię pokoju zastosuję się do pańskiej sugestii.

Rozstali się. Grosvenor miał mieszane uczucia, chociaż tego nie okazywał. Miał poczucie, że wypędzając chemików ze swojego działu, wygrał potyczkę, ale nie wojnę. Mimo wszystko uznał jednak, że takie rozwiązanie było lepsze niż ewentualna ostra walka.

Ixtl unosił się nieruchomo w bezkresnych ciemnościach kosmosu. Czas dłużył się jak wieczność. W tej pustce widział jednak kilka plamek światła. Wiedział, że to galaktyki rozpalonych, jaskrawych gwiazd, z tak nieprawdopodobnej odległości wyglądające jak wirująca mgiełka. Tam było życie - toczyło się na milionach planet krążących nieustannie wokół swych macierzystych słońc. Kiedyś również na planecie Glor życie wypełzło z pierwotnego mułu, lecz później kosmiczna eksplozja zniszczyła całą rasę Ixtla, a jego ciało rzuciła w międzygalaktyczną otchłań.

Ixtl żył, i było to prawdziwe nieszczęście. Przetrwawszy kataklizm, jego praktycznie niezniszczalne ciało z wolna traciło energię, mogąc ją czerpać jedynie ze słabego światła wypełniającego całą czasoprzestrzeń. Jego mózg nieustannie przetrawiał tę samą myśl: istnieje zaledwie jedna szansa na decylion, że jeszcze kiedykolwiek znajdzie się w jakiejś galaktyce. Lecz nawet wówczas ma nikłą szansę, aby spaść na jakąś planetę i znaleźć bezcennych gułów.

Dochodził do tego wniosku już miliardy razy. To rozumowanie oraz słaba poświata galaktyk stanowiły całe jego obecne życie. Prawie już zapomniał, że kiedyś jego ciało utrzymywało pole percepcji zmysłowej, sięgające na ogromne odległości, ale teraz jego moce słabły, a sygnały odbierał tylko z dystansu kilku lat świetlnych.

Nie oczekiwał już niczego, tak więc pierwszy bodziec, jaki otrzymał ze statku, prawie wcale go nie poruszył. Energia, masa - materia! Niejasne odczucie zmysłowe błąkało się po jego przytępionym umyśle. Sprawilo mu to ostry ból, podobny do bólu długo nie używanego mięśnia, który został gwałtownie przywrócony do działania.

Ból wkrótce ustąpił. Myśl przeminęła. Umysł Ixtla ześliznął się z powrotem do świata pozbawionego nadziei, wypełnionego mdłą poświatą i czarną pustką. Sam pomysł, że jeszcze istnieje materia i energia wydawał się nierealny. Lecz odległy zakamarek mózgu, gdzie zachowała się jeszcze iskra czujności, zauważył, że ten pomysł uciekł, a zapomnienie rozpościera całun i otula nim słaby rozbłysk świadomości, który na chwilę się pojawił.

A potem bodziec dotarł do niego po raz drugi, tym razem silniej i wyraźniej. Długie ciało Ixtla zatrzęsło się bezsensownym skurczem. Wyrzucił przed siebie wszystkie cztery ramiona, wyciągnął cztery nogi ze ślepym impetem. To była jego pierwsza, mechaniczna reakcja.

Wytrzeszczone z oszołomienia oczy zaczęły widzieć ostrzej. Zamglony obraz odżył na nowo. Ta część układu nerwowego, która kontrowała pole percepcji zmysłowej podjęła działanie. Jednym olbrzymim wysiłkiem Ixtl wycofał je z miliardów mil sześciennych, z których nie dochodziły żadne sygnały, i zaczął je skupiać w różnych miejscach, aby określić, skąd dochodzi najsilniejsza stymulacja.

Podczas gdy próbował zlokalizować źródło sygnałów, zdążyło ono już przebyć sporą odległość. Wtedy po raz pierwszy pomyślał, że może to być statek podróżujący między galaktykami. Przez chwilę panicznie bał się, że statek może oddalić się w miejsce, gdzie nie będzie go mógł wyczuć, i że na zawsze straci z nim kontakt, zanim zdoła cokolwiek zrobić.

Lekko rozszerzył pole percepcji i poczuł niewyobrażalne podniecenie, kiedy ponownie dosięgnął obcej materii i energii. Tym razem przywarł do niej. To, co wcześniej było polem, teraz stało się najsilniejszą, najbardziej skupioną wiązką, jaką był w stanie wytworzyć jego osłabiony organizm.

Poprzez tę niesamowicie skoncentrowaną wiązkę zaczął czerpać ze statku potężne dawki energii. Było jej więcej - miliony razy więcej - niż mógłby zmagazynować. Musiał ją z siebie wyrzucić, musiał wypromieniować ją w próżnię. Lecz zamiast tego, niczym gigantyczna pijawka, pchnął wiązkę

o cztery, pięć, dziesięć lat świetlnych, pozbawiając statek całej mocy napędowej.

Po niezliczonych eonach, kiedy dla podtrzymania sił czerpał energię ze słabego blasku gwiazd, Ixtl nie ośmielił się zatrzymać w sobie tej olbrzymiej mocy. Kosmiczna próżnia pochłonięła ją natychmiast, ale to, co pozwolił sobie zachować, natychmiast przywróciło go do życia. Z dziłą satysfakcją zdał sobie sprawę z nadarzającej się okazji. Natychmiast zmienił strukturę swoich atomów i pognął wzdłuż wiązki energii.

Statek - lecący z wyłączonymi silnikami, lecz niesiony siłą rozpędu - przemknął obok niego i zaczął się błyskawicznie oddalać. Przeleciał cały rok świetlny, potem drugi i trzeci. Ixtl z rozpaczą uświadomił sobie, że mimo jego wysiłków, statek za chwilę mu ucieknie. Lecz wówczas...

Statek nagle się zatrzymał. Zawisł nieruchomo w przestrzeni. Cały jego ogromny pęd wynikający z prędkości wielu lat świetlnych na dzień, został w ciągu tej sekundy wytracony i zneutralizowany. Nadal znajdował się bardzo daleko, lecz przynajmniej już się nie oddalał.

Ixtl domyślał się, co się zdarzyło. Załoga musiała zauważyć nagłą stratę energii i postanowiła zatrzymać statek, aby sprawdzić, co się stało. Ich metoda natychmiastowego zastopowania sugerowała bardzo zaawansowaną technologię, chociaż Ixtl nie wiedział, jaką metodą wyhamowano. Istniało kilka możliwości. On sam zazwyczaj zatrzymywał się, przekształcając energię kinetyczną w elektryczną wewnątrz ciała. Nie tracił na tym wiele, bo elektrony w każdym z atomów jego ciała minimalnie przyspieszały swój bieg - i tak ruch z olbrzymią prędkością przekształcał się w ruch na poziomie atomowym. I właśnie na tym poziomie atomowym Ixtl nagle odczuł, że statek znajduje się tuż obok niego.

Następnie wydarzyło się wiele rzeczy, w tak olbrzymim tempie, że trudno było to ogarnąć myślą. Statek rozwinął nieprzenikalne pole siłowe. Koncentracja tak wielkiej ilości energii spowodowała przestawienie mechanizmów kontrolnych, które ustawił w swoim organizmie. Z tego powodu zatrzymał się w przestrzeni o jedną mikrosekundę wcześniej, niż to sobie zaplanował. W przeliczeniu na odległość, było to prawie trzydzieści mil.

Statek wyglądał jak jasna plama światła na czarnym tle. Jego pole było wciąż włączone, co z wielkim prawdopodobieństwem mogło oznaczać, że ci w środku nie mogli wykryć Ixtla, a zarazem - że on sam nie może już mieć nadziei na dostanie się na statek. Doszedł do wniosku, że czułe instrumenty pokładowe wykryły jego zbliżanie się, uznały go za pocisk i włączyły pole ochronne.

Ixtl przysunął się na odległość kilku jardów do prawie niewidocznej bariery. Nie mogąc spełnić swoich pragnień, spoglądał na statek łapczywym wzrokiem. Pojazd znajdował się niecałe pięćdziesiąt jardów od niego. Wyglądał, jak okrągły, czarny potwór o metalicznym cielsku, na jego bokach w równych odstępach lśniły światła. Dryfował w aksamitnej czerni kosmosu jarząc się jak szlachetny kamień, nieruchomy lecz żywy, wprost kipiący życiem. Przywodził nostalgiczną myśl o milionach odległych planet, i o zuchwałych, kwitnących cywilizacjach, marzących o wyprawie w kosmos i spełniających swoje marzenie. I mimo chwilowej frustracji, ten widok napawał go otuchą.

Do tej pory musiał wykonać tak wiele czynności, że nawet nie miał czasu zastanowić się, jakie korzyści przyniosłoby mu dostanie się na pokład. Jego umysł, przez wieki przyzwyczajony do trwania w rozpaczy, omal nie popadł w obłąd. Ixtl wymachiwał na oślep wszystkimi kończynami, a z jego ust, będących otworem w karykaturze ludzkiej twarzy, wydobył się gorący oddech, który natychmiast zmienił się w strumień lodowych kulek. Nadzieja tak go podniecała, że mało nie roztopił mu się mózg, a w oczach mu pociemniało. Jak przez mgłę dostrzegł szeroką strugę światła wychodzącą z okrągłej szczeliny w metalicznym kadłubie statku. Okazało się, że to olbrzymia brama. Zza bramy wydobywał się strumień oślepiającego światła.

Po dłuższej chwili w bramie pojawiła się dwunastka dwunożnych istot. Miary na sobie prawie

całkiem przezroczyste zbroje, i ciągnęły za sobą lub pchały wielkie latające maszyny. Błyskawicznie ustawiły plujące ogniem maszyny wokół jednego punktu na kadłubie statku. Z tej odległości wydawało się, że płomienie pełzające po metalicznej powierzchni są niewielkie, lecz ich oślepiająca jasność wskazywała na to, iż emitowały one olbrzymie ilości ciepła lub innego promieniowania. Rzecz jasna, postacie w zawrotnym tempie dokonywały jakiejś naprawy.

Ixtl gorączkowo badał pole oddzielające go od statku, szukając w nim słabych punktów. Nie znalazł żadnych. Pole było zbyt skomplikowane i zbyt rozległe, aby cokolwiek mogło się przez nie przedrzeć. Ixtl wyczuł to już na odległość. Teraz przekonał się o tym z bliska.

Prace remontowe - Ixtl widział, jak postacie zdemontowały kawałek zewnętrznej powłoki, a na jego miejsce założyły nowy - zostały zakończone prawie równie szybko, jak się rozpoczęły. Oślepiające światło reflektorów nagle rozpląnęło się w ciemnościach kosmosu. Maszyny zostały odczepione ze swoich stanowisk i przesunięte w stronę bramy, w której wkrótce zniknęły. Dwunożne istoty podążyły tuż za nimi. Po chwili wielka, zakrzywiona powierzchnia kadłuba była równie pusta, co otaczająca ją przestrzeń.

Kiedy Ixtl zrozumiał co się stało, o mało nie stracił zmysłów. Nie mógł im teraz pozwolić uciec, teraz kiedy miał przed sobą przepustkę do całego wszechświata. Wyciągnął ramiona, jakby chciał nimi objąć statek. Ciało przeszył mu nagły, dotkliwy ból, a umysł zaczął pogrążyć się w czarnej, bezdennej rozpacz, z której zdołał się otrząsnąć w ostatniej chwili.

Olbrzymia brama powoli zamykała się. Jakaś pojedyncza istota wyłoniła się z pozostawionej szczeliny i pomknęła z powrotem do naprawianego obszaru. Zabrała coś stamtąd i ruszyła z powrotem do otwartego luku. Zanim do niego weszła, spostrzegła Ixtla.

Istota zatrzymała się, jakby poraził ją prąd. Ixtl widział, że z trudem utrzymuje się na nogach. W świetle dochodzącym z iluminatorów było wyraźnie widać jej twarz, osłoniętą przezroczystym hełmem. Istota miała wytrzeszczone oczy i szeroko otwarte usta, którymi po chwili zaczęła szybko poruszać. Chwilę później brama otwarła się ponownie. Wyłoniło się z niej kilka postaci, które zaczęły przyglądać się Ixtlowi. Musiała wśród nich wywiązać się dyskusja, gdyż każdy z osobników kolejno poruszał ustami.

Po jakimś czasie przez bramę wyleciała olbrzymia, stalowa klatka. Na jej wierzchołku siedziały dwie postacie, które chyba nią kierowały. Ixtl domyślił się, że ma zostać schwytany.

Dziwne, ale nie odczuł ulgi. Miał natomiast wrażenie, że znajduje się pod wpływem jakiegoś narkotyku, powodującego niezwykle zmęczenie. Przerażony, próbował walczyć z ogarniającym go odrętwieniem. Wiedział, że jeśli ixtle mają się odrodzić, będzie musiał wykorzystać całą mądrość i spryt swojej rasy, która kiedyś doszła do samego progu najgłębszych, niezgłębianych tajemnic wszechświata.

Jak, do wszystkich diabłów, cokolwiek może żyć w przestrzeni międzygalaktycznej?

Zniekształcony, napięty głos rozległ się w słuchawkach skafandra próżniowego Grosvenora, który wraz z innymi ludźmi stał koło włazu. Wydawało mu się, że ludzie usłyszawszy to pytanie nagle skupili się bliżej siebie. Jemu nie wystarczała sama bliskość innych. Zbyt mocno zdawał sobie sprawę z nieprzeniknionej nocy, jaka ich osnuwała, przesłaniając iluminatory.

Chyba po raz pierwszy w ciągu całej podróży Grosvenor poczuł się przytłoczony otaczającą go ciemnością. Widział ją tyle razy z wnętrza statku, że nabrał do niej obojętnego stosunku. Lecz teraz zrozumiał, że to, co człowiekowi wydawało się krańcem wszechświata, było jedynie punktem w ciemności, rozciągającej się w każdą stronę na miliardy lat świetlnych.

Trwożną ciszę przerwał głos koordynatora Mortona.

- Wzywam na pokład Gunliego Lestera... Gunlie Lester...

- Słucham, panie koordynatorze. Grosvenor rozpoznał szefa działy astronomii.

- Gunlie - ciągnął Morton - mam coś dla twojego astromatematycznego umysłu. Czy mógłbyś określić jakie jest prawdopodobieństwo, że nasze silniki mogły wysiąść dokładnie w miejscu, w którym unosiło się to coś? Nie spiesz się z obliczeniami.

Te słowa sprawiły, że sytuacja stała się jeszcze bardziej dramatyczna. Jak zwykle, matematyk Morton pozwolił komuś innemu wykonać drobną pracę w dziedzinie, w której sam był mistrzem.

Astronom roześmiał się, ale zaraz powiedział poważnie:

- Nie muszę niczego obliczać. Trzeba by wynaleźć nowy system liczbowy, aby wyrazić to prawdopodobieństwo tak nieskończenie małą wartością. Matematycznie rzecz biorąc, to po prostu nie miało prawa zaistnieć. Proszę pomyśleć: statek pełen ludzi zatrzymuje się w połowie drogi między galaktykami, aby dokonać naprawy -robi to po raz pierwszy, odkąd opuścił rodzimą wysepkę wszechświata. I właśnie w tym momencie my, małeńki punkcik w kosmosie, przecinamy drogę innemu, jeszcze mniejszemu punktowi poruszającemu się w tej samej przestrzeni. Jest to nieprawdopodobne, chyba że w całym wszechświecie roi się od takich stworów.

Grosvenor uważał, że istnieje lepsze wytłumaczenie, gdyby wziąć pod uwagę prosty związek przyczynowo-skutkowy. W ścianie maszynowni powstała olbrzymia dziura. Wielkie ilości energii uleciały w przestrzeń. Statek zatrzymał się, aby można było naprawić uszkodzenie. Grosvenor otworzył usta, żeby przedstawić swój punkt widzenia, lecz zaraz je zamknął. Istniały jeszcze inne czynniki: jakie było prawdopodobieństwo takiego zdarzenia i jaka siła była potrzebna, aby w tak błyskawicznym tempie wyssać całą energię? Grosvenor dokonał szacunkowych obliczeń i potrząsnął nieznacznie głową. Liczby były tak olbrzymie, że hipoteza jaką przed chwilą postawił wydała mu się niedorzeczna. Nawet tysiąc Coeurlów nie byłoby w stanie tego dokonać, a zatem można było uznać, że sprawcą awarii nie była żywa istota, lecz maszyna.

- Powinniśmy przyjąć tego stwora miotaczami - powiedział ktoś.

Lęk w jego głosie udzielił się Grosvenorowi i chyba także wszystkim innym, gdyż koordynator Morton, kiedy się odezwał, mówił takim tonem, jakby chciał wszystkich uspokoić.

- Wygląda to jak diabeł z piekła rodem, ale założę się, że jest stokroć mniej groźne od tamtego pięknego kota, którego znaleźliśmy kilka miesięcy temu. Smith, co o tym myślisz?

Szczupły biolog odznaczał się chłodną logiką.

- To coś, o ile mogę rozpoznać z tej odległości, posiada ramiona i nogi, które musiały rozwinąć się w drodze zwykłej ewolucji na planecie. Jeśli jest inteligentne, powinno zacząć reagować na

zmieniające się otoczenie, gdy tylko znajdzie się w klatce. Możliwe, że mamy do czynienia z mędrcom, w milczeniu kontemplującym kosmiczną przestrzeń. Równie dobrze może to być młody morderca, skazany na wygnanie, opętany chęcią powrotu do własnej cywilizacji i zemścia się na niej.

- Szkoda, że Korita nie poszedł z nami - powiedział Pennons, naczelny inżynier. - Jego analizy przeprowadzone na planecie kotów pozwoliły nam wtedy ustalić, z czym mamy do czynienia, i...

- Panie Pennons, mówi Korita. - Głos japońskiego archeologa jak zawsze rozbrzmiewał w hełmofonach z niezwykłą wyrazistością. - Jak wielu innych, śledziłem przebieg wydarzeń i muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem, obserwując na monitorze tego stwora. Obawiam się jednak, że w tej chwili analiza na podstawie teorii cykli historycznych byłaby bezskuteczna, ponieważ jeszcze nie posiadamy żadnych konkretnych informacji. W przypadku kodaka widzieliśmy jałową, prawie całkowicie pozbawioną pokarmu planetę, na której żył; mogliśmy też poznać architekturę zrujnowanego miasta. Lecz teraz mamy przed sobą stworzenie, które żyje w przestrzeni kosmicznej, oddalone od najbliższej planety o ćwierć miliona lat świetlnych, najwyraźniej nie potrzebujące żadnego pokarmu i środka transportu. Proponuję zatem co następuje: nie wyłączamy pola ochronnego, z wyjątkiem małej szczeliny, przez którą wypuścimy klatkę. Kiedy stwór zostanie schwytany, trzeba go będzie zbadać - wszystkie jego reakcje i zachowania. Zróbcie zdjęcia jego narządów funkcjonujących w próżni. Dowiedźcie się o nim wszystkiego, abyśmy mieli pojęcie, co wpuszczamy na pokład. Unikajcie zabijania i uważajcie, aby samemu nie dać się zabić. Wskazane jest zastosowanie wszelkich możliwych środków bezpieczeństwa.

- Tak - przyznał Morton. - To brzmi rozsądnie.

Zaczął wydawać rozkazy. Z wnętrza statku wyprowadzano kolejne maszyny. Ustawiono je w łuku na zewnętrznej powierzchni kadłuba, z wyjątkiem masywnych kamer fluorograficznych, które przytwierdzono do samej klatki.

Grosvenor słuchał w napięciu, jak koordynator wydaje ostatnie polecenia ludziom obsługującym klatkę:

- Otwórzcie drzwiczki jak najszerzej - mówił Morton - i rzućcie ją na niego. Uważajcie, żeby nie chwycił się rękami za pręty.

Teraz albo nigdy, pomyślał Grosvenor. Jeśli mam jakieś obiekcje, muszę je ujawnić.

Ale właściwie co takiego miałby powiedzieć? Mógłby podzielić się swoimi niejasnymi wątpliwościami. Mógłby wyciągnąć oczywisty wniosek z analizy Gunliego Lestera i oświadczyć, że to co nastąpiło, nie było przypadkową awarią. Mógł nawet zasugerować, że statek pełen podobnych stworów czyha gdzieś w pobliżu, aby zaatakować.

Podjęto jednak wszelkie środki ostrożności na wypadek takiej sytuacji. Jeśli gdzieś w przestrzeni rzeczywiście czaił się wrogi pojazd, otwierając w polu siłowym jedynie małą szczelinę odsłaniaли własny statek w minimalnym stopniu. Zewnętrzny pancerz mógł w tym miejscu ulec zniszczeniu, ludzie stojący na kadłubie mogli zginąć, lecz statek nie zostałby unicestwiony.

Wróg przekonałby się, że jego działania nie dadzą żadnych rezultatów. Natknąłby się na doskonale opancerzony i uzbrojony pojazd, kierowany przez osoby zdecydowane prowadzić walkę na śmierć i życie.

Grosvenor postanowił więc wstrzymać się od komentarzy. Zachowa swoje wątpliwości dla siebie.

- Czy ktoś ma jeszcze jakieś uwagi? - spytał Morton.

- Tak. - Sądząc po głosie, nowym uczestnikiem dyskusji był von Grossen. - To mnie przypadnie zaszczyt dokonania szczegółowych oględzin tego stwora. Chciałbym mieć na to co najmniej tydzień, a

nawet miesiąc.

- Chce pan powiedzieć - wtrącił Morton - że będziemy tkwić w jednym miejscu przez miesiąc, żeby pańscy eksperci mogli zbadać potwora?

- Oczywiście - odparł fizyk.

Morton zastanawiał się przez kilka sekund, potem oznajmił:

- To nie zależy tylko ode mnie, von Grossen. To jest wyprawa naukowa. Zostaliśmy wyposażeni tak, aby zebrać tysiące okazów. Jako naukowcy, powinniśmy zwracać uwagę na wszystko. Nic nie może pozostać niewyjaśnione. Muszę jednak zauważyć, że gdybyśmy każdemu branemu na pokład okazowi mieli poświęcić miesiąc, nasza podróż zamiast pięciu czy dziesięciu lat trwałaby kilka wieków. Proszę nie traktować tego jako sprzeciw. Rzecz jasna, każdy nowy gatunek trzeba zbadać z należytą uwagą.

- Uważam - odparł von Grossen - że powinniśmy to przedyskutować.

- Ktoś ma jakieś uwagi? - zapytał Morton. Kiedy nikt się nie odezwał, rozkazał spokojnie: - W porządku, chłopcy. Idźcie go łapać!

Ixtl czekał. W jego myślach jak w kalejdoskopie przeblyskiwały obrazy wszystkiego, z czym kiedykolwiek przedtem się zetknął. Przypomniawszy sobie swoją planetę, która dawno uległa zniszczeniu. To wspomnienie napawało go dumą, a zarazem coraz silniejszą pogardą dla owych dwunożnych istot, którym najwidoczniej wydawało się, że zdołają go złapać.

Przypomniawszy sobie czasy, kiedy jego rasa potrafiła kontrolować ruchy całych układów słonecznych. Dopiero później wyrzekli się podróży międzygwiazdnych i zaczęli wieść spokojny żywot, tworząc piękno z sił natury i żyjąc w nieustannej twórczej ekstazie.

Klatka leciała prosto na niego. Z łatwością prześliznęła się przez szczelinę w polu siłowym, która natychmiast się zamknęła. Wszystko odbywało się bardzo sprawnie. Ixtl nie byłby w stanie skorzystać z chwilowego wyłączenia pola nawet gdyby chciał, ale na razie tego nie planował, bo wiedział, że nie może wykonać żadnego groźnego ruchu, dopóki nie znajdzie się wewnątrz statku. Konstrukcja z metalowych prętów powoli sunęła w jego stronę. Dwaj operatorzy byli bardzo ostrożni. Jeden z nich trzymał jakąś broń. Ixtl miał przeczucie, że może ona miotać atomowe pociski. Wzbudziło to w nim pewien szacunek, lecz zarazem wiedział, że taka broń ma ograniczone działanie. Można nią walczyć w przestrzeni kosmicznej, ale nie odważyliby się użyć tak potężnej energii wewnątrz statku.

To mu uświadomiło jeszcze wyraźniej jego cel. Ale na razie musi dostać się na pokład! Wejść do środka!

Kiedy tylko podjął decyzję, klatka opadła na niego i metalowe drzwi zamknęły się bezdźwięcznie. Ixtl chwycił najbliższy pręt

Wraz z innymi, Grosvenor zmrużył oczy na widok światła zalewającego Ixtla, skulonego w kącie swojego więzienia. Zobaczył szkarłatne, lśniące, cylindryczne ciało, oczy podobne do rozżarzonych węgli, palce jak druty, i ogólnie dziwny wygląd, który wstrząsnął nim do głębi.

- Pewnie uważa się za wyjątkowo... przystojnego! - usłyszeli zdyszany głos Siedela.

Niezbyt udana próba żartu wytrąciła ich jednak z osłupienia i przerażenia. Jakiś mężczyzna powiedział sztywno:

- Jeśli życie podlega ewolucji, i nic nie rozwija się bez celu, to po co istocie żyjącej w przestrzeni kosmicznej ręce i nogi? Warto by było zbadać jego wnętrze, ale wszystkie kamery wysiadły. Wibracja spowodowała utratę ostrości soczewek, a taśma z pewnością uległa zniszczeniu. Czy mam zamówić nową?

- Nieee... - W głosie Mortona słyhać było wahanie, lecz po chwili dokończył bardziej zdecydowanym tonem: - Straciliśmy już mnóstwo czasu. Bądź co bądź, możemy odtworzyć w laboratorium warunki przestrzeni kosmicznej, a w tym czasie lecieć z maksymalną prędkością.

- Czy mam przez to rozumieć, że zamierza pan zignorować moje propozycje? - odezwał się fizyk von Grossen. - Przypomina pan sobie, że zalecałem przeprowadzenie co najmniej tygodniowych badań, zanim podejmie się decyzje o przetransportowaniu tego stwora na pokład.

- Czy ktoś jeszcze ma jakieś obiekcje? - zapytał Morton. Wyraźnie był zaniepokojony. Grosvenor powiedział:

- Uważam, że skoro na początku podjęliśmy wszelkie środki ostrożności, to teraz nie powinniśmy wpadać w drugą skrajność i całkowicie zrezygnować z zabezpieczeń.

- Ktoś jeszcze? - nalegał Morton. Kiedy nikt nie odpowiedział, spytał-Smith?

- Rzecz jasna, prędzej czy później i tak weźmiemy go na pokład. Nie wolno nam zapominać, że

istota żyjąca w kosmicznej próżni jest najbardziej niezwykłym stworem, na jaki natknęliśmy się w ciągu całej wyprawy. Nawet kociak, który równie łatwo oddychał chlorem jak tlenem, potrzebował jakiegoś rodzaju energii cieplnej, a chłód i brak ciśnienia w przestrzeni kosmicznej byłyby dla niego zabójcze. Jeśli, tak jak podejrzewamy, naturalnym środowiskiem tego stwora nie jest próżnia, to musimy ustalić, dlaczego i w jaki sposób się w niej znalazł - odparł Smith.

Morton zmarszczył czoło.

- Widzę, że będziemy musieli to przegłosować. Możemy otoczyć klatkę ścianami metalu, mającymi taką samą wytrzymałość jak pole siłowe. Von Grossen, czy to pana zadawała?

- Teraz zaczynamy mówić rozsądnie - ucieszył się von Grossen. - Ale zanim wyłączymy pole siłowe, jeszcze nie raz się posprzeczamy.

Morton roześmiał się.

- Kiedy ruszymy w dalszą drogę, pan i inni możecie dyskutować choćby do końca naszej wyprawy. Ktoś jeszcze ma jakieś obiekcje? Grosvenor?

Grosvenor pokręcił głową.

- Wydaje mi się, że metalowy ekran będzie wystarczający - powiedział.

- Niech odezwą się wszyscy, którzy są przeciwni - poprosił Morton. - Kiedy nikt się nie zgłosił, wydał rozkaz ludziom obsługującym klatkę: - Przenieście ją tutaj, żebyśmy mogli założyć osłonę energetyczną.

Ixtl poczuł lekkie drżenie metalu, kiedy uruchomiono silniki. Zobaczył, że pręty się poruszają. Po chwili zdał sobie sprawę z intensywnego, przyjemnego łaskotania. W jego ciele działało się coś, co zakłócało wszystkie jego myśli. Gdy odzyskał świadomość, zobaczył, że klatka unosi się nad nim, a on sam leży na opustoszałym kadłubie statku.

Z przerażeniem zdał sobie sprawę z tego co się stało. Po strzale, z pistoletu wibracyjnego zapomniał zmienić strukturę swoich atomów. Spowodowało to, że prześliznął się przez metalową konstrukcję klatki.

- Wielkie nieba! - Basowy okrzyk Mortona niemal ogłuszył Grosvenora.

Połykując szkarłatnym ciałem, Ixtl pomknął w stronę wjazdu po pogrążonej w cieniu powierzchni kadłuba. Zanurzył się w jego ciemnej głębi. Tym razem nie zapomniał o zmianie struktury atomów i jego ciało przeniknęło przez podwójne wewnętrzne drzwi. Znalazł się na początku długiego, jasnego korytarza. Chwilowo był bezpieczny. Zrozumiał też jedną rzecz.

Podejmując zacieklą walkę o przejęcie kontroli nad statkiem, będzie miał jedną znaczącą przewagę, jeśli nie liczyć faktu, iż jego ciało osiągnęło najwyższy stopień rozwoju. Przeciwnicy jeszcze nie wiedzieli, jak groźne są jego zamiary.

Upłynęło dwadzieścia minut. Grosvenor siedział w audytorium centrali dowodzenia i obserwował jak Morton i kapitan Leeth naradzają się szeptem, stojąc w przejściu prowadzącym do pulpitu sterowniczego.

Sala była wypełniona po brzegi. Pozostawiono dyżurnych w kluczowych punktach statku, a wszystkich pozostałych poproszono o przybycie na zebranie. Żołnierze i oficerowie, szefowie działów i ich personel, pracownicy administracyjni oraz rozmaici technicy nie związani z konkretnymi sekcjami - wszyscy stłoczyli się w centrali dowodzenia i przylegających do niej korytarzach.

Rozległ się gong. Szmer rozmów zaczął cichnąć. Gong odezwał się ponownie. Wszelkie rozmowy ustały. Kapitan Leeth wyszedł przed zebranych.

- Panowie - powiedział - nie udaje nam się zbyt długo żyć w spokoju, prawda? Zaczynam odnosić wrażenie, że my, żołnierze, w przeszłości często nie docenialiśmy naukowców. Sądziliśmy, że żyją oni zamknięci w swoich laboratoriach, z dala od prawdziwego niebezpieczeństwa. Lecz teraz powoli sobie uświadomiamy, że naukowcy potrafią wywołać grzmot nawet na pogodnym niebie.

Przez chwilę się wahał, po czym podjął wywód tym samym, nieco drwiącym tonem.

- Koordynator Morton i ja zgodziliśmy się, że w obecnej sytuacji wojskowi nie poradzą sobie sami. Dopóki stwór jest na pokładzie, każdy musi zachować ostrożność. Niech wszyscy chodzą uzbrojeni i przebywają w grupach - im liczniejszych tym lepiej.

Znów przyjrzał się słuchaczom i ponuro podjął przemówienie:

- Musicie wiedzieć, że obecna sytuacja niesie prawdziwe niebezpieczeństwo i że mogą być ofiary. Śmierć może spotkać każdego, mnie także. Musicie się z tym oswoić. Musicie zaakceptować taką ewentualność. Lecz jeśli zdarzy wam się natknąć na tę wyjątkowo niebezpieczną istotę, musicie bronić się za wszelką cenę. Próbujcie jak najbardziej jej zaszkodzić. Nie wolno wam ginąć na próżno...

... A teraz- wskazał na Mortona-pan koordynator poprowadzi dyskusję na temat wykorzystania posiadanej przez nas wiedzy naukowej w walce z wrogiem znajdującym się na statku. Panie Morton, oddaję panu głos.

Morton powoli wysunął się naprzód. Był wysoki, ale na tle olbrzymiego pulpitu sterowniczego wydawał się drobniejszy. Szarymi oczami wodził badawczo po twarzach zgromadzonych, przy żadnej nie zatrzymując się na dłużej. Najwyraźniej próbował wybadać nastroje słuchaczy. Zaczął od pochwalenia postawy kapitana Leetha, potem powiedział:

- Przeanalizowałem wszystkie wydarzenia i, moim zdaniem, nikogo - łącznie ze mną samym - nie można obarczyć odpowiedzialnością za to, że stwór przedostał się na pokład. Jak pamiętacie, postanowiliśmy przetransportować go do wnętrza dopiero po umieszczeniu za ekranami ochronnymi. Takie środki ostrożności nie budziły niczyich wątpliwości, i tylko nieszczęśliwy wypadek sprawił, że nie zdążono ich wprowadzić w życie. Stwór dostał się na statek o własnych siłach, i to w sposób, którego nie jesteśmy w stanie wyjaśnić. - Przerwał i jeszcze raz popatrzył na zebranych. - Czy ktoś z was mógł przewidzieć taką ewentualność? Jeśli tak, proszę podnieść rękę.

Grosvenor rozejrzał się, ale nie dostrzegł ani jednej podniesionej dłoni. Usadowił się z powrotem na fotelu i z pewnym zdziwieniem zobaczył, że Morton wbija spojrzenie w niego.

- Panie Grosvenor - spytał Morton. - Czy dzięki neksjalizmowi mógł pan przewidzieć, że ten stwór przeniknie przez ścianę?

- Nie, nie mogłem - zdecydowanie odparł Grosvenor.

- Dziękuję - powiedział Morton.

Chyba to go usatysfakcjonowało, bo nie pytał już nikogo więcej. Grosvenor domyślił się, że koordynator próbuje usprawiedliwić własne postępowanie. Złe to świadczyło o sytuacji politycznej na statku. Grosvenora jednak najbardziej zdumiało to, że Morton odwołuje się do neksjalizmu jak do najwyższego autorytetu.

Morton odezwał się ponownie.

- Siedel - poprosił - czy mógłby nam pan przedstawić jasną analizę psychologiczną tego, co się wydarzyło?

- Przygotowując się do schwytania tego stwora - powiedział szef działu psychologii - musimy zacząć od uściślenia wyobrażeń na jego temat. Istota posiada ręce i nogi, a mimo to jest w stanie przetrwać w przestrzeni kosmicznej. Pozwala zamknąć się w klatce, ale przez cały czas wie, że klatka nie stanowi dla niej więzienia. Później wymyka się przez dno klatki, co jest bardzo głupie z jej strony, jeśli nie chce zdradzić nam swoich umiejętności. Musi istnieć jakiś powód, dla którego inteligentna istota popełnia błędy, fundamentalny powód, który powinien znacznie ułatwić nam odgadnięcie, skąd pochodzi i przeanalizowanie, w jakim celu się tu znalazła. Smith, jak wypadły analizy procesów biologicznych?

Smith wstał bez pośpiechu i uśmiechnął się.

- Mówiliśmy już o planetarnym pochodzeniu tego stwora, czego dowodzi posiadanie rąk i nóg. Zdolność do życia w przestrzeni kosmicznej, jeśli w ogóle była spowodowana ewolucją, jest z całą pewnością bardzo znaczącą cechą. Wydaje mi się, że mamy do czynienia z przedstawicielem gatunku, który zgłębił wszystkie tajniki biologii. Gdybym wiedział, w jaki sposób możemy odszukać istotę umiejącą przenikać przez ściany, doradziłbym wówczas, aby jak najszybciej ją schwycić i zabić.

- Cóż... - westchnął Kellie, socjolog. Był to łysiejący mężczyzna po czterdziestce, o dużych, inteligentnych oczach. - Cóż... stworzenie, które jest w stanie przystosować się do życia w próżni powinno być panem wszechświata. Jego gatunek mógłby zamieszkiwać na wszystkich planetach, zasiedlić każdą galaktykę. Nieustannie natykalibyśmy się na nich. Jednak wiemy z całą pewnością, że w naszej galaktyce go nie spotkano. Jest to paradoks wart uważniejszego zbadania.

- Nie bardzo rozumiem, co masz na myśli, Kellie - powiedział Morton.

- Cóż... po prostu - gatunek który poznał najgłębsze sekrety biologu musi wyprzedzać nas w rozwoju o wiele tysięcy lat. Musi być wysoce sympodialny, to znaczy - potrafiący przystosować się do dowolnego środowiska. Zgodnie z prawem dynamiki życia, powinien dokonać ekspansji na cały wszechświat, tak jak usiłuje to zrobić człowiek.

- Rzeczywiście, widać w tym pewien paradoks - przyznał Morton - bo ten stwór chyba wcale nie znajduje się na wyższym etapie rozwoju. Korita, jaka może być jego historia?

Japoński naukowiec wrzucił ramionami, ale wstał.

- Zbyt mało o nim wiemy by móc powiedzieć coś pewnego. Znacnie wszyscy teorię: życie zawsze pnie się w górę-cokolwiek rozumieć przez górą - przechodząc przez kolejne cykle. Każdy cykl zaczyna się od wieśniaka, przywiązanego do swojego kawałka ziemi. Wieśniak przychodzi na targ, a targ powoli przekształca się w miasto, które w coraz mniejszym stopniu jest związane z uprawą ziemi. Następnie powstają państwa i narody, wreszcie bezduszne metropolie i wyniszczająca pogoń za władzą. Toczone są nieustanne wojny, popychające człowieka ku okresowi schyłkowemu, który odznacza się prymitywnością. W ten sposób znów mamy wieśniaka. Musimy odpowiedzieć sobie na pytanie: czy ten stwór jest odpowiednikiem naszego wieśniaka, czy też mieszkańcem metropolii? Jakiego cyklu jest przedstawicielem?

Tu przerwał. Grosvenorowi wydawało się, że Japończyk całkiem jasno nakreślił swoje stanowisko. Cywilizacje rzeczywiście przechodziły kolejne cykle. Każdy okres pojedynczego cyklu musiał mieć, ogólnie rzecz biorąc, pewne uwarunkowania psychologiczne. Istniało wiele metod wyjaśnienia zaobserwowanego zjawiska – Spenglerowska* teoria cykliów była tylko jedną z nich. Można więc było mieć nadzieję, że Konta zdoła za pomocą swojej teorii przewidzieć zachowanie intruza. W przeszłości archeolog udowodnił już, że ta teoria jest przydatna. W chwili obecnej jego teoria miała jeszcze jedną zaletę: była jedyną teorią historyczną, mogącą mieć zastosowanie do aktualnych wydarzeń.

Ciszę przerwał głos Mortona.

- Korita, w świetle naszej ubogiej wiedzy na temat intruza, jakich głównych cech powinniśmy się w nim doszukiwać, jeśli założymy, że pochodzi on z epoki - dajmy na to—wielkich metropolii?

- Powinien posiadać doskonale wytrenowany intelekt, w najwyższym stopniu niezawodny. W swoim własnym środowisku nie popełniłby żadnych błędów, i mógłby zostać pokonany jedynie w sytuacji, nad którą nie miałby kontroli. Najlepszym przykładem takiej osoby - dodał Korita spokojnie - jest dobrze wyszkolony człowiek żyjący w naszych czasach.

- Ale stwór już popełnił omyłkę! - wtrącił von Grossen. - Całkiem bezmyślnie przeleciał przez dno klatki. Czy nie jest to zachowanie, jakie przejawiłby wieśniak?

- A gdybyśmy założyli, że pochodzi z tej właśnie ery - zaproponował Morton.

- W takim razie - stwierdził Korita - jego podstawowe potrzeby powinny być znacznie prostsze. Dominowałaby potrzeba posiadania potomstwa, a zwłaszcza syna, by nie wygasł jego ród. Zakładając, że gatunek ten cechuje wielka inteligencja, potrzeba ta mogłaby przekształcić się w potrzebę zachowania własnego gatunku. To wszystko, co mogę powiedzieć na podstawie znanych mi faktów - zakończył stanowczo i usiadł.

Morton stał sztywno na podwyższeniu przy pulpicie sterowniczym i spoglądał na naukowców. Jego wzrok spoczął na Grosvenorze.

- Ostatnio - powiedział - zacząłem uważać, że neksjalizm bywa przydatny w rozwiązywaniu nietypowych problemów. Ponieważ stanowi on całościowe podejście do wszelkich zjawisk, może nam pomóc podjąć szybką decyzję, kiedy zachodzi taka konieczność. Grosvenor, proszę nam powiedzieć, co pan sądzi o stworze?

Grosvenor wstał energicznie.

- Mógłbym podzielić się wnioskami, które wyciągnąłem na podstawie własnych obserwacji. Mógłbym przedstawić swoją teorię na temat tego, jak natknęliśmy się na intruza, w jaki sposób wysłał on energię z silników, dlaczego w zewnętrznej ścianie maszynowni powstała wyrwa, mógłbym też przedstawić wiele ciekawych spostrzeżeń. .. lecz zamiast rozwodzić się nad takimi kwestiami, wolałbym pokrótce powiedzieć wam, jak należy zabić...

Urwał gwałtownie, bo zobaczył, że kilkunastu ludzi przepycha się przez grupą stojącą w drzwiach. Spojrzał pytająco na Mortona. Koordynator odwrócił się do kapitana Leetha. Kapitan podszedł do nowo przybyłych. Grosvenor zauważył, że był wśród nich Pennons, naczelnny inżynier.

- Skończył pan, panie Pennons? - spytał Leeth.

- Tak, panie kapitanie. - Dodał jeszcze ostrzegawczym tonem: -Każdy członek załogi musi koniecznie włożyć ochronny kombinezon, buty i rękawice.

Kapitan Leeth wyjaśnił:

- Ustawiliśmy ekrany energetyczne na ścianach między pomieszczeniami. Schwywanie intruza może zająć trochę czasu, i nie chcemy niepotrzebnie nikogo narażać. Jesteśmy... -przerwał, i szybko zwrócił się do inżyniera: - Co się dzieje, panie Pennons?

Pennons patrzył na niewielkie urządzenie, które trzymał w ręku.

- Kapitanie, czy wszyscy są obecni na zebraniu? - spytał.

- Tak, z wyjątkiem pełniących dyżur w maszynowni.

- W takim razie... Coś złapało się w pole siłowe. Szybko! Musimy to otoczyć!

*Spengler Oswald (1880-1936) - niemiecki filozof historii i kultury. Według niego historia jest historią kultur, z których każda tworzy organiczną zamkniętą całość i przechodzi przez okres młodości (kultura archaiczna, prymitywna), dojrzałości i starczego upadku (przyp. red.).

Dla Ixtla, który wracał na górne pokłady po obejrzeniu dolnych, szok był druzgocący, a zaskoczenie całkowite. Szedł sobie spokojnie, delektując się myślą o tym, że znalazł dla guuli kryjówkę w metalowych przedziałach ładowni statku, gdy nagle został uwięziony w błyskającym polu siłowym.

Przerażony, poczuł w głowie zupełną pustką. W jego ciele uwolniły się chmury elektronów, przeskakiwały z narządu na narząd próbując przyłączyć się do atomów, które jednak je odpychały, żeby zachować swój stały potencjał. W ciągu tych tragicznych chwil jego doskonały organizmomal nie uległ załamaniu. Ocaliło go jedynie to, że geniusz jego rasy przewidział nawet taką sytuację. Wywołując w swoich ciałach sztuczną ewolucję, jego przodkowie uodpornili się na działanie gwałtownej radiacji. Teraz organizm Ixtla z szybkością błyskawicy dostosowywał się do promieniowania, każda nowa struktura przez ułamek mikrosekundy wytrzymywała działanie ogromnego ładunku, aż wreszcie zdołał się wyrwać ze ściany.

Zaczął się zastanawiać, jakie korzyści może wyciągnąć z tej sytuacji. Ściana chroniona ekranem energetycznym powinna być zaopatrzona w system alarmowy. Oznaczało to, że ludzie wkrótce zbiegną się, aby go otoczyć. W oczach Ixtla zabłyśły wściekłe ogniki, kiedy to sobie uświadomił. Ludzie będą się tu zjawiać pojedynczo. Jeśli zdoła złapać jednego z nich, będzie mógł sprawdzić, czy te dwunożne istoty nadają się na inkubatory i być może uzyska swój pierwszy guul.

Nie miał ani chwili do stracenia. Przywarł do najbliższej ekranowanej ściany i, nie zatrzymując się, przemknął przez kolejne pomieszczenia, trzymając się mniej więcej w stałej odległości od głównego korytarza. Jego czułe oczy śledziły rozmazane sylwetki biegnących ludzi. Jeden, dwóch, trzech, czterech, pięciu. Piąty biegł w pewnej odległości za pozostałymi. Ixtlowi nie dawało to wielkiej przewagi, lecz nic więcej nie potrzebował.

Niczym zjawa przeniknął przez ścianę tuż przed ostatnim z biegnących i rzucił się na niego z całym impetem. Wyglądał jak przerażające monstrum o świecących oczach i otwartej paszczy. Wyciągnął wszystkie cztery ramiona w kolorze ognia i z niesamowitą siłą chwycił człowieka. Ofiara zaczęła szarpać, przez chwilę się broniła, ale zaraz opadła bezwładnie na podłogę.

Ixtl widział, jak usta człowieka na przemian otwierają się i zamykają. Za każdym razem, kiedy się otwierały, czuł pod stopami wibracje. Z łatwością domyślił się, czemu tak się dzieje. Jego ofiara musiała wołać o pomoc. Zamachnąwszy się, uderzył człowieka w twarz. Człowiek zadrzał konwulsyjnie, lecz wciąż jeszcze był przytomny, kiedy Ixtl zagłębił w nim palce.

To go najwyraźniej sparaliżowało. Przestał się szamotać i z wytrzeszczonymi oczami patrzył na krwistoczerwoną, cylindryczną postać pochylającą się nad nim. Długie, cienkie palce zniknęły pod kombinezonem przerażonego człowieka i gmerały wewnątrz jego klatki piersiowej.

Wnętrze ludzkiego ciała wydawało się w całości zbudowane z dość solidnych tkanek, Ixtl potrzebował kawałka pustej przestrzeni, albo miejsca, w którym mógłby zrobić otwór, nie zabijając ofiary. Aby zrealizować swój cel, potrzebował żywego organizmu.

Prędej! Prędej? Jego stopy wyczuły wibrację zbliżających się kroków. Dochodziły tylko z jednego kierunku, lecz były szybkie. Przestraszony, a Ixtl popełnił błąd. Zbyt szybko się pospieszył. Na moment nieco usztywnił palce i dosięgnął serca. Mężczyzna drgnął konwulsyjnie i zmarł.

Chwilę później palce Ixtla natknęły się na żołądek i jelita. Stwór wściekle zamruczał. Znalazł to, czego szukał, tylko że z własnej winy nie mógł tego wykorzystać. Nagle nowa myśl pozwoliła mu odzyskać spokój. Nie miał pojęcia, że inteligentne istoty mogą tak łatwo umierać. To zmieniało i

upraszczało całą sytuację. Tak więc ludzie muszą uciekać przed nim, a nie on przed nimi. On będzie bezpieczny, jeżeli zachowa minimalną ostrożność.

Dwóch ludzi z wycelowanymi pistoletami wibracyjnymi wyskoczyło zza najbliższego rogu. Zesztywnieli na widok warczącej bestii, pochylonej nad ciałem ich kolegi. Gdy otrząsnęli się chwilowego paraliżu, Ixtl już szedł do najbliższej ściany. Chwilę wcześniej widzieli jeszcze szkarłatne cielsko a teraz jasno oświetlony korytarz był pusty. Ludzie zaczęli mimo wszystko strzelać, ale ściany absorbowały wibracje.

Ixtl wiedział już, co zrobić. Złapie kilkunastu ludzi i umieści w nich jaja. Potem może zabić wszystkich pozostałych, bo nie będą mu już do niczego potrzebni. Uczyniwszy to, polecą do galaktyki, do której statek się kierował, a gdy już się tam znajdzie, podporządkuje sobie pierwszą zamieszkaną planetę. A wtedy przejęcie władzy nad całym wszechświatem będzie już tylko kwestią czasu.

Grosvenor stał przy ściennym ekranie wraz z kilkoma innymi ludźmi i obserwował grupę osób zebranych wokół martwego technika. Wolałby być na miejscu zdarzenia, lecz dostanie się tam zajęłoby mu kilkanaście minut, podczas których nie mógłby z nikim się kontaktować. Został więc tutaj, żeby wszystko widzieć i słyszeć.

Koordinator Morton stał najbliżej kamery, niecałe trzy stopy od miejsca, gdzie doktor Eggert pochylał się nad nieboszczykiem. Sprawiał wrażenie spiętego, zacisnął usta. Kiedy się odezwał, mówił niemal szeptem. Mimo to jego słowa rozdarły ciszę niczym uderzenie bicia.

-1 co, doktorze?

Doktor Eggert podniósł się z klęczek i odwrócił do Mortona. Jednocześnie stanął twarzą do kamery. Grosvenor zobaczył jego zmarszczone czoło.

- Atak serca - powiedział doktor.

- Atak serca?!

- Spokojnie, spokojnie. - Lekarz podniósł ręce, jakby zamierzał się bronić. - Rzeczywiście wygląda tak, jakby ktoś wbił mu zęby w mózg, a poza tym badałem go wiele razy i wiem, że miał zdrowe serce. Mimo to jestem przekonany, że przyczyną śmierci był atak serca.

- To całkiem możliwe - powiedział posępnie jakiś mężczyzna. - Kiedy wyszedłem zza rogu i zobaczyłem tę bestię, mało sam nie dostałem zawału.

- Tracimy tylko czas. - Grosvenor rozpoznał głos von Grossena, zanim jeszcze fizyk pojawił się wraz z dwoma ludźmi obok Mortona. Naukowiec ciągnął dalej: - Możemy pokonać tego stwora pod warunkiem, że nie będziemy dostawać ataków serca na sam jego widok. Jeśli ja mam być jego następną ofiarą, chcę mieć pewność, że najlepsi naukowcy w galaktyce nie będą załamywać nade mną rąk, tylko dołożą starań, by pomścić moją śmierć.

- Ma pan rację - odezwał się Smith. - Nasz problem polega na tym, że czujemy się słabsi. Stwór jest na statku od niecałej godziny, lecz już teraz wiadomo, że część z nas może zginąć. Akceptuję to ryzyko. Ale teraz powinniśmy przygotować się do walki.

- Panie Pennons, chciałbym pana spytać o następującą rzecz - odezwał się z kolei Morton. - Mamy trzydzieści poziomów i około dwóch mil kwadratowych pokładu. Ile czasu zabierze zabezpieczenie polem energetycznym każdego cała tej powierzchni?

Grosvenor nie widział głównego inżyniera, który musiał stać poza zasięgiem kamery. Lecz wyraz twarzy stojących obok niego ludzi mówił sam za siebie. Kiedy inżynier się odezwał, w jego głosie brzmiało przerażenie.

- Jakąś godzinę - odpowiedział - ale to zniszczyłoby statek i zabiło wszystkie żywe istoty na pokładzie.

- Ale mógłby pan zwiększyć natężenie pola w ścianach, prawda panie Pennons? - upewnił się

Morton.

- Nie! Ściany tego nie wytrzymają. Roztopią się.

- Ściany tego nie wytrzymają! - krzyknął jakiś mężczyzna. -Widzicie więc, jak wytrzymały musi być ten stwór?

Grosvenor zobaczył, że na twarzach ludzi stojących przed kamerą pojawiła się konsternacja. Nieprzyjemną ciszę przerwał głos Kority.

- Panie koordynatorze, widzę was na ekranie w centrali dowodzenia. Twierdzicie, że mamy do czynienia z nadzwyczajną istotą. Ale nie zapominajmy, że wpadł na ekranowaną ścianę, i w popłochu zdał sobie sprawę, że nie może się przedostać do kabin sypialnych. Świadomie używam słowa „popłoch”. Jego działania dowodzą, że często popełnia błędy.

- To mi przypomina pana wykład na temat psychologii osobników żyjących w określonym stadium rozwoju cywilizacji. Załóżmy, że nasz stwór to wieśniak. Czy mógłby pan go scharakteryzować? - poprosił Morton.

Korita odpowiedział pospiesznie i tym razem nie dobierał słów aż tak starannie jak zwykle.

- Nie potrafi zrozumieć, czym jest wspólne działanie. Prawdopodobnie będzie myślał, że aby przejąć kontrolę na statkiem musi tylko pokonać każdego z przebywających na nim ludzi. Ponieważ kieruje się instynktem, nie dostrzeże faktu, że jesteśmy częścią wielkiej cywilizacji. Umysł prawdziwego wieśniaka jest nastawiony na skrajny indywidualizm, niemalże na anarchię. Jego potrzeba posiadania potomstwa jest formą egoizmu - chodzi mu jedynie o przedłużenie istnienia własnego rodu. Ten stwór -jeśli rzeczywiście pochodzi z epoki wieśniaków - najprawdopodobniej będzie chciał mieć wokół siebie pewną liczbę osobników podobnych do niego, którzy pomogliby mu walczyć. Lubi towarzystwo, ale z pewnością nie chce, aby ktokolwiek wtrącał się w jego sprawy. Każde zorganizowane społeczeństwo jest w stanie zdominować społeczność wieśniaków, ponieważ członkowie tego ostatniego nigdy nie tworzą czegoś więcej niż tylko luźnego sojuszu przeciwko obcym.

- Luźny sojusz tych pożeraczy ognia i tak będzie wystarczająco groźny! - skomentował pośpiesznie jeden z techników. - Myślę... aaa... aaaaaa...

Jego słowa przerodziły się we wrzask. Wytrzeszczył oczy. Ludzie cofnęli się o kilka kroków.

Na samym środku ekranu pojawił się Ixtl.

Stał tam niczym upiorne widmo ze szkarłatnego piekła. Jego oczy były czujne i lśniące, chociaż nie odczuwał już obawy. Przewyższał istoty ludzkie we wszystkim, a poza tym mógł przeniknąć przez najbliższą ścianę zanim ktokolwiek zdąży wycelować w niego broń.

Przyszedł po swojego pierwszego guła. Wybierając go spośród całej grupy, z pewnością podkopie morale załogi.

Grosvenor przyglądając się tej scenie miał przez chwilę poczucie, że to, co się właśnie rozgrywa jest nierealne. W polu widzenia kamery znajdowało się zaledwie kilku ludzi. Von Grossen i dwóch techników stało najbliżej Ixtla. Morton znajdował się tuż za von Grossenem, a obok niego był Smith. Grupka ta nie stanowiła najmniejszego zagrożenia dla masywnego, cylindrycznego stwora, który tak znacznie przewyższał ich wzrostem.

Morton pierwszy przerwał milczenie. Z rozmysłem odsunął rękę od rękojeści miotacza i powiedział spokojnie:

- Nie strzelajcie. On się porusza jak błyskawica. Nie przyszedłby tu, gdyby sądził, że możemy w niego trafić. Poza tym, nie wolno nam ryzykować porażki. To może być nasza jedyna szansa. - Kontynuował szybko, ponaglącym tonem: - Wszystkie załogi interwencyjne słuchające mnie w tej chwili mają zająć stanowiska wokół, poniżej i powyżej tego korytarza. Ściągnijcie najcięższy sprzęt i spalcie wszystkie ściany. Przebijcie się aż do tego miejsca i skupcie ogień w jednym punkcie. Pospieszcie się!

- Dobry pomysł, panie koordynatorze! - Kapitan Leeth pojawił się na chwilę na ekranie przed oczami Grosvenora, zasłaniając Ixtla i pozostałych. - Będziemy u pana za trzy minuty, jeśli do tego czasu bestia nic panu nie zrobi. - Jego twarz zniknęła równie szybko jak się pojawiła.

Grosvenor odszedł od ekranu. Znajdował się zbyt daleko od miejsca zdarzenia, aby prowadzić skrupulatne obserwacje, na których neksjalista powinien opierać swoje działania. Nie był członkiem ekipy interwencyjnej, lecz mimo to postanowił dołączyć do Mortona.

Biegając mijając kolejne ekrany. Usłyszał, jak gdzieś w oddali Korita udziela porad:

- Panie Morton, może pan zaryzykować, ale lepiej nie liczyć na zwycięstwo. Proszę zauważyć, że stwór zjawił się ponownie, zanim zdążyliśmy przygotować się do obrony. Nie ma znaczenia, czy w tej chwili napada na nas rozmyślnie, czy instynktownie. I tak rezultat będzie ten sam: ostatecznie uciekniemy w popłochu, i nic na tym nie zyskamy. Jak dotąd nie udało nam się opracować jakiegokolwiek planu działania.

Grosvenor wszedł do windy i zjeżdżał na dół. Gdy dojechał na miejsce, popędził korytarzem.

- Jestem przekonany - ciągnął Korita, którego głos dochodził ze ściennego ekranu - że bogaty arsenał naszego statku jest w stanie posłużyć do zabicia każdej istoty - to znaczy, rzecz jasna, pojedynczej istoty -jaka kiedykolwiek żyła...

Jeśli Korita jeszcze później mówił, Grosvenor już tego nie usłyszał. Minał zakręt korytarza i zobaczył stłoczonych ludzi, a przed nimi Ixtla. Von Grossen kończył coś szkicować w swoim notatniku. Grosvenor patrzył z niedowierzaniem, jak von Grossen wysuwa się naprzód i wręcza kartkę obcemu. Stwór zawahał się, w końcu chwycił ją. Rzucił na nią okiem i cofnął się z wykrzywionym pyskiem.

- Co pan u diabła wyrabia? - krzyknął Morton. Von Grossen uśmiechał się nerwowo.

- Właśnie mu pokazałem, w jaki sposób możemy go pokonać -oznajmił ze spokojem. - Myślę...

Jego głos nagle się urwał. Grosvenor, nadal stojący z tyłu, uczestniczył w całym zdarzeniu

wyłącznie jako obserwator. Cała reszta grupy znajdowała się w niebezpieczeństwie.

Morton musiał zdać sobie sprawę, co za chwilę nastąpi. Postąpił naprzód, jakby świadomie chciał zasłonić von Grossena swoim wielkim ciałem. Dłoń o długich, podobnych do drutów palcach pchnęła koordynatora na stojących za nim ludzi. Upadł, pozbawiając równowagi tych, którzy stali najbliżej. Zaraz potem doszedł do siebie, sięgnął po pistolet wibracyjny i ścisnął go kurczowo.

Jak przez zniekształcającą szybę Grosvenor zobaczył, że stwór chwyta von Grossena dwoma palcami w kolorze ognia. Wążący dwieście dwadzieścia funtów fizyk bezskutecznie próbował się wymknąć. Cienkie, twarde palce krępowały go niczym sznury. Grosvenor nie strzelił tylko dlatego, że nie byłby w stanie trafić stwora, nie robiąc krzywdy von Grossenowi. Ale ponieważ pistolet wibracyjny nie zabijał człowieka, a jedynie odbierał mu przytomność, Grosvenor zastanawiał się, czy jednak strzelić, czy też za wszelką cenę próbować porozumieć się najpierw z von Grossenem? Wybrał to drugie rozwiązanie.

- Von Grossen, co pan mu pokazał? Jak mamy go pokonać? -zawołał.

Von Grossen musiał usłyszeć, gdyż obrócił głowę. Nie zdążył zrobić nic więcej. W tej samej chwili zdarzyło się coś dziwnego. Stwór nabrał rozpędu i przeniknął przez ścianę, nie wypuszczając fizyka z rąk. Grosvenor przez chwilę miał wrażenie, że wzrok płata mu figle, ale widział już tylko gładką, błyszczącą ścianę i jedenastu zdumionych, dyszących z przerażenia mężczyzn. Siedmiu wyciągnęło broń i teraz wymachiwało nią bezsilnie.

- Jesteśmy zgubieni - szepnął któryś z nich. - Jeśli on potrafi zmieniać strukturę atomów naszego ciała, abyśmy wraz z nim przenikali przez ściany, nie będziemy w stanie z nim walczyć.

Grosvenor zauważył, że Mortona zdenerwowała ta uwaga. Koordynator usiłował zachować rozsądek w trudnej sytuacji. Powiedział ze złością:

- Dopóki żyjemy, możemy z nim walczyć! - Podeszedł do komunikatora i zapytał ostro: - Kapitanie Leeth, jak wygląda sytuacja? Na ekranie pojawiła się głowa i ramiona kapitana.

- W tej chwili nie dzieje się nic nadzwyczajnego - odparł zwięźle kapitan. - Porucznikowi Clayowi wydawało się, że jakiś szkarłatny cień prześliznął się przez podłogę. W chwili obecnej możemy zawęzić poszukiwania do dolnych pokładów statku. Jeśli chodzi o nas, właśnie zajmowaliśmy pozycje, kiedy to się stało. Nie daliście nam zbyt wiele czasu.

- Nie mieliśmy na to żadnego wpływu - powiedział gorzko Morton.

Grosvenor uważał, że to ostatnie stwierdzenie nie do końca jest prawdziwe. Von Grossen przyspieszył atak pokazując stworowi, w jaki sposób może zostać pokonany. Było to typowo egoistyczne zachowanie. Co więcej, stanowiło oznakę rywalizacji między naukowcami, którzy najwyraźniej nie potrafili współpracować ze sobą jak odpowiedzialni, inteligentni ludzie. Za tym, co zrobił von Grossen, stały postawy, które powinny zaniknąć już setki lat temu. Były one przydatne w początkach istnienia nauki, lecz teraz miały wątpliwą wartość, gdyż rozwój każdej dziedziny zależał od zharmonizowania jej osiągnięć z wiedzą z innych dziedzin.

Grosvenor zaczynał wątpić, czy von Grossen rzeczywiście opracował sposób pokonania Ixtla. Jego zdaniem nie można było znaleźć skutecznego rozwiązania korzystając z wiedzy z jednej tylko dziedziny. To, co von Grossen narysował dla stwora, musiało ograniczać się wyłącznie do nauk fizycznych.

Morton przerwał tok jego myśli.

- Czy ktoś wie, co von Grossen narysował na tej kartce? Grosvenor czekał, by ktoś inny udzielił odpowiedzi. Jednak skoro nie było chętnych, sam zabrał głos.

- Panie koordynatorze, mam pewien pomysł - oświadczył.

- Słucham.

- Jedynym sposobem na przyciągnięcie uwagi stwora byłoby pokazanie mu jakichś uniwersalnych symboli. Ponieważ von Grossen jest fizykiem, nietrudno zgadnąć, jakich symboli użył.

Przerwał z rozmysłem, aby zobaczyć, jaką reakcję wywołuje jego melodramatyczna wypowiedź. Mimo że od czasu wydarzeń na planecie Riim Morton był mu przychylny, załoga nie uważała go za jakiś wielki autorytet. Byłoby więc lepiej, gdyby słuchacze sami odgadli, na czym polega jego pomysł.

Morton przerwał ciszę.

- Mów, młody człowieku. Nie trzymaj nas w niepewności.

- Atom - oznajmił Grosvenor. Twarze słuchaczy pozostały obojętne.

- To nic nie oznacza - stwierdził Smith. - Dlaczego miałby mu pokazywać atom?

- Oczywiście, nie byłby to dowolny atom - wyjaśnił Grosvenor. - Założę się, że von Grossen narysował strukturę atomów tworzących zewnętrzną powłokę statku.

- Ależ oczywiście! - krzyknął Morton.

- Chwileczkę - odezwał się z ekranu kapitan Leeth. - Nie jestem fizykiem więc nie rozumiem, o czym mówicie.

- Grosvenor chciał przez to powiedzieć - wyjaśnił Morton - że tylko dwa elementy statku są wykonane z wyjątkowo odpornego materiału: zewnętrzna powłoka oraz ściany maszynowni. Gdyby był pan z nami gdy złapaliśmy intruza, zauważyłby pan, że kiedy tamten prześliznął się przez dno klatki, natychmiast został zatrzymany przez twardą, zewnętrzną powłokę statku. Wydaje się jasne, że twór nie jest w stanie przeniknąć przez taką ścianę. Dowodzi tego fakt, iż musiał skoczyć do włazu, aby dostać się na pokład. Dziwię się, że wcześniej o tym nie pomyśleliśmy.

- Jeśli von Grossen pokazywał stworowi strukturę naszego pancerza ochronnego, to czy nie mogło być tak, że przedstawiał mu działanie ścian z ekranem energetycznym? Czy nie jest to równie prawdopodobne przypuszczenie jak to, że pokazał mu schemat atomu? - spytał Leeth.

Morton odwrócił się i popatrzył pytająco na Grosvenora, który wyjaśnił:

- Intruz doświadczył już, czym jest zetknięcie z ekranem, i zdołał je przeżyć. Von Grossen najwyraźniej był przekonany, że pokaże mu coś nowego. Poza tym, aby pokazać ekran energetyczny za pomocą symboli, w równaniu trzeba by użyć umownych oznaczeń.

- To bardzo optymistyczne rozumowanie - zauważył kapitan Leeth. - Wynika z niego, że mamy na statku przynajmniej jedno miejsce, gdzie będziemy bezpieczni: maszynownię. Ściany wokół pomieszczeń sypialnych, nawet chronione ekranami, nie stanowią tak dobrej obrony. Chyba rozumiem, dlaczego pan von Grossen uważał, że daje nam to przewagę. Niech cała załoga statku zgromadzi się w bezpiecznym obszarze i niech nikt go nie opuszcza bez zgody dowództwa. - Odwrócił się do najbliższego komunikatora i powtórzył rozkaz, a potem powiedział: - Proszę, żeby szefowie działów przygotowali się do udzielania informacji związanych z ich dziedzinami. Do ekip interwencyjnych zostaną przydzielone wyłącznie osoby przeszkolone. Panie Grosvenor, proszę zaliczać siebie do tej właśnie kategorii. Doktorze Eggert, proszę przygotować pigułki przeciwsenne. Nikt nie może iść spać, dopóki nie pokonamy bestii.

- Dobra robota, kapitanie! - pochwalił z entuzjazmem Morton. Kapitan Leeth skłonił się i zniknął z ekranu.

- A co z von Grossenem? - zapytał z wahaniem jakiś technik stojący w korytarzu.

- Nie pomożemy mu, jeśli nie pokonamy tego, kto go porwał! - powiedział stanowczo Morton.

W wielkim pomieszczeniu pełnym wielkich maszyn, ludzie wyglądali jak karły w pokoju olbrzymów. Grosvenor odruchowo mrugał oczami przy każdym błysku niezziemskiego, błękitnego światła, które pojawiało się na ogromnej, lśniącej powierzchni sufitu. Dźwięk dudniący w zamkniętym pomieszczeniu drażnił jego uszy tak samo, jak błyski drażniły oczy. Był to szum o niezwykłej sile, ryczący niczym piorun na horyzoncie, świadczący o ogromnym przepływie energii.

Silniki były włączone. Statek przyspieszał, mknąc coraz szybciej przez czarną przestrzeń dzielącą spiralną galaktykę, w której Ziemia była jedynie małą, wirującą cząsteczką, od innej galaktyki, mniej więcej tej samej wielkości. Tu właśnie toczyła się zaciekła walka. Największa, najbardziej ambitna ekspedycja badawcza, jaką kiedykolwiek wysłano z układu słonecznego, stanęła w obliczu zagłady.

Grosvenor był o tym głęboko przekonany. Tu już nie chodziło o Coeurla, którego udoskonalone ciało przetrwało mordercze wojny, toczone przez rasę dokonującą biologicznych eksperymentów na zwierzętach, zamieszkujących planetę kotów. Zagrożenie ze strony ptasich istot z Riim również było niczym w porównaniu z obecną sytuacją. Po ich pierwszej nieudanej próbie nawiązania kontaktu, Grosvenor zdołał przejąć kontrolę nad ich działaniami. Stoczył w pojedynkę walkę z całym gatunkiem i wygrał.

Szkarłatny potwór najwyraźniej sam tworzył odrębny gatunek.

Kapitan Leeth wspiął się na metalową drabinę prowadzącą na niewielki pomost. Chwilę później dołączył do niego Morton. W ręku trzymał dwa pliki notatek, oddzielając je wskazującym palcem. Przejrzeli notatki, potem Morton powiedział:

- Po raz pierwszy odkąd stwór dostał się na statek, mamy chwilę na złapanie oddechu. Może się to wydać nieprawdopodobne, ale nie upłynęły jeszcze nawet dwie godziny. Kapitan Leeth i ja przeczytaliśmy zalecenia przesłane nam przez szefów każdego z działów. Wstępnie podzieliliśmy te zalecenia na dwie kategorie. O jednej z nich, zawierającej wskazówki teoretyczne, powiemy później. Druga kategoria, zawierająca konkretne plany schwytania intruza, jest oczywiście ważniejsza. Zacznę od tego, że wszyscy obawiamy się, iż te plany nie zdołają ocalić pana von Grossena. Panie Zeller, proszę opowiedzieć wszystkim o swoim pomysłe.

Zeller wyszedł przed zebranych. Był to błyskotliwy młody człowiek, mający niecałe czterdzieści lat. Awansował na szefa działu metalurgii po tym, jak Coeurl zabił Breckenridge'a.

- Odkryliśmy- oświadczył- że obcy stwór nie jest w stanie przeniknąć przez stopy o wysokiej oporności elektrycznej. Dzięki temu wiemy już, z czego należy zrobić kombinezony ochronne. Mój asystent właśnie pracuje nad stworzeniem takiego kombinezonu. Powinien uporać się z tym w ciągu trzech godzin. Do poszukiwań, rzecz jasna, użyjemy kamery fluorograficznej. Jeśli ktoś ma jakieś uwagi...

- A gdyby tak uszyć kilka kombinezonów? - zaproponował jeden z obecnych.

Zeller pokręcił głową.

- Mamy bardzo ograniczone ilości materiału. Moglibyśmy *otrzymać* go więcej, ale tylko za pomocą transmutacji, a to zabrałoby wiele czasu... Poza tym - dodał - nasz dział jest jednym z najmniejszych. Będziemy zadowoleni, jeśli uda nam się sporządzić na czas chociaż jeden kombinezon.

Nikt nie miał więcej pytań. Zeller zniknął za jedną z osłon znajdujących się w maszynowni.

Koordynator Morton podniósł rękę. Kiedy na sali znów zapadła cisza, powiedział:

- Ja ze swojej strony czuję się lepiej wiedząc, że kiedy tylko będziemy mieli kombinezon

ochronny, intruz będzie musiał się nieustannie przemieszczać, abyśmy nie znaleźli von Grossena.

- Skąd pan wie, że von Grossen żyje? - zapytał ktoś.

- Ponieważ gdyby ten cholerny stwór potrzebował zwłok, zabrałby ze sobą ciało swojej pierwszej ofiary, a on nie uczynił tego. Chce nas wziąć żywcem. Raport Smitha zawiera możliwe wyjaśnienie motywów takiego postępowania, lecz jest to druga kategoria zaleceń, o której porozmawiamy później.

Na chwilę zamilkł, po czym mówił dalej:

- Wśród planów ataku na intruza mam tu jeden przedstawiony przez dwóch techników z działu fizyki, oraz jeden od Elliotta Grosvenora. Kapitan Leeth i ja przedyskutowaliśmy te plany z głównym inżynierem Pennonsem oraz innymi specjalistami i uznaliśmy, że pomysł pana Grosvenora jest zbyt niebezpieczny dla załogi, a zatem wykorzystamy go jedynie w ostateczności. Wkrótce zaczniemy wprowadzać w życie plan fizyków, o ile nikt nie wniesie istotnego sprzeciwu. Otrzymaliśmy również kilkanaście luźnych wskazówek, które zebraliśmy w całość. Oczywiście każdy ma prawo przedstawić swój pomysł, lecz z uwagi na ograniczony czas pozwolę sobie jedynie skrótowo je omówić, w takiej postaci, jaka została ostatecznie zaakceptowana przez ekspertów.

Fizycy - Morton zerknął na kartkę, którą trzymał w ręku - Lomas i Hindley, przyznają, że powodzenie ich planu zależy od tego, czy stwór umożliwi nam wykonanie pewnych połączeń energetycznych. Wydaje się to możliwe, jeżeli odwołamy się do teorii cykli historycznych pana Kority, według której „wieśniak” kieruje się wyłącznie własnym interesem i zazwyczaj ignoruje znaczenie grupowego działania. Na tej podstawie zmodyfikowaliśmy plan Lomasa i Hindleya. Zamierzamy włączyć pole energetyczne na całym siódmym i dziewiątym piętrze - same podłogi, bez ścian. Mamy taką oto nadzieję: jak dotąd stwór nie podjął żadnej zorganizowanej próby zabicia nas. Pan Korita twierdzi, że intruz, będąc „wieśniakiem”, jeszcze nie zdaje sobie sprawy, że musi nas zniszczyć, gdyż w przeciwnym razie my zniszczymy jego. Jednak prędzej czy później zrozumie, że najpierw powinien pomyśleć o zabijaniu, a dopiero później o wszystkim innym. Jeśli nie przeszkodzi nam w pracy, to zdołamy uwięzić go na ósmym piętrze, między dwoma sufitami z polem energetycznym. Następnie, kiedy nie będzie miał możliwości ucieczki w dół lub w górę, odszukamy go za pomocą kamer. Pan Grosvenor zapewne zdaje sobie sprawę, iż plan ten jest znacznie mniej ryzykowny niż jego własny, a zatem powinien zostać zrealizowany w pierwszej kolejności.

Grosvenor westchnął ciężko, zawahał się, w końcu stwierdził ponuro:

- Jeśli chodzi nam wyłącznie o stopień ryzyka, to być może powinniśmy zamknąć się w maszynowni i czekać, aż intruz sam ucieknie? - Po chwili dodał jednak poważnie: - Proszę nie myśleć, że chcę chwalić własny plan. Tyle że... - zawahał się, lecz zaraz dokończył - ...uwzględnię wasz plan za całkiem bezużyteczny.

- Czy nie jest to zbyt ostry osąd? - spytał zaskoczony Morton.

- Jeżeli dobrze rozumiem, opisany przez was plan różni się od oryginalnego. W którym miejscu został zmodyfikowany? - Grosvenor odpowiedział pytaniem.

- Fizycy - odparł koordynator - zalecali włączenie pola na czterech piętrach: siódmym, ósmym, dziewiątym i dziesiątym.

Grosvenor jeszcze raz się zawahał. Nie zamierzał wypowiadać zbyt krytycznych uwag. Wiedział, że jeśli będzie bardzo nalegał, ludzie przestaną się liczyć z jego opinią. Ostatecznie stwierdził:

- To już brzmi lepiej.

Stojący za plecami Mortona kapitan Leeth wtrącił:

- Panie Pennons, proszę powiedzieć wszystkim, dlaczego włączenie pola na więcej niż dwóch piętrach byłoby niewskazane.

Główny inżynier postąpił naprzód. Gdy się odezwał, w jego głosie wyczuwało się napięcie.

- Przede wszystkim, zajęłoby to kolejne trzy godziny, a przecież zgodziliśmy się, że zależy nam na czasie. Gdyby czas nie grał roli, najlepszym wyjściem byłoby włączenie pola na całym statku, zarówno na podłogach jak i ścianach, kontrolując jednocześnie ilość uwalnianej energii. Wtedy intruz nie mógłby nam już uciec. Lecz taka operacja zajęłaby około pięćdziesięciu godzin. Jak już wcześniej mówiłem, stawianie ekranów energetycznych, przeciw którym my sami nie mamy żadnej osłony, byłoby samobójstwem. Poza tym istnieje jeszcze jeden czynnik, o którym wcześniej nie wspominaliśmy. Wiemy, że intruz będzie usiłował porwać kolejne osoby. Chcemy, aby jego następna ofiara, kimkolwiek będzie, miała szansę na przetrwanie. - Pennons kontynuował twardym tonem. - W ciągu trzech godzin możemy wprowadzić w życie zmodyfikowany plan. Do tego czasu pozostaniemy właściwie bezbronni. Będziemy dysponować jedynie ręcznymi pistoletami wibracyjnymi oraz emiterami wibracyjnymi. Nie odważymy się użyć wewnątrz statku silniejszej broni. Nawet ta, którą się posłużymy, powinna być używana z wielką ostrożnością, gdyż jest zabójcza dla ludzi. A zatem, do dzieła! - dodał jeszcze i zszedł z podium.

- Nie tak prędko - zaprotestował kapitan Leeth. - Chcę jeszcze posłuchać zastrzeżeń pana Grosvenora.

- Gdybyśmy mieli czas, warto by było sprawdzić, jak stwór reaguje na ekranowane ściany - powiedział Grosvenor.

- Ten argument do mnie nie przemawia. Przecież jeśli ten stwór znajdzie się pomiędzy dwiema ekranowanymi podłogami, to już po nim. Nie będzie w stanie się przedrzeć - wtrącił ktoś z irytacją.

- O niczym takim nie wiemy - odparł zdecydowanie Grosvenor. - Wiemy tylko, że wszedł na ekranowaną ścianę i natychmiast uciekł. Wnioskujemy z tego, że odczuł przykrość. Wydaje się pewne, że nie jest w stanie przez dłuższy czas pozostawać w kontakcie z polem energetycznym. Jednak na nasze nieszczęście, nie możemy zastosować pola energetycznego o pełnej mocy. Jak wykazał pan Pennons, ściany uległyby stopieniu. Oto do czego zmierzam: zrobiliśmy wszystko, co tylko mogliśmy, by zatrzymać intruza, ale okazało się to niewystarczające, bo on zdołał jednak uciec.

To stwierdzenie wytrąciło kapitana Leetha z równowagi.

- Panowie - powiedział - dlaczego wcześniej nie wzięto tego pod uwagę? Z całą pewnością jest to ważna obiekcja.

- Byłem za tym, aby pan Grosvenor uczestniczył w naszej wcześniejszej rozmowie - wyjaśnił Morton - lecz zostałem przegłosowany z powodu starego obyczaju, który nakazuje wyłączać z dyskusji jej pomysłodawców. Z tych samych względów, obaj fizycy również nie wzięli w niej udziału.

Siedel odchrząknął.

- Nie sądzę - powiedział - aby pan Grosvenor zdawał sobie sprawę z tego, co właśnie nam wyrządził. Wszyscy byliśmy do tej pory przekonani, że pole siłowe jest jednym z największych wynalazków dokonanych przez człowieka. Mnie osobiście dawało to poczucie bezpieczeństwa. Teraz pan Grosvenor mówi nam, że jakiś stwór może przez to pole przeniknąć.

- Nie twierdzę, że nasze pole siłowe jest bezużyteczne, panie Siedel - odparł Grosvenor. - Prawdę mówiąc mamy powody sądzić, że intruz nie będzie w stanie się przez nie przedrzeć. Uważam tak dlatego, iż stwór czekał, aż sami wciągniemy go do wnętrza statku. Jednak ekranowana podłoga, o której teraz mówimy, jest słabszą wersją pola siłowego.

- A jednak - powiedział psycholog - czy nie sądzi pan, że eksperci podświadomie zakładali, iż pomiędzy tymi dwiema rzeczami istnieje duże podobieństwo? Ich rozumowanie zapewne wyglądało następująco: jeśli ekranowanie okaże się niewystarczające, wszyscy zginiemy. W takim razie, musi

ono być skuteczne.

Kapitan Leeth wtrącił zmęczonym głosem:

- Obawiam się, że pan Siedel trafnie określił nasze słabości. Teraz przypominam sobie, że przyszła mi do głowy taka myśl.

- Może lepiej posłuchamy planu awaryjnego, który obmyślił pan Grosvenor - zaproponował Smith.

Kapitan Leeth zerknął na Mortona, który zawahał się, wreszcie powiedział:

- Jego plan polega na tym, aby rozdzielić się na tyle grup, ile mamy na pokładzie miotaczy atomowych...

Nie musiał mówić nic więcej. Któryś z fizyków krzyknął oszołomiony:

- Energia atomowa... na pokładzie statku?! Wrzawa trwała długą chwilę. Kiedy ucichła, Morton mówił dalej tak, jakby nikt mu nie przerwał.

- Mamy czterdzieści jeden miotaczy. Jeśli przyjmiemy plan pana Grosvenora, każdy z nich będzie obsługiwany przez oddział żołnierzy. Pozostali członkowie załogi muszą rozproszyć się jako przynęta, pozostając w zasięgu działania któregoś z miotaczy. Ludzie obsługujący je otrzymają rozkaz uruchomienia ich nawet wtedy, gdyby ktoś z nas znajdował się na linii ognia.

Morton pokiwał głową, ale zaraz kontynuował:

- Jest to prawdopodobnie najbardziej skuteczny plan, jaki przedstawiono. Jednak jego drastyczność przeraża nas wszystkich. Pomysł strzelania do swoich ludzi, choć wcale nie nowy, jest o wiele trudniejszy do przyjęcia niż pan Grosvenor - jak sądzę - sobie wyobraża. Jednakże, chcąc być uczciwym, muszę dodać, że istniał jeszcze jeden czynnik, który zdecydował o tym, że nie przyjęliśmy tego planu. Kapitan Leeth zauważył, że ci, którzy służyliby za przynętę, musieliby być nieuzbrojeni. A tego dla większości z nas byłoby już za wiele. Każdy człowiek ma prawo do obrony własnej. - Koordynator wzruszył ramionami. - Ponieważ mieliśmy alternatywny plan, postanowiliśmy go przyjąć. Teraz uważam, że pomysł pana Grosvenora daje nam większe szansę, ale nadal nie zgadzam się z poprawką zaproponowaną przez kapitana Leetha.

Grosvenor odwrócił się do kapitana, i spojrzał mu w oczy. Kapitan Leeth nie opuścił wzroku. Na jego twarzy malowała się ponura determinacja. Chwilę później Grosvenor powiedział stanowczo:

- Myślę, że powinien pan podjąć ryzyko, kapitanie. Oficer zareagował na to lekkim, oficjalnym ukłonem.

- Doskonale - powiedział. - Cofam swoje zastrzeżenia.

Grosvenor zauważył, że Morton jest zaskoczony tą nagłą zmianą sytuacji. Koordynator popatrzył na Grosvenora, potem na kapitana, potem znów na Grosvenora. Później chyba zrozumiał, o co chodzi. Podszedł do Grosvenora i cicho powiedział:

-1 pomyśleć, że nie zdawałem sobie sprawy do czego on dążył. Z pewnością popełnił błąd, sądząc że w sytuacji kryzysowej... - Przerwał, po czym wyprostował się i popatrzył uważnie na kapitana Leetha.

- Teraz już rozumiał, że popełnił błąd, poruszając tą kwestię -łagodził Grosvenor.

Morton przytaknął i dodał jakby wbrew sobie:

- Myślę, że jeśli głębiej się nad tym zastanowić, to kapitan ma rację. Instynkt samozachowawczy, będąc podstawowym instynktem człowieka, może zagłuszyć głos rozsądku. A mimo to... - zmarszczył czoło - ...lepiej już do tego nie wracać. Myślę, że naukowcy czuliby się obrażeni, na pokładzie i tak panuje fatalna atmosfera.

Staął twarzą do zebranych.

- Panowie - oznajmił głośno - wydaje się jasne, że pan Grosvenor wystarczająco uzasadnił swój plan. Proszę, aby wszyscy, którzy go popierają, podnieśli ręce.

Ku wielkiemu rozczarowaniu Grosvenora, tylko kilkadziesiąt osób głosowało za. Morton zawahał się, potem powiedział:

- Proszę, aby podnieśli ręce ci, którzy są przeciw. Tym razem podniosło się zaledwie kilkanaście rąk. Morton skinął na jakiegoś człowieka w pierwszym rzędzie.

- Nie głosował pan ani za, ani przeciw. Dlaczego? Tamten wzruszył ramionami.

- Wolałem się wstrzymać. Nie wiem, czy jestem za czy przeciw. Nie znam się na tym wszystkim.

- A pan? - Morton spytał innego mężczyznę.

- A co z wtórnym promieniowaniem? - zaniepokoił się zapytany.

- Zostanie zablokowane - wyjaśnił kapitan Leeth. - Uszczelnimy cały obszar... Panie koordynatorze - zmienił temat - nie rozumiem, na co jeszcze czekamy. Plan pana Grosvenora został przegłosowany pięćdziesięcioma dziewięcioma głosami przeciwko czterem. Chociaż nie mam władzy nad naukowcami nawet w sytuacji kryzysowej, uważam że powinniśmy przystąpić do akcji.

- Ale... - zaprotestował Morton- ...prawie ośmiuset ludzi wstrzymało się od głosu. - Był wyraźnie zbity z tropu.

- Mieli do tego prawo - oświadczył Leeth. - Od dorosłych ludzi oczekuje się umiejętności podjęcia decyzji. Cała idea demokracji jest oparta na tym założeniu. A zatem, rozkazuję natychmiast zacząć działać.

Morton zawahał się, potem powiedział powoli:

- Cóż, panowie, jestem zmuszony wyrazić zgodę. Myślę, że najlepiej zrobimy, podejmując jak najprędzej realizację naszego planu. Ustawienie miotaczy atomowych zajmie dużo czasu, więc od razu zabierzemy się do włączania pola energetycznego na siódmym i dziewiątym piętrze. Zresztą wydaje mi się, że moglibyśmy połączyć obydwie plany, a następnie porzucić jeden z nich w zależności od sytuacji.

- To brzmi rozsądnie - stwierdził z wyraźną ulgą jakiś mężczyzna.

Propozycja koordynatora wydała się sensowna większości zebranych. Na napiętych twarzach pojawił się spokój. Po chwili tłum ludzi już się wylewał z przestronnego pomieszczenia. Grosvenor zwrócił się do Mortona.

- Genialna propozycja - powiedział. - Byłem zbyt przeciwny włączeniu ograniczonego pola, by taki kompromis mógł mi przyjść do głowy.

Morton z powagą przyjął ten komplement.

- To był mój plan awaryjny - wyjaśnił. - Dawno już się przekonałem, że często od samego rozwiązania problemu ważniejsze jest napięcie, jakie temu towarzyszy. - Wzruszył ramionami. - W sytuacji zagrożenia należy ciężko pracować. Ciężko pracując, należy korzystać z każdej sposobności relaksu. - Wyciągnął rękę. - Cóż, powodzenia, młody człowieku. Mam nadzieję, że wyjdzie pan z tego cało.

Kiedy uścisnęli sobie dłonie, Grosvenor zapytał:

- Ile czasu zajmie ustawienie miotaczy atomowych?

- Około godziny, może trochę dłużej. Do tego czasu będziemy się bronić emiterami wibracyjnymi...

Kiedy ludzie ponownie pojawili się na korytarzu, Ixtl czym prędzej pognął na siódmy poziom. Przez kilka minut był jedynie cieniem przemykającym poprzez dżunglę ścian i podłóg. Dwukrotnie został zauważony i ostrzelany z emiterów wibracji. Różniły się one od ręcznych pistoletów tak, jak życie różni się od śmierci. Wprawiały w drżenie ściany, przez które Ixtl właśnie zamierzał przeniknąć. Raz zdarzyło się, że wiązka energii ugodziła go w stopę. Szok spowodowany skupionym strumieniem molekuł sprawił, że zaczął kuleć. Stopa zagoiła się w ciągu sekundy, lecz Ixtl dowiedział się, że jego ciało nie jest w pełni odporne na tak potężną broń.

Mimo to nadal się nie bał. Szybkość, przebiegłość i staranne programowanie - takie środki ostrożności powinny go uchronić przed działaniem wszelkiego rodzaju broni. Musiał jednak wiedzieć, do czego ci ludzie zmierzają. Gdy zamknęli się w maszynowni, obmyślili chyba jakiś plan działania, a teraz z determinacją wprowadzali go w życie.

Na korytarzach ludzie harowali przy urządzeniach przypominających piece, wykonanych z czarnego metalu. Z otworu na szczycie każdego z tych urządzeń wydobywał się oślepiający blask. Ludzie mieli na sobie skafandry próżniowe, których zazwyczaj przezroczyste henny zostały przyciemnione. Jednak hełmy te nie dawały pełnej ochrony i pracownicy byli częściowo oślepieni. Z tajemniczych urządzeń wychodziły wstęgi jarzącego się blado materiału. Każda wstęga była chwyтана przez narzędzia i cięta na równe części, które układano na podłodze. Wkrótce cała podłoga została pokryta gorącym metalem, a wtedy potężne kompresory zaczęły schładzać metalową powierzchnię.

W pierwszej chwili umysł Ixtla wzdrygał się przed przyjęciem wniosków, jakie płynęły z obserwacji. Usiłował doszukać się w tym wszystkim głębszego sensu, jakiegoś wymyślnego podstępu. W końcu uznał, że zmysły go nie myliły. Ludzie usiłowali w sposób kontrolowany ustawić pole energetyczne na podłogach dwóch poziomów. Później, kiedy zorientują się, że ich prymitywna pułapka jest nieskuteczna, z pewnością spróbują innych metod. W którym momencie ich działania staną się dla niego niebezpieczne - tego Ixtl nie był pewien. Wiedział tylko, że jeśli sytuacja zacznie mu się wymykać spod kontroli, wystarczy, że pójdzie za ludźmi i wyłączy układ energetyczny.

Z pogardą odsunął od siebie ten problem. Pomyślał, że w gruncie rzeczy ludzie szli mu na rękę, ułatwiając zdobycie guulów. Postanowił starannie wybrać swoją następną ofiarę. W ciele człowieka, którego niechcący zabił, odkrył to, co było mu potrzebne: żołądek i jelita. Z tego względu, ludzie o dużych brzuchach znaleźli się pierwsi na liście.

Obejrzał sobie wszystkich, wybrał ofiarę i zaatakował. Zanim zdołano wycelować w niego jakąkolwiek broń, zniknął wraz z szamoczącym się człowiekiem. Z łatwością zmienił swoją strukturę atomową w chwili przechodzenia przez podłogę. Znalazł się dwa poziomy niżej, w przestronnej ładowni statku. Mógł tu dotrzeć znacznie szybciej, lecz uważał, aby nie uszkodzić swojej ofiary.

Ładownia była znajomym terytorium i czuł się tu bezpieczny. Zbadał to miejsce szybko lecz dokładnie od razu po tym, jak dostał się na pokład. Eksperymentując z von Grossenem dowiedział się, jak postępować. Bez wahania ruszył poprzez skąpo oświetlone wnętrza w stronę przeciwległej ściany, przy której ustawione były olbrzymie skrzynie. Minął je i znalazł siew wielkiej rurze. Jej średnica była wystarczająca, aby mógł się wyprostować. Była to część długiego na wiele mil systemu klimatyzacji.

Kryjówka w zwykłym świetle wydawałaby się pogrążona w mroku. Lecz wrażliwym na podczerwień oczom Ixtla całe jej wnętrza ukazywało się wyraźnie. Ułożył swoją nową ofiarę obok ciała von Grossena. Następnie, z wielką ostrożnością, zagłębił cienki jak drut palec we własnej pierś, wyjął z niej bezcenne jajo i umieścił w żołądku człowieka.

Człowiek nadal się szarpał, lecz Ixtl spokojnie czekał na to, co miało nastąpić. Ciało powoli zaczęło sztywnieć, mięśnie tężały. W przyływie paniki, człowiek zaczął jęczeć i krzyczeć, czując jak ogarnia go paraliż. Ixtl przytrzymał go bezlitośnie, czekając aż dobiegnie końca reakcja chemiczna. W końcu człowiek spoczął nieruchomo, z napiętymi mięśniami. Oczy miał wytrzeszczone, twarz zlaną potem.

W ciągu kilku godzin jaja powinny zagnieździć się w żołądkach obu ofiar. Maleńkie repliki Ixtla wyklują się i szybko będą rosły, czerpiąc pożywienie z organizmów ludzi. Ixtl, zadowolony, ruszył do wyjścia z ładowni. Potrzebował więcej ciał, w których mógłby złożyć jaja. Potrzebował więcej

guulów.

Zanim Ixtl skończył przygotowywać swoją trzecią ofiarę, ludzie dotarli na dziewiąty poziom. Fale gorąca omiatały korytarz jak piekielny wiatr. Nawet układy chłodzące zainstalowane w skafandrach nie mogły sobie poradzić z przegrzaniem powietrzem. Ludzie pocili się pod kombinezonami. Chorzy od gorąca, oślepieni blaskiem, pracowali niemal odruchowo.

Jakiś człowiek obok Grosvenora nagle krzyknął:

- Już są!

Grosvenor odwrócił głowę w kierunku, który tamten wskazywał, i znieruchomiał. Maszyna pędząca na nich nie wydawała się duża. Zobaczył kulisty kształt, o powłoce wykonanej ze spieków węglików wolframu. Z jej środka wystawało coś w rodzaju króćca. Ściśle funkcjonalna konstrukcja zamontowana była na uniwersalnym, wyposażonym w silnik podwoziu, toczącym się na czterech gumowych kołach.

Ludzie wokół Grosvenora przestali pracować. Z pobladłymi twarzami wpatrywali się w dziwny przedmiot. Nagle jeden z nich podszedł do Grosvenora i powiedział ze złością:

- Do cholery, Grove, to ty za to odpowiadasz. Jeśli coś takiego ma mnie napromieniować, to chcę ci najpierw porządnie przyłożyć.

- Ja tu zostanę - odparł ze spokojem Grosvenor. - Zginiemy razem, albo razem przeżyjemy.

Te słowa nieco ostudziły gniew pozostałych. Jednak w głosie swojego rozmówcy Grosvenor nadal wyczuwał złość.

- Co to za bzdura? Z całą pewnością istnieje jakiś lepszy plan, który nie każe nam odgrywać roli przynęty.

- Jest jeszcze jedna rzecz, którą możemy zrobić - odparł Grosvenor.

-Jaka?

- Popęłnić samobójstwo! - Mówił to całkiem poważnie.

Mężczyzna przyjrzał mu się, a potem odszedł, mamrocząc pod nosem coś o głupich żartach. Grosvenor uśmiechnął się z pobłażaniem i wrócił do pracy. Zauważył jednak, że ludzie stracili zapał. Napięcie okazało się zaraźliwe. Teraz najmniejszy bunt ze strony kogokolwiek mógł spowodować bunt całej załogi.

Wszyscy oni stanowili przynętę. Każdy bał się śmierci.

Instynkt samozachowawczy jest w człowieku zbyt mocno zakorzeniony, by układ nerwowy potrafił mu się przeciwstawić. Wyszkoleni żołnierze, tacy jak kapitan Leeth, mogli udawać spokojnych, lecz ich strach pulsował tuż pod powierzchnią. Również Elliott Grosvenor wyczuwał niebezpieczeństwo wszystkimi porami skóry ale był w pełni przekonany, że to, co robi jest słuszne i musi doprowadzić swój plan do końca.

- Proszę cały personel o uwagę!

Grosvenor pobiegł wraz z innymi do najbliższego komunikatora. Dopiero po dłuższej chwili zorientował się, że słyszy kapitana Leetha.

- Wszystkie miotacze atomowe są w tej chwili skierowane na siódmy, ósmy i dziewiąty poziom. Zapewne ucieszy was wiadomość, że przedyskutowałem z moimi oficerami niebezpieczeństwa związane z realizacją planu. Zalecamy co następuje: jeśli zobaczycie intruza, nie czekajcie, nie rozglądajcie się! Natychmiast padnijcie na podłogę. Do wszystkich obsługujących miotacze: ustawcie dysze na 50 do 1,5. W ten sposób otrzymacie rozrzut wynoszący półtorej stopy. Nie uchroni was to przed wtórnym promieniowaniem, lecz mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że jeśli w porę padniecie na podłogę, doktor Eggert i jego personel znajdujący się w maszynowni zdołają ocalić wam życie...

...Reasumując... - kapitan Leeth po przekazaniu najgorszego wydawał się spokojniejszy - .. .chcę zapewnić całą załogę, że nikt na pokładzie nie próżnował. Z wyjątkiem lekarzy oraz trzech rannych, wszyscy są narażeni na takie samo niebezpieczeństwo. Moi oficerowie zostali podzieleni na grupy. Koordynator Morton znajduje się teraz na siódmym poziomie. Pan Grosvenor, którego plan realizujemy, jest na poziomie dziewiątym. I tak dalej. Życzę panom powodzenia!

Na chwilę zapadła cisza. Potem dowódca oddziału obsługującego miotacz, przy którym znajdował się Grosvenor, zawołał radośnie:

- Hej, panowie! Wycelowaliśmy broń! Pilnujcie się i padnijcie plackiem, gdy wystrzelimy.

- Dziękuję za ostrzeżenie - odkrzyknął Grosvenor. Na krótki moment napięcie spadło. Ktoś z działu matematycznego zażartował:

- Grove, nie podlizuj się.

- Zawsze uwielbiałem żołnierzy - powiedział ktoś inny. Po chwili dodał szeptem, na tyle głośnym, by strzelcy to usłyszeli: - Może dzięki nim uzyskam chwilę, która ocali mi życie.

Grosvenor nie słuchał tych przekomarzań. Przynęta, pomyślał znowu. Gdy nadejdzie niebezpieczeństwo, żadna z grup nie będzie w stanie ostrzec pozostałych. Z lufy miotacza wyzwoli się ogromna ilość energii, rozprzestrzeniając niewidzialne promieniowanie.

Kiedy już będzie po wszystkim ci, którzy przeżyją, powiadomią kapitana Leetha na zastrzeżonym paśmie. Dopiero wtedy kapitan ostrzeże pozostałe ekipy.

- Panie Grosvenor!

Usłyszawszy ostry głos, Grosvenor odruchowo padł na podłogę. Uderzył się boleśnie, lecz wstał natychmiast, bo rozpoznał głos kapitana Leetha.

Pozostali ludzie mozolnie podnosili się na nogi. Jeden wymamrotał:

- Cholera, fałszywy alarm!

Grosvenor podszedł do komunikatora i zgłosił się, kątem oka obserwując korytarz za plecami

- Czy może pan niezwłocznie zejść na siódmy poziom? Główny korytarz. Proszę podejść od godziny dziewiątej.

-Tak jest.

Grosvenor ruszył przed siebie z duszą na ramieniu. W tonie głosu kapitana było coś dziwnego. Coś musiało się wydarzyć.

To co zobaczył wydawało się koszmarnym snem. Kiedy wszedł, zauważył, że jeden z miotaczy atomowych został przewrócony na bok. Obok niego znajdowały się spalone szczątki trzech obsługujących go ludzi. Za nimi, na podłodze, leżał czwarty żołnierz, najwyraźniej ogłuszony strzałem z pistoletu wibracyjnego.

Po drugiej stronie miotacza ujrzał jeszcze dwudziestu martwych lub nieprzytomnych ludzi, wśród których znajdował się koordynator Morton.

Sanitariusze w ochronnych kombinezonach uwijali się przy ofiarach, podnosili je i układali na wózkach. Akcja ratunkowa trwała już od kilku minut.

Grosvenor zatrzymał się przy prowizorycznej przegrodzie, ustawionej w poprzek korytarza. Za przegrodą siedział kapitan Leeth. Był blady, ale spokojny. Szybko opowiedział Grosvenorowi całą historię.

Zjawił się Ixtl. Pewien młody technik - kapitan Leeth nie ujawnił jego nazwiska - zapomniał w panice, że powinien paść na podłogę. Kiedy wycelowano w niego dyszę miotacza, z rozpaczy zaczął strzelać do obsługujących go ludzi. Tamci najwyraźniej zawahali się, widząc człowieka na linii ognia. Po chwili wszyscy trzej nieumyślnie przyczynili się do katastrofy. Rażeni z broni wibracyjnej, upadli na miotacz i chwycili się go odruchowo, przewracając go na bok. W ten sposób znaleźli się na

linii strzału.

Niestety, jeden z nich trzymał w ręku aktywator, i włączył go na prawie całą sekundę.

Trzej ludzie znajdowali się bezpośrednio przed wylotem dyszy. Zginęli natychmiast. Zaraz potem miotacz przestał się toczyć, uderzywszy o ścianę.

Morton i jego ludzie, chociaż nie zostali bezpośrednio trafieni, padli ofiarami wtórnego promieniowania. Było jeszcze za wcześnie, aby określić jak poważnie ucierpieli, lecz na pewno większość z nich spędzi co najmniej rok w szpitalu, a część umrze.

- Trochę się spóźniliśmy - przyznał kapitan Leeth. - To się musiało wydarzyć kilka sekund po moim ostrzeżeniu, jednak upłynęła prawie minuta, zanim ktoś, kto usłyszał huk przewróconego miotacza, nabrał podejrzeń i poszedł zobaczyć, co tam się stało. - Westchnął ciężko. - Spodziewałem się strat, ale nie tego, że cały oddział może zginąć.

Grosvenor milczał. Teraz już rozumiał, dlaczego kapitan Leeth chciał rozbroić naukowców. W chwili niebezpieczeństwa człowiek broni się odruchowo. Nic nie można na to poradzić. Człowiek zaczyna wtedy walczyć o własne przetrwanie jak zwierzę.

Wolał nie myśleć o Mortonie, który zdawał sobie sprawę, że naukowcy będą przeciwni odebraniu im broni, i obmyślił plan działania, przy którym wszyscy byli w stanie zaakceptować użycie miotaczy atomowych.

- Dlaczego mnie pan wezwał? - spytał kapitana.

- Bo sądzę, że ten incydent skłoni pana do modyfikacji planu. Co pan o tym myśli?

Grosvenor niepewnie pokiwał głową.

- Odpadł już element zaskoczenia - stwierdził. - Stwór miał wpaść w nasze ręce, nie wiedząc, że na niego czekamy. Teraz na pewno zwiększył czujność.

Grosvenor wyobraził sobie, jak szkarłatny potwór wystawia głowę ze ściany, rozgląda się po korytarzu, a potem błyskawicznie przemyka obok jednego z miotaczy i porywa obsługujących go ludzi. Jedynym rozsądnym wyjściem byłoby ustawienie naprzeciwko drugiego miotacza. Lecz to nie wchodziło w grę - na całym statku nie było już ani jednego wolnego.

- Udało mu się złapać kolejną ofiarę? - zapytał.

-Nie.

Grosvenor znów zamilkł. Podobnie jak pozostali, mógł się jedynie domyślać, czemu intruz chce, aby jego ofiary były żywe. Jedno z wyjaśnień było zgodne z teorią Kority, który twierdził że stwór pochodzi z epoki „wieśniaków” i potrzeba zachowania gatunku jest u niego dominująca. Było to mroźące krew w żyłach przypuszczenie, które zarazem oznaczało, że intruz będzie szukał coraz to nowych ofiar.

- O ile dobrze rozumiem, intruz pojawi się znowu - powiedział kapitan Leeth. - Proponuję, abyśmy na jakiś czas porzucili miotacze i zajęli się ekranowaniem podłóg na trzech poziomach. Na siódmym już skończyliśmy, wkrótce możemy skończyć na ósmym. W ten sposób zablokujemy od razu trzy piętra. Zakładając, że nasz plan się powiedzie, musimy jednocześnie brać pod uwagę, że bestia porwała już trzy osoby, nie licząc von Grossena. Za każdym razem widziano, że zabierała je, że tak powiem, na dół. Proponuję, abyśmy zaraz po postawieniu ekranów na ósmym poziomie przenieśli się na dziewiąty i tam na niego zaczekali. Kiedy stwór kogoś złapie, odczekamy chwilę, a potem pan Pennons włączy pole siłowe na wszystkich trzech poziomach. Stwór utknie na ósmym, chronionym ekranem z obu stron. Jeśli zdoła się przedrzeć odkryje, że siódmy poziom również jest chroniony. Jeśli przedrze się w górę, to samo spotka go na poziomie dziewiątym. Tak czy inaczej zmusimy go do kontaktu z ekranowanymi powierzchniami. - Kapitan zamilkł, popatrzył z namysłem na Grosvenora i powiedział: - Wiem, że według pana kontakt z tylko jedną ekranowaną warstwą nie jest w stanie

zabić intruza. Ale nie był pan pewien, jak podziałają dwie warstwy. - Tu przerwał i popatrzył wyczekująco na Grosvenora.

- Warto spróbować. Prawdę mówiąc, możemy się tylko domyślać, jaka będzie jego reakcja. Możliwe, że spotka nas miła niespodzianka - odpowiedział Grosvenor po chwili wahania

Nie wierzył w to, co powiedział, lecz w obecnej sytuacji powinien brać również pod uwagę przekonania i nadzieje załogi. Niektórzy ludzie mogli zmienić zdanie dopiero wtedy, gdy coś się wydarzy. Kiedy ich wyobrażenia zostaną skorygowane przez rzeczywistość, wtedy - i tylko wtedy - będą oni emocjonalnie przygotowani na bardziej drastyczne rozwiązania.

Grosvenorowi wydawało się, że powoli zdobywa umiejętność wywierania wpływu na ludzi. Nie wystarczyło posiadać wiedzę i informacje, nie wystarczyło mówić prawdę. Trzeba było argumentować i przekonywać. Czasami zajmowało to więcej czasu niż pozwalały na to względy bezpieczeństwa. Czasami było to zupełnie niewykonalne. W ten sposób cywilizacje ulegały zagładzie, bitwy zostawały przegrane, a statki zniszczone - ponieważ ludzie wiedzący jak wyjść z opresji nie mieli ochoty tracić czasu na przekonywanie innych.

Jeśli tylko zdoła, nie dopuści, by tak stało się i tym razem.

- Możemy trzymać w pogotowiu miotacze atomowe, dopóki nie skończymy ekranować podłóg - powiedział. - Później będziemy musieli je przemieścić, bo pole energetyczne spowoduje samoczynne odpalenie pocisków.

W ten oto sposób Grosvenor sam odwołał swój plan ataku na wroga.

Ixtl zjawił się dwukrotnie w ciągu godziny i czterdziestu pięciu minut, które zajęło postawienie ekranów na ósmym poziomie. Zostało mu jeszcze sześć jaj, i zamierzał wykorzystać cztery z nich. Denerwowało go tylko, że zdobycie każdego następnego guula zajmuje mu coraz więcej czasu. Wyglądało na to, że ludzie wzmogli czujność. Obecność miotaczy atomowych zmuszała Ixtla do wyłapywania wyłącznie ludzi, którzy je obsługiwali.

Mimo tych wszystkich ograniczeń, każda kolejna wycieczka zajmowała mu mniej czasu. Ixtl nie odczuwał obaw. Musiał zrobić to, co robił. Potem zajmie się likwidacją ludzi.

Kiedy skończono ekranowanie ósmego poziomu i usunięto z niego miotacze, wszyscy przenieśli się piętro wyżej. Grosvenor usłyszał, jak kapitan Leeth mówi:

- Panie Pennons, jest pan gotów do włączenia pola?

- Tak jest. - Głos inżyniera dochodzący z komunikatora był zachrypnięty. - Straciliśmy pięciu ludzi. Mieliśmy dużo szczęścia, ale musimy poświęcić jeszcze jednego.

- Słyszeliście, panowie? Jeszcze jeden. Któryś z nas musi zostać przynętą, czy mu się to podoba czy nie. - Był to znajomy głos, chociaż od dawna nikt go nie słyszał. Głośnik zatrzeszczał ponownie. - Mówi Gregory Kent. Z przykrością muszę wyznać, że mówię do was z bezpiecznej maszynowni. Doktor Eggert twierdzi, że z listy chorych zostanie skreślony najwcześniej za tydzień. Kapitan Leeth przesłał mi właśnie dokumenty koordynatora Mortona. Proszę Kellie'ego, aby powiedział kilka słów na ich temat. Myślę, że wyjaśnimy w ten sposób pewną bardzo ważną kwestię. Pozwoli nam to lepiej zrozumieć sytuację, w której się znaleźliśmy. Uważam, że wszyscy mamy prawo znać prawdę.

- Ee... - w głośniku rozległ się przygnębiony głos socjologa. - Oto moje wnioski. Kiedy natknęliśmy się na intruza, unosił się on w przestrzeni kosmicznej, ćwierć miliona lat świetlnych od najbliższego układu gwiazdowego, najwyraźniej pozbawiony jakiegokolwiek środka transportu. Proszę wyobrazić sobie tę odległość, a następnie zadać sobie pytanie: ile czasu zajęłoby mu pokonanie jej o własnych siłach? Lester wykonał dla mnie obliczenia, więc proszę go o przedstawienie wyników.

- Mówi Lester. - Głos astronoma wydawał się dziwnie oschły. - Większość z was zna aktualną teorię dotyczącą początków obecnego wszechświata. Istnieją dowody pozwalające stwierdzić, że powstał on ze szczątków poprzedniego, który rozpadł się wiele bilionów lat temu. Uważa się, że za kolejne biliony lat nasz wszechświat ulegnie podobnej katastrofie - przestanie istnieć z powodu wielkiej eksplozji. Przyczyny takiej eksplozji nie są znane...

Jeśli chodzi o pytanie Kellie'ego - ciągnął astronom - mogę wam na nie odpowiedzieć jedynie obrazowo. Załóżmy, że szkarłatny stwór znalazł się w przestrzeni kosmicznej w momencie wielkiej eksplozji. Trafiłby wówczas w przestrzeń międzygalaktyczną i w żaden sposób nie mógłby zmienić kierunku dryfowania. I tak dryfowałby w nieskończoność, nie napotykając na swojej drodze ani jednej gwiazdy odległej o mniej niż ćwierć miliona lat świetlnych. Czy o to ci chodziło, Kellie?

- Tak. Większość z was zapewne pamięta to, co mówiłem wcześniej: wydaje się niemożliwe, aby ten stwór posiadał kończyny, nie mieszkając wcześniej na jakiejś planecie. Jednak jeśli mieszkał, powinien był już dawno podbić cały wszechświat. Nasuwa się oczywisty wniosek: jeśli ten gatunek musiał podbić wszechświat, to z całą pewnością to zrobił. Teraz jednak rozumiemy, że rządził on poprzednim wszechświatem, nie zaś teraźniejszym. Będzie więc dążył do zdominowania kosmosu na nowo. Uważam, że jest to co najmniej wiarygodna teoria, o ile nie coś więcej.

- Jestem pewien - wtrącił Kent pojednawczo - że wszyscy naukowcy znajdujący się na pokładzie rozumieją, iż z konieczności rozmawiamy o teoriach, na które na razie nie mamy wielu dowodów.

Warto więc, abyśmy uważali naszego intruza za przedstawiciela gatunku niegdyś rządzącego wszechświatem. Możliwe, że gdzieś w kosmosie krążą podobne stwory. Możemy tylko mieć nadzieję, że już nigdy żaden statek nie natknie się na jednego z nich. Pod względem biologicznym gatunek ten może być od nas starszy o biliony lat. I dlatego czujemy się usprawiedliwieni prosząc was o całkowite poświęcenie dla dobra sprawy...

Przemówienie zostało przerwane wrzaskiem jakiegoś człowieka.

- Złapał mnie!... Pospieszcie się!... zerwał ze mnie kombinezon. .. - Słowa zmieniły się w niezrozumiałe charkot.

- To był Dack, zastępca szefa działu geologii - powiedział z napięciem Grosvenor. - Rzucił te słowa automatycznie. Posiadał doskonałą umiejętność rozpoznawania głosów.

W głośniku zatrzeszczał jakiś inny głos.

- Ucieka na dół. Widziałem, jak przedzierał się na niższe piętro!

- Pole siłowe - oznajmił trzeci, spokojniejszy głos - jest włączone. - Był to Pennons.

Grosvenor spojrzął z zaciekawieniem pod nogi. Na podłodze iskrzyło się lśniące, błękitne światło. Języki niebieskawego ognia podpełzały chciwie do ochronnego kombinezonu, ale zatrzymywały się o kilka cali od niego, jakby powstrzymywane jakąś niewidzialną siłą. W powietrzu nie rozlegał się żaden dźwięk. Nie myśląc zupełnie o niczym, Grosvenor rozejrzał się po korytarzu wypełnionym błękitnym ogniem. Przez chwilę odnosił wrażenie, że nie patrzy przed siebie, lecz w dół, w głąb statku.

Jego umysł pospiesznie wrócił do pracy. Zafascynowany patrzył, jak niebieskie iskiereki usiłują przedrzeć się przez kombinezon.

Pennons odezwał się ponownie, tym razem szeptem:

- Jeśli plan poskutkowało, to stwór został uwięziony na siódmym lub ósmym poziomie.

Kapitan Leeth wydał rozkazy:

- Wszyscy, których nazwiska zaczynają się na litery od A do L pójdą ze mną na siódmy poziom!

Wszyscy z nazwiskami zaczynającymi się od M do Z pójdą z panem Pennonsem na ósmy poziom! Wszyscy obsługujący miotacze mają pozostać na stanowiskach! Operatorzy kamer mają trzymać się wcześniejszych poleceń!

Ludzie stojący wokół Grosvenora zatrzymali się w pobliżu windy. Grosvenor znalazł się wśród tych, którzy wysunęli się na początek i stali, spoglądając na ciało leżące na podłodze. Wglądało tak, jakby przytrzymywały je lśniące, błękitne języki ognia. Kapitan Leeth przerwał ciszę.

- Podnieście go!

Dwaj mężczyźni energicznie ruszyli przed siebie i dotknęli ciała. Błękitny ogień wystrzelił w ich stronę, jakby chciał ich odpędzić. Mężczyźni dźwignęli ciało i świetliste więzy od razu puściły. Przeniesiono ciało do windy, która pojechała na dziesiąte piętro, jak dotąd nie zabezpieczone polem. Grosvenor podążył za innymi i stał w milczeniu, kiedy układano zwłoki na podłodze. Pozbawione życia, wiły się konwulsyjnie przez kilka minut, wyzwalając olbrzymie ilości pochłoniętej energii. Następnie z wolna pogrążyły się w śmiertelnym bezruchu.

- Czekam na wasze raporty! - oznajmił chłodno kapitan Leeth.

- Ludzie zostali rozesłani po trzech piętrach zgodnie z planem. Nieustannie robią zdjęcia za pomocą kamer fluorograficznych. Jeśli intruz znajduje się na tym obszarze, musi zostać zauważony. Przeszukanie rejonu zajmie jeszcze co najmniej trzydzieści minut - powiedział Pennons po chwili milczenia.

Po jakimś czasie raporty zaczęły napływać.

- Nic! - Ton głosu Pennonsa zdradzał przerażenie. - Panie dowódco, intruz musiał się przedrzeć!

Gdzieś w oddali rozległ się czyjś zrozpaczony głos:

-1 co my teraz zrobimy?

Grosvenor miał wrażenie, że te słowa odzwierciedlały zwątpienie i lęk odczuwane przez wszystkich ludzi znajdujących się na pokładzie.

Milczenie przedłużało się coraz bardziej. Wpływowi członkowie załogi, którzy na co dzień byli tak wymowni, zachowywali się tak, jakby stracili głos. Grosvenor drżał na myśl o nowym planie, który przyszedł mu do głowy, lecz z wolna uświadamiał sobie, w jak rozpaczliwej sytuacji znalazła się ekspedycja. Mimo to postanowił czekać. Nie powinien zabierać głosu jako pierwszy. Chemik Kent odważył się w końcu przerwać ciszę.

- Wyglądałoby na to - powiedział - że nasz przeciwnik jest w stanie przenikać przez pole siłowe w ścianach równie łatwo, jak przez ściany nie ekranowane. Możemy zatem przyjąć, że stwór ten nic sobie nie robi z przykrego odczucia, jakiego doświadcza, a zarazem jest w stanie regenerować się na tyle szybko, by szkody wyrządzone mu przez pole zostały zneutralizowane, kiedy tylko znajdzie się po drugiej stronie.

- Chciałbym usłyszeć opinię pana Zellera. - wtrącił kapitan Leeth.

- Mówi Zeller! - W głośniku rozległ się energiczny głos metalurga. - Ukończyliśmy kombinezon z przeciwpolem, kapitanie. Rozpoczęliśmy już poszukiwania na dolnych poziomach statku.

- Ile czasu zajmie wykonanie takich kombinezonów dla całej załogi?

Zeller chwilę się zastanowił:

- Będziemy musieli zmontować taśmę produkcyjną. Przedtem trzeba jeszcze przygotować narzędzia, które posłużą nam do jej zmontowania. W tym czasie nastawimy jeden z reaktorów na produkcję izolującego metalu. Szacuję, że pierwszy kombinezon zejdzie z linii produkcyjnej za mniej więcej dwieście godzin.

Grosvenorowi wydawało się to bardzo optymistycznym wyliczeniem, ponieważ produkcja metalu izolującego jest wyjątkowo trudna i czasochłonna. Kapitan Leeth wydawał się oszołomiony słowami metalurga. Tymczasem odezwał się Smith:

- Nie możemy tak długo czekać. A przecież objęcie całego statku polem siłowym też potrwa bardzo długo. Już po nas. Wyczerpaliśmy wszystkie możliwości.

Zazwyczaj opanowany łącznościowiec Gourlay krzyknął:

- Nie rozumiem, dlaczego nie możemy zabrać się do realizacji któregoś z tych planów. Przecież wciąż żyjemy! Proponuję, żebyśmy spróbowali zrobić jak najwięcej w jak najkrótszym czasie.

- Dlaczego właściwie zakładamy - zapytał chłodno Smith - że intruz nie będzie w stanie zniszczyć metalu izolującego? Jako istota wyższa, zapewne posiada na temat fizyki wiedzę znacznie szerszą od naszej. Możliwe, że bez trudu skonstruuje broń, która zniszczy, wszystko czym dysponujemy. Nie zapominajmy, że kodak potrafił rozpuszczać utwardzony metal. W naszych laboratoriach znajduje się wiele środków mających podobne właściwości i on będzie mógł z nich skorzystać.

- Sugerujesz, że powinniśmy się poddać? - spytał ponuro Gourlay.

- Nie - odparł ze złością biolog. - Chcę tylko, żebyśmy myśleli rozsądnie. Nie możemy ślepo dążyć do nierealnego celu.

W głośniku odezwał się Korita i położył kres temu słownemu pojedynkowi.

- Przychylam się do zdania pana Smitha. Powiedziałbym nawet, że stwór wkrótce musi zdać sobie sprawę z tego, że nie może dać nam czasu na następny ruch. Z tego i innych powodów sędzę, że będzie próbował nam przeszkodzić, jeśli zaczniemy przygotowywać statek do całkowitego objęcia polem siłowym.

Kapitan Leeth milczał. Kent spytał z maszynowni:

- Co według pana robi intruz, kiedy zrozumie, że pozwalając nam kontynuować przygotowania

naraża się na niebezpieczeństwo?

- Zacznie zabijać. Nie widzę sposobu, w jaki moglibyśmy go powstrzymać, nie licząc schowania się w maszynowni. Podobnie jak Smith, jestem również pewny, że intruz prędzej czy później wedrze się także tam.

- Ma pan jakieś propozycje? - spytał kapitan Leeth. Korita zawahał się.

- Szczerze mówiąc, nie mam. Chciałbym tylko przypomnieć, że mamy do czynienia ze stworzeniem, które prawdopodobnie pochodzi z epoki „wieśniaków”. Dla wieśniaka jego ziemia i jego syn - czy też mówiąc bardziej ogólnie, jego terytorium i jego ród - są rzeczą świętą. Będzie walczył na oślep przeciw wszystkiemu, co im zagraża. Jak roślina, przyrasta do swojego kawałka ziemi, zapuszcza na nim korzenie i czerpie z niego pożywienie. - Konta zawahał się, w końcu powiedział: - Jest to jedynie ogólny opis, panowie. W tej chwili nie mam pojęcia, jakie praktyczne wnioski można z tego wyciągnąć.

- Rzeczywiście, na razie to nam chyba w niczym nie pomoże - stwierdził kapitan Leeth. - Czy szefowie działów mogliby skonsultować się na prywatnej linii ze swoimi podwładnymi? Za pięć minut proszę poinformować mnie o wszelkich rozsądnych pomysłach.

Grosvenor, który nie miał podwładnych, poprosił:

- Czy w czasie trwania dyskusji w działach mógłbym zadać panu Koncie kilka pytań?

- Jeśli nikt nie wnosi sprzeciwu, macie moje pozwolenie - zgodził się Leeth.

Nikt nie wniósł sprzeciwu, więc Grosvenor powiedział:

- Konta, masz chwilkę?

- A kto mówi?

- Grosvenor.

- Ach, to ty. Teraz już poznaję cię po głosie. Słucham.

- Wspomniałeś, że każdy wieśniak z bezsensownym uporem przywiązuje się do swojego terytorium. Jeśli nasz stwór pochodzi z epoki wieśniaków, czy będzie sądził, że i my mamy podobny stosunek do swojej własności?

- Myślę, że nie może być inaczej.

- A więc będzie tworzył plan działania zakładając, że nie możemy mu uciec, że nie zdecydujemy się na opuszczenie statku?

- To będzie całkiem słuszne założenie z jego strony. Przecież nie jesteśmy w stanie przetrwać poza statkiem. Grosvenor nie dawał za wygraną:

- Ale żyjemy w epoce, w której własność prywatna nie ma już tak wielkiego znaczenia? Nie jesteśmy do niej ślepo przywiązani?

- Nadal nie rozumiem, do czego zmierzasz - rzekł zdezorientowany Korita.

- Ja - odparł Grosvenor - tylko usiłuję wyciągnąć oczywiste wnioski z twoich stwierdzeń.

- Panie Grosvenor, chyba zaczynam przeczuwać, do czego zmierza pańskie rozumowanie. Czy chce pan przedstawić kolejny plan? - wtrącił kapitan Leeth:

- Tak. - Grosvenor nie mógł opanować drżenia głosu. Kapitan Leeth sprawiał wrażenie zdenerwowanego.

- Panie Grosvenor — powiedział. - O ile nadażam za pańskim tokiem rozumowania, ten plan cechuje wielka odwaga i fantazja. Proszę ujawnić go całej załodze za... - zawahał się, potem spojrzął na zegarek - .. jak tylko upłynie pięć minut.

Po krótkim milczeniu Korita odezwał się ponownie:

- Myślę, Grosvenor, że twoje rozumowanie jest jasne. Moglibyśmy dokonać takiego poświęcenia, nie odnosząc duchowej porażki. To jedyne wyjście.

Minutę później Grosvenor podzielił się swoim planem ze wszystkimi uczestnikami ekspedycji. Kiedy skończył, Smith odezwał się szeptem:

- Grosvenor, masz rację! Oznacza to poświęcenie von Grossena i pozostałych. Oznacza to osobiste poświęcenie ze strony każdego z nas. Ale masz rację. Terytorium nie jest dla nas świętością. A jeśli chodzi o von Grossena i pozostałych czterech... - dodał ponuro - ...nie miałem okazji powiedzieć wam o notatkach, które oddałem Mortonowi. Koordynator nie ujawnił ich treści, ponieważ sugerowałem w nich, że nasz intruz może zachowywać się w sposób analogiczny jak osy żyjące na Ziemi. Jest to tak przerażająca perspektywa, że lepiej będzie dla tych nieszczęśników, jeśli wkrótce umrą.

- Osy! - wysapał jakiś mężczyzna. - Masz rację, Smith. Im prędzej umrą, tym lepiej dla nich!

- Wszyscy do maszynowni! Musimy... - zaczął Leeth, ale nie dano mu skończyć.

Przerwał mu czyjś podniecony głos. Upłynęła dłuższa chwila, zanim Grosvenor rozpoznał Zellera, metalurga.

- Kapitanie, prędko! Niech pan przyśle ludzi i sprzęt do ładowni! Znalazłem intruza w rurze klimatyzacyjnej. Jest tuż obok, powstrzymuję go własnym pistoletem wibracyjnym. Nie wyrządza mi to większych szkód... a więc pośpieszcie się!

Kapitan Leeth wyrzucał z siebie rozkazy z prędkością karabinu maszynowego. Ludzie tłoczyli się już przy windach.

- Wszyscy naukowcy i ich personel udadzą się do śluz. Żołnierze wsiądą do wind towarowych i pójdą za mną! Prawdopodobnie nie zdołamy otoczyć go w ładowni. Pamiętajcie, panowie - dodał głosem pełnym determinacji - za wszelką cenę musimy zniszczyć bestię. Nie możemy już dłużej myśleć wyłącznie o sobie.

Kiedy ludzie zabrali guule, Ixtla po raz pierwszy ogarnął paniczny strach przed porażką. Chciał wbiec w środek grupy i wszystkich pozabijać. Jednak ich błyszcząca, śmiertelna broń zmuszała go do powstrzymania impulsu. Wycofał się z poczuciem klęski. Stracił swoje zarodki. Ludzie wkrótce je odkryją i zniszczą, a to oznaczało, że zostanie pozbawiony wsparcia, jakie dałyby mu inne ixtle.

Jego umysł zaczął pracować na pełnych obrotach. Od tej chwili będzie musiał zabijać, tylko i wyłącznie zabijać. Miał sobie za złe, że w pierwszej chwili myślał jedynie o reprodukcji, wszystko inne zostawiając na później. Stracił już mnóstwo cennego czasu. Aby zabijać, musiał skonstruować broń, która potrafi zniszczyć wszystko. Po chwili namysłu skierował się do najbliższego laboratorium. Czuł, że musi się spieszyć jak nigdy dotąd.

Kiedy pracował, pochylając wysokie ciało i skupioną twarz nad lśniącem, metalowym mechanizmem, jego wrażliwe stopy wyczuły zmianę w wibracjach statku. Przerwał pracę i zeszywniał. Po chwili zrozumiał, co się stało. Wyłączono silniki. Olbrzymi statek zatrzymał się i tkwił w jednym punkcie nieskończonej, kosmicznej przestrzeni. Ixtl nagle popadł w przerażenie. Jego długie, czarne, podobne do drutów palce zaczęły z obłądną prędkością dokonywać precyzyjnych połączeń.

Nagle przerwał pracę po raz drugi. Silniej niż przedtem dotarło do niego, że coś jest nie tak. Mięśnie stóp zeszywniały mu z napięcia. Wreszcie zrozumiał, co się dzieje. Nie czuł już żadnych wibracji wywoływanych przez ludzi. Oni opuścili statek!

Porzucił prawie gotową broń i przeniknął przez najbliższą ścianę. Wiedział, że nadszedł jego koniec, że znów będzie musiał pograżyć się w bezkresnej, czarnej przestrzeni.

Szkarłatny stwór, mieszkaniec prastarego Gloru, uciekał pustymi korytarzami, kipiąc z wściekłości. Lśniące ściany zdawały się ciągnąć w nieskończoność. Ten statek, który mógł być jego

zyciową szansą, stał się jedynie miejscem, w którym za chwilę miały się uwolnić wielkie ilości energii. Z ulgą zobaczył przed sobą śluzę. Przeszedł przez pierwszą komorę, potem drugą, trzecią - i już był w przestrzeni kosmicznej. Przewidywał, że ludzie będą na niego czyhać, więc osłonił się intensywnym polem siłowym. Czuł się dziwnie lekko, kiedy jego ciało zaczęło oddalać się od statku.

Zobaczył, że w iluminatorach nie palą się światła, lecz dochodzi z nich sztuczny, błękitny blask. Po chwili blask ten wydobywał się już z całej powierzchni kadłuba. Następnie zaczął powoli, jakby niechętnie gasnąć. Na długo przed tym, jak zniknął całkowicie, statek został otoczony potężnym polem siłowym, które na zawsze odcięło Ixtlowi drogę na pokład. W niektórych iluminatorach na nowo rozbłysły światła, najpierw migocząc, potem świecąc coraz jaśniej. Kiedy silniki zaczęły działać normalnie, uwolnione od silnego przepływu energii, światła zaczęły się palić normalnie.

Ixtl, który oddalił się o kilkanaście mil, przysunął się nieco bliżej. Był ostrożny. Odkąd znalazł się w przestrzeni kosmicznej, ludzie mogli użyć przeciwko niemu broni atomowej, nie narażając się na promieniowanie. Zatrzymał się jakieś pół mili od pola siłowego i czekał. Zobaczył pierwsze kapsuły ratunkowe wylaniające się z ciemności. Przenikały przez pole i znikały we wrotach, które otworzył się w kadłubie statku. Niektóre kapsuły poruszały się szybciej, zataczając szerokie kręgi. Ich kształty rozmazywały się na tle czarnej przestrzeni.

Wrota zamknęły się, i statek bez ostrzeżenia zniknął. Chwilę wcześniej jeszcze tkwił nieruchomo w przestrzeni, a teraz na jego miejscu widać było jedynie lśniąca, spiralną wstęgę - galaktykę oddaloną o milion lat świetlnych.

Czas włókł się leniwie, w nieskończoność. Ixtl unosił się nieruchomo pośród bezkresnej nocy, pozbawiony wszelkiej nadziei. Nie mógł przestać myśleć o młodych ixtlach, które nigdy się nie narodzą, i o wszechświecie, którego nie podbije z powodu błędów, jakie popełnił.

Grosvenor przyglądał się wprawnym rękóm chirurga, kiedy elektryczny skalpel rozcinał brzuchy czterech mężczyzn. Ostatnie jajo zostało umieszczone na dnie wysokiego tygla z izolującego metalu. Jaja były owalne i szare; jedno z nich miało wyraźne pęknięcie.

Kiedy pęknięcie zaczęło się powiększać, kilku ludzi wycelowało miotacze ognia. Nagle ze szczeliny wysunęła się odrażająca, okrągła, szkarłatna głowa. Obróciła się kilkakrotnie na krótkiej szyi i stwór otworzył oczy świecące intensywnym blaskiem. Ze zwinnością, której nikt się nie spodziewał, skoczył w górę i spróbował wydostać się z metalowego tygla. Pośliznął się jednak na jego gładkich ścianach. Opadł na dno i utonął w powodzi ognia, jaka na niego spadła.

Smith oblizał wargi i rzekł:

- A gdyby tak uciekł i przeniknął przez najbliższą ścianę?

Nikt nic nie odpowiedział. Grosvenor zauważył, że wszyscy wpatrują się w tygiel. Jaja topiły się powoli w ogniu z miotaczy, aż w końcu spłonęły jasnym, złocistym płomieniem.

- Och - odezwał się doktor Eggert. Wszyscy spojrzeli na niego i na ciało von Grossena, nad którym się pochylał. - Jego mięśnie zaczynają się rozluźniać. Otworzył oczy. Prawdopodobnie słyszy, co do niego mówię. Był sparaliżowany przez substancje wydzielane przez jaja, lecz teraz paraliż zaczyna ustępować. Nie odniósł poważniejszych obrażeń. Myślę, że wkrótce wyzdrowieje. A co ze stworem?

- Ludzie z dwóch kapsuł ratunkowych twierdzą, że widzieli jak coś czerwonego wymknęło się ze statku chwilę po tym, jak rozpoczęliśmy stawianie pola siłowego - odparł kapitan Leeth. - Musiał to być nasz intruz, gdyż nie znaleźliśmy jego ciała. Jednak Pennons i jego ludzie nadal przeszukują statek za pomocą kamer fluorograficznych. Będziemy mieć pewność dopiero za kilka godzin. O właśnie, o wilku mowa. Jak wam idzie, Pennons?

Inżynier zbliżył się energicznym krokiem i położył na stole kawałek błyszczącego metalu.

- Jak dotąd niczego nie znaleźliśmy... odkryłem tylko to coś w laboratorium dziani fizyki. Co to

może być?

Grosvenor i szefowie kilku działów podeszli do stołu. Zobaczyli przedmiot o delikatnej konstrukcji, z którego wystawała plątanina przewodów, miał też trzy rury, mogące stanowić lufy dla trzech małych, okrągłych kul świecących słabym, srebrzystym światłem, które jednak było w stanie przeniknąć przez metalową powierzchnię stołu, tak jakby wykonano ją ze szkła. Najdziwniejsze było to, że kule pochłaniały ciepło tak jak gąbka chłonie wodę. Grosvenor wyciągnął rękę, ale natychmiast ją cofnął, kiedy odpłynęło z niej całe ciepło.

- Stwór chyba pracował nad tym, kiedy zorientował się, że coś jest nie w porządku - powiedział Smith. - Musiał zdać sobie sprawę, że opuściliśmy statek. Wydaje mi się, że to podważa pańską teorię, panie Korita. Twierdził pan, że prawdziwy „wieśniak” nie byłby w stanie przewidzieć naszego posunięcia.

Japoński archeolog uśmiechnął się słabo, choć twarz miał pobladłą ze zmęczenia.

- Panie Smith - odparł uprzejmie. - Nie ulega wątpliwości, że nasz intruz zdołał to przewidzieć. Prawdopodobnie można to wyjaśnić następująco: czerwony stwór, jak się przekonaliśmy, musiał być najlepiej rozwiniętym „wieśniakiem”, o jakim słyszeliśmy.

- Szkoda, że sami nie posiadamy kilku umiejętności tego „wieśniaka” - mruknął Pennons. - Czy wiecie, że całkowite usunięcie szkód wyrządzonych przez pole siłowe zajmie trzy miesiące? Przez moment obawiałem się... - Zawiesił głos z powątpiewaniem.

Kapitan Leeth powiedział z ponurym uśmiechem:

- Dokończę za pana, Pennons. Obawiał się pan, że statek może zostać całkowicie zniszczony. Myślę, że większość z nas zdawała sobie sprawę z ryzyka, jakie podejmujemy, realizując plan pana Grosvenora. Wiedzieliśmy, że nasze kapsuły ratunkowe posiadają bardzo ograniczony napęd grawitacyjny. Mogliśmy na zawsze tu utknąć, milion lat świetlnych od najbliższej galaktyki.

- Mimo wszystko zastanawiam się- wtrącił ktoś - czy gdyby szkarłatny stwór opanował statek - to czy wówczas zdołałby zrealizować swój plan podbicia całej galaktyki? Bądź co bądź, człowiek zajmuje w niej dość silną pozycję... i do tego jest równie uparty.

Smith pokręcił głową.

- Tamten gatunek panował kiedyś we wszechświecie, i teraz mógłby panować. Zbyt łatwo zakładamy, że człowiek jest wzorem sprawiedliwości, najwyraźniej zapominając, że jeszcze niedawno był dziką istotą. Zabijał inne zwierzęta nie tylko dla pożywienia, ale i dla przyjemności; zniewalał sąsiednie plemiona, mordował przeciwników, oddawał się najgorszej, sadystycznej przyjemności mordowania innych. Jest całkiem możliwe, że w trakcie naszej wyprawy natkniemy się na inteligentne istoty o wiele bardziej niż człowiek godne tego, by rządzić wszechświatem.

- Na litość boską! - zawołał ktoś inny. - Już nigdy nie powinniśmy brać na pokład żadnych groźnie wyglądających istot. Mam zszarpane nerwy i czuję, że nie jestem już takim człowiekiem, jak w chwili gdy po raz pierwszy wsiadałem na pokład.

- Chyba wszyscy czujemy to samo! - odezwał się z ekranu Kent, nowy koordynator.

Choć właściwie był tylko pełniącym obowiązki cywilnego szefa wyprawy.

Ktoś szeptał wprost w ucho Grosvenora, ale tak cicho, że nie sposób było rozróżnić słów. Szept zakończył się równie cichym i nic nie znaczącym trylem.

Grosvenor rozejrzył się, chociaż wiedział, że nikogo tu nie ma.

Stał w sali kinowej swego własnego działu. W zasięgu wzroku nie było żywej duszy. Niepewnie podszedł do drzwi prowadzących do sali wykładowej. Tam również nikogo nie zobaczył.

Wrócił do biurka. Zmarszczył czoło, zastanawiając się, czy przypadkiem ktoś nie celuje w niego z encefaloregulatora. Nic innego nie przychodziło mu na myśl.

Po chwili doszedł do wniosku, że to jednak niemożliwe. Regulatory działały skutecznie jedynie z bliskiej odległości, a zresztą i tak większość fal nie przedostałaby się przez ekrany otaczające jego pomieszczenia. Co więcej, aż za dobrze znał procesy umysłowe odpowiedzialne za iluzję, której przed chwilą doświadczył. Nie mógł więc puścić tego incydentu w niepamięć.

Dla bezpieczeństwa zbadał wszystkie pięć pomieszczeń i obejrzał dokładnie regulatory w kabine technicznej. Nie spostrzegł nic podejrzanego, wszystkie dobrze zabezpieczono. Wrócił do sali filmowej i ponownie zatonął w analizie hipnotycznych wariacji świetlnych, które wygenerował z obrazów, wyświetlanych przez istoty Riim podczas ich inwazji na „Gwiazdznego Ogara”.

Nagle przerażenie zaatakowało jego umysł jak fizyczny cios. Zgiął się we dwoje. Znow dotarł do niego szept, równie cichy jak przedtem, ale tym razem pełen gniewu i niewyobrażalnej wrogości.

Zdumiony, wyprostował się. To musi być jednak encefaloregulator. Ktoś na odległość stymuluje jego mózg, posługując się potężnym sprzętem, który przenika przez wszystkie ekrany ochronne.

Chwilę zastanawiał się, kto to może być, aż w końcu zadzwonił do działu psychologii, bo najprawdopodobniej właśnie tam ktoś sobie pozwolił na taką złośliwość. Odpowiedział mu Siedel. Gdy Grosvenor zaczął wyjaśniać, co się dzieje, przerwał i sam powiedział:

- Miałem się właśnie z tobą rozmówić. Myślałem, że to twoja sprawka.

- To znaczy, że to dosięgło wszystkich? - spytał Grosvenor, starając się ogarnąć możliwe następstwa tego faktu.

- Dziwne, że mimo tych wszystkich specjalnych ekranów ty też to odczułeś - odpowiedział Siedel.

- Od ponad dwudziestu minut dochodzą do mnie różne skargi, a wskazania niektórych z moich instrumentów pomiarowych już wcześniej odbiegały od normy.

- O których instrumentach mówisz?

- O wykrywaczu fal mózgowych, rejestratorze impulsów nerwowych i czułych detektorach elektrycznych. - Przerwał nagle i dodał: - Kent wezwie wszystkich do centrali dowodzenia. Tam się spotkamy.

Grosvenor nie pozwolił mu się tak szybko wyłączyć.

- Czy już była jakaś rozmowa na ten temat? - spytał

- No, cóż... mamy pewne przypuszczenia.

- Jakie? - spytał prędko.

- Wkraczamy wkrótce w obszar wielkiej galaktyki M-33. Zakładamy, że to nadeszło stamtąd.

Grosvenor zaśmiał się ponuro.

- Całkiem rozsądna hipoteza. Zastanowię się chwilę i przyjdę do was za parę minut.

- Przygotuj się na szok po wyjściu na korytarz. Będziesz podlegał bezustannemu naciskowi. Dźwięki, rozbłyski światła, majaki, zamęt emocjonalny - całkiem niezła dawka stymulacji.

Grosvenor kiwnął głową i przerwał połączenie. Ledwie zdążył odłożyć filmy, na komunikatorze

pojawiło się ogłoszenie Kenta o zebraniu. Gdy w minutę później otworzył drzwi, w pełni dotarło do niego znaczenie słów Siedla.

Zatrzymał się na moment pod naporem zmasowanych podniet. Potem niepewnie ruszył w stronę centrali.

Siedział wśród innych, a noc szeptała do niego, ta bezmierna noc przestrzeni kosmicznej, nacierająca na rozpędzony statek. Kapryśna, śmiertelnie niebezpieczna, przywoływała ich do siebie, jednocześnie udzielając ostrzeżenia. Wibrowała gorączkową rozkoszą, a w chwilę później syczała z nieopanowanej złości. Mamrotała ze strachu i warczała z głodu. Skonała, rozkoszując się własną agonią i na nowo rozkwitła w ekstatycznym porywie witalności.

- Oto moje zdanie - powiedział ktoś z tyłu. - Statek powinien zawrócić do domu.

Ponieważ Grosvenor nie potrafił rozpoznać głosu, rozejrzał się w poszukiwaniu mówiącego, który już więcej się zresztą nie odezwał. Spojrzał więc przed siebie i okazało się, że p.o. koordynatora, Kent, w dalszym ciągu wpatruje się w okular teleskopu. Albo uznał tę kwestię za niewartą odpowiedzi, albo jej nie dosłyszał. Nikt inny też jej nie skomentował.

Grosvenor zaczął manipulować przełącznikiem komunikatora w oparciu fotela, aż wreszcie zobaczył nieco zamazany obraz tego, co obserwowali przez teleskop Kent z Lesterem. Powoli zapomniał o widzach i skoncentrował się na nocnym niebie na ekranie. Znajdowali się niedaleko zewnętrznych granic całej galaktyki; mimo to najbliższe gwiazdy widniały w takiej odległości, że teleskop z trudem rozgraniczał miliardy lśniących punkcików wielkości ostrza od szpilki, składających się na spiralną mgławicę M-33 w gwiazdozbiore Andromedy, która była ich celem.

Podniósł wzrok znad ekranu w chwili, gdy Lester odwrócił się od teleskopu. Astronom powiedział:

- Dzieje się coś nieprawdopodobnego. Wyczuwamy wibracje, które wydoszły się z galaktyki o miliardzie słońc. -Przerwali dodał: -Panie koordynatorze, zdaje mi się, że to nie jest zadanie dla astronoma

Kent także oderwał się od okularu i odparł:

- Jeśli coś obejmuje całą galaktykę, należy to sklasyfikować jako zjawisko astronomiczne. Chyba, że wskaże mi pan inną naukę, która się tym zajmuje?

- Na razie trudno ocenić skalę. Moim zdaniem, nie można jeszcze mówić o wielkościach galaktycznych. Być może cały ten napór przenosi pojedynczy promień, zogniskowany na naszym statku - zaoponował Lester.

Kent zwrócił się ku słuchaczom, siedzącym na wyścielonych fotelach, ustawionych amfiteatralnie przed jasnym, barwnym pulpitem sterowania.

- Czy ktoś ma jakieś propozycje albo wnioski?

Grosvenor rozejrzał się w nadziei, że odezwie się nieznajomy, którego słyszał przedtem. Ale ten milczał.

Załoga statku wypowiadała się teraz ze znacznie mniejszą swobodą niż pod kierownictwem Mortona. Kent, w taki czy inny sposób, wyraźnie dał wszystkim do zrozumienia, że uważa za impertynencję wygłaszanie opinii przez osoby poniżej szczebla szefa działu. Było też oczywiste, że jego zdaniem Dział Neksjalizmu nie powinien być traktowany na równi z innymi. Przez kilka miesięcy Kent i Grosvenor zachowywali się wobec siebie poprawnie, głównie dlatego, że unikali wzajemnych kontaktów. W tym czasie Kent utrwalił swoją pozycję dzięki kilku skierowanym do Rady wnioskom, dającym mu większą władzę w niektórych dziedzinach, co miało jakoby zlikwidować dublujące się zakresy obowiązków.

Jednak Grosvenor uważał, że dla morale załogi było bardzo ważne rozwijanie indywidualnej

inicjatywy, nawet kosztem nieco obniżonej wydajności, ale taką teorię rozumiałby tylko inny neksjalista. W tej sytuacji nie zawracał sobie głowy protestami. Tak więc wprowadzono kilka kolejnych drobnych ograniczeń, jeszcze bardziej zmniejszających już i tak drastycznie okrojone i zredukowane możliwości załogi.

Na pytanie Kenta pierwszy odpowiedział biolog Smith.

- Widzę, że pan Grosvenor wierci się na krześle. Może grzecznie czeka, aż wypowiedzą się starsi?

Panie Grosvenor, co tam panu chodzi po głowie?

Grosvenor odczekał, aż ucichną śmieszki na sali - do których Kent bynajmniej się nie przyłączył - i odparł:

- Kilka minut temu ktoś zaproponował, żebyśmy zawrócili do domu. Chciałbym, żeby ta osoba uzasadniła swoje zdanie.

Nikt się nie odezwał. Grosvenor spostrzegł, że Kent marszczy brwi. To dziwne, że ktoś na pokładzie tego statku nie przyznaje się do własnych opinii, nawet przelotnych i nie do końca uformowanych. Wszyscy rozglądali się ze zdumieniem.

- A kiedy to było? Ja nic nie słyszałem! - spytał wreszcie Smith.

- Ja też nie! - powtórzyło kilka osób.

Oczy Kenta zaślniły. Grosvenor miał wrażenie, że koordynator włączył się do dyskusji, spodziewając się, że odniesie w niej osobiste zwycięstwo. Powiedział:

- Wyjašnjmy to sobie. Albo ktoś powiedział coś takiego, albo nie. Czy ktoś jeszcze to słyszał? Proszę podnieść ręce. - Nikt się nie zgłosił. Kent pytał dalej, głosem przenikniętym subtelną złościwością: - Panie Grosvenor, co pan dokładnie usłyszał?

- Oto moje zdanie. Statek powinien zawrócić do domu - wyjaśnił Grosvenor i chwilą zczekał. Gdy z sali nie padło ani jedno słowo, dodał: - To jasne, że musiał to być wynik stymulacji ośrodków słuchowych mojego mózgu. Coś bardzo pragnie, żebyśmy wrócili do domu, a ja to wyczułem - wzruszył ramionami. - Naturalnie, nie przyjmujcie tego, panowie Jako ostatecznej analizy.

- Wszyscy pozostali, panie Grosvenor, bardzo starają się zrozumieć, dlaczego prośba ta dotarła tylko do pana i do nikogo innego - odezwał się cierpko Kent.

Grosvenor po raz kolejny zignorował ton jego wypowiedzi i odparł szczerze:

- Już od jakiegoś czasu się nad tym zastanawiam. Wiem tylko, że podczas inwazji Rumów mój mózg podlegał długotrwałej stymulacji. Możliwe, że z tego powodu stałem się bardziej podatny na tego rodzaju komunikaty. - Uderzyło go, że pewnie tylko dzięki tej szczególnej wrażliwości dotarł do niego szept w ekranowanej kabinie.

Chmurna mina Kenta bynajmniej go nie zdziwiła. P.o. koordynatora wyraźnie dawał do zrozumienia, że nie życzy sobie rozważać incydentu z ptakopodobnymi stworzeniami, ani efektów, jakie ich działania mogły wyrzucić na mózgi członków ekspedycji. Powiedział kwaśno:

- Zapoznałem się z pana sprawozdaniem z tamtego wydarzenia. Jeśli dobrze pamiętam, twierdził pan, że wygrał z Riimami tylko dlatego, że nie zdawały sobie sprawy, jak nudno jest kontrolować układ nerwowy obcej formy życia. Jak zatem wyjaśni pan, że to coś, tam daleko - machnął ręką w stronę, gdzie kierował się statek - sięgnęło do pana umysłu i z bezbłędną dokładnością podrażniło ośrodki mózgowy tak, by wygenerowały wyraźne ostrzeżenie, które przed chwilą pan nam powtórzył?

Grosvenor odniósł wrażenie, że ton, jakim odezwał się Kent, jego dobór wyrazów oraz pełen samozadowolenia wygląd, mają nieprzyjemnie obraźliwe znaczenie. Powiedział z naciskiem:

- Panie koordynatorze, ktoś, kto stymulował mój mózg, mógł zdawać sobie sprawę, jakim problemem będzie dla niego obcy układ nerwowy. Nie trzeba zaraz zakładać, że potrafi mówić

naszym językiem. Poza tym, temu komuś w zasadzie nie udało się rozwiązać problemu do końca, ponieważ tylko ja zareagowałem na stymulację. Wydaje mi się, że nie powinniśmy się w tej chwili skupiać na sposobie, w jaki ta istota do mnie dotarła, ale zastanowić się, dlaczego tak się stało i co należy z tym zrobić.

Główny geolog McCann odchrząknął i powiedział:

- Grosvenor ma rację. Moim zdaniem, panowie, pogódźmy się z faktem, że wkroczyliśmy na cudzy teren. I że nasz przeciwnik to nie byle kto!

Kent przygryzł wargę, chciał coś powiedzieć, ale się zawahał. W końcu oświadczył:

- Chyba powinniśmy z pewną ostrożnością podchodzić do stwierdzenia, że mamy dość dowodów, pozwalających nam wyciągać ostateczne wnioski. Jednak trzeba działać tak, jakbyśmy zetknęli się z potężniejszą inteligencją niż nasza - potężniejszą od wszystkich znanych nam form życia.

W centrali dowodzenia zapanowała cisza. Grosvenor spostrzegł, że zebrani nieświadomie napinają mięśnie, zaciskają wargi i mrużą oczy. Nie on jeden zresztą to zauważył.

Socjolog Kellie powiedział cicho:

- Hm... cieszy mnie, że nikt nie zdradza ochoty do zawrócenia. To bardzo dobrze. Pracujemy dla rządu i dla całej rasy, więc naszym obowiązkiem jest zbadanie nowej galaktyki, szczególnie teraz, gdy dominująca tam forma życia dowiedziała się o naszym istnieniu. Proszę, zważcie, że przyjmuję sugestię p.o. koordynatora Kenta i rozumiem tak, jakbyśmy rzeczywiście mieli do czynienia z istotami inteligentnymi. Ich umiejętność stymulowania umysłów, w mniej lub bardziej bezpośredni sposób, nawet jeśli w grę wchodzi umysł tylko jednej osoby, oznacza, że zdecydowanie jesteśmy pod obserwacją, i że tamta strona sporo się o nas dowiedziała. Nie możemy pozwolić, by tego rodzaju wiedza pozostała jednostronna.

- Panie Kellie, jak pan sądzi, w jakim środowisku możemy się znaleźć? - spytał Kent, już znowu spokojny: Łysiejący socjolog poprawił monokl i odparł:

- Hm... to olbrzymia przestrzeń. Szept mógł na przykład być odpowiednikiem krzyżujących się fal radiowych, które otaczają naszą galaktykę. Może to... po prostu zwykłe oznaki tego, że opuszczamy pustkę i wchodzimy na obszary cywilizowane. - Kellie przerwał. Gdy nikt się nie odezwał, mówił dalej: - Pamiętajcie, że człowiek również pozostawił niezatarte piętno na swojej galaktyce. Odmladzając wygasłe słońca, rozpalil w nich ognie, widoczne z odległych zakątków wszechświata. Planety sprowadzono z orbit. Martwe światy okryły się zielenią. Oceany falują na miejscu pustyń pod słońcami gorętszymi niż Soi, Nawet nasza obecność tutaj, na tym wspaniałym statku, to dowód potęgi człowieka, który sięga dalej niż te szeptki kiedykolwiek mogłyby dotrzeć. Gourlay z działu łączności dodał:

- W kosmicznym sensie, śladów człowieka nie można uznać za trwałe. Nie rozumiem, jak możesz jednym tchem wymieniać je w parze z tym zjawiskiem. Te pulsacje są żywe. To formy myślowe tak silne, tak przenikliwe, że cała przestrzeń kosmiczna do nas szepce. To nie kicius z mackami, nie szkarłatny potwór, nie wiejska społeczna rasa ograniczona do jednego układu. Możemy mieć tu do czynienia z niewyobrażalną wspólnotą umysłów rozmawiających ze sobą na odległość lat świetlnych. To jest cywilizacja galaktyki, do której lecimy. A jeśli jej rzecznik ostrzega nas przed... - Gourlay przerwał oniemiały i uniósł ramię, jakby chciał się zasłonić.

Nie on jeden wykonał taki gest. W całej sali ludzie rozpaczliwie się pochylali albo zsuwali z foteli, bo koordynator Kent spazmatycznym ruchem chwycił wibrator i wypalił w stronę widowni. Grosvenor, dopiero, gdy się instynktownie uchylił, spostrzegł, że promień celowniczy z broni mierzy w coś ponad jego głowę, nie w niego.

Z tyłu rozległ się grzmiący ryk bólu, a potem łomot, od którego zadrżała podłoga.

Wszyscy odwrócili się gwałtownie i nie wierząc własnym oczom wpatrywali się w trzydziestostopową opancerzoną bestię, która wiała się na podłodze jakieś dwanaście stóp za ostatnim rzędem foteli. Chwilę później w powietrzu zmaterializowała się czerwonoooka kopia pierwszego potwora i z hukiem wylądowała obok. Trzeci diabelski stwór pojawił się w tym samym miejscu, potknął się o drugiego, upadł, poturlał się po podłodze i wstał z potwornym rykiem.

W kilka sekund później było ich już kilkanaście. Grosvenor wyciągnął pistolet wibracyjny i strzelił. Ryk bestii przybrał na sile. Twarde jak stal łuski z wizgiem ocierały się o metalowe ściany i podłogę. Pazury stukwały, a ciężkie kroki huczały jak bębny.

Nagle wszyscy zaczęli strzelać z wibratorów. W powietrzu pojawiały się kolejne potwory. Grosvenor odwrócił się, przedostał przez dwa rzędy foteli i skoczył na najniższy poziom systemu sterowniczego. Kent na jego widok przerwał ogień i krzyknął:

- Gdzie się pchasz, ty śmierdzący tchórze!

Wymierzył w niego broń, ale Grosvenor powalił go pięścią i bezlitosnym kopniakiem odepchnął pistolet daleko od jego ręki. Był wściekły, ale nie odezwał się ani słowem. Skacząc na następny poziom widział, jak Kent czołga się do wibratora. Nie wątpił, że gdy tylko dosięgnie broni, strzeli do niego, nie do bestii. Z westchnieniem ulgi chwycił dźwignię, uruchamiającą potężne, multienergetyczne pole ochronne statku, szarpnął ją w dół i rzucił się na ziemię - w samą porę. Promień celowniczy wibratora trafił w metal konsoli dokładnie tam, gdzie przed chwilą była jego głowa. Potem zniknął. Kent huknął, przekrzykując zgiełk:

- Nie rozumiałem, o co panu chodzi!

Takie przeprosiny nie złagodziły gniewu Grosvenora. P.o. koordynatora był wyraźnie przekonany, że domniemana dezercja z pola bitwy usprawiedliwiała próbę morderstwa. Odsunął go i wściekły przeszedł obok, nie odezwawszy się ani słowem. Przez wiele miesięcy tolerował Kenta, ale w końcu zachowanie tego człowieka dowiodło, że nie nadaje się na stanowisko cywilnego szefa wyprawy. W zbliżającym się krytycznym momencie jego agresywne usposobienie mogło wyzwolić mechanizm, który groził zniszczeniem statku.

Grosvenor zszedł na najniższą platformę i przyłączył się do strzelaniny. Kątem oka dostrzegł, że trzech mężczyzn z wysiłkiem ustawia na pozycji wielki miotacz ognia. Zanim jeszcze wytrysnęły z niego zabójcze płomienie, wszystkie potwory leżały oszołomione energią molekularną i bez trudu można było je zlikwidować.

Gdy minęło niebezpieczeństwo, Grosvenor wreszcie sobie uświadomił, że potwory przeniesiono żywe przez setki lat świetlnych. Poczul się jak we śnie, jak w fantastycznej, nierealnej rzeczywistości.

Ale smród palonego mięsa przywrócił go do przytomności. Błękitnoszara krew bestii, tworząca śliskie plamy na posadzce, była aż nazbyt realna. Ostateczny dowód, że to się wydarzyło naprawdę, stanowiło kilkanaście opancerzonych, łuskowatych potworów, rozciągniętych tu i ówdzie na ziemi.

Gdy Grosvenor w kilka minut później ponownie zobaczył Kenta, ten beznamiętnie i precyzyjnie wydawał rozkazy do komunikatora. Nadjechały dźwigi i zaczęły usuwać zwłoki. Komunikatory brzęczały, przekazując polecenia. Szybko zapanował porządek.

Potwory zostały teleportowane jedynie do centrali dowodzenia. Radar statku nie zarejestrował materialnych obiektów, takich jak wrogi statek kosmiczny. Odległość do najbliższych gwiazd, w każdym kierunku, wynosiła około tysiąca lat świetlnych. Wszyscy, spoceni i brudni, zgodnie przeklinali, słysząc te nieliczne informacje.

- Dziesięć świetlnych stuleci! - dziwił się główny pilot Selenski. - Słuchajcie, my przecież nawet nie potrafimy bez przekaźnika wysyłać zwykłych transmisji na takie odległości!

Nadbiegł kapitan Leeth. Zamienił kilka słów z różnymi naukowcami, następnie zwołał naradę wojenną. Sam rozpoczął dyskusję;

- Nie muszę panom uświadamiać, jak wielkie niebezpieczeństwo nam zagraża. Jeden statek kosmiczny staje przeciw prawdopodobnie wrogiej cywilizacji galaktycznej. Na razie, za polem siłowym, nic nam jeszcze nie grozi. Natura niebezpieczeństwa wymaga, abyśmy wytyczyli sobie ograniczone, choć nie nadmiernie zawężone cele. Musimy się dowiedzieć, dlaczego ktoś chce się nas pozbyć. Musimy poznać rodzaj zagrożenia i określić, jakiego typu inteligencja się za nim kryje. Widzę, że główny biolog w dalszym ciągu bada naszych pokonanych przeciwników. Panie Smith, co to za bestie?

Smith odwrócił się od potwora, któremu się przyglądał i odparł:

- Ziemia mogłaby zrodzić coś takiego w erze dinozaurów. Sądząc z minimalnych rozmiarów tego, co wygląda na czaszkę, inteligencja tych stworów musi być niezwykle niska.

- Pan Gourlay twierdzi, że te potwory przetransportowano przez przestrzeń kosmiczną. Może mógłby to rozwinąć? - wtrącił Kent.

- Bardzo proszę, panie Gourlay, oddaję panu głos - zgodził się kapitan Leeth.

Ekspert od łączności wycedził swoim charakterystycznym akcentem:

- To tylko teoria, a w dodatku całkiem nowa... Zgodnie z nią wszechświat przypomina nadmuchany balon. Kiedy go się przekłuje, powietrze natychmiast zaczyna uchodzić, a jednocześnie dziura się zasklepia. I o dziwo, gdy jakiś obiekt przedostanie się przez jego powłokę, wcale niekoniecznie musi powrócić w to samo miejsce w przestrzeni. Załóżmy, że ktoś zna metodę kontrolowania tego zjawiska. Mógłby wtedy wykorzystywać je jako pewną formę teleportacji. Jeśli to wszystko zabrzmiało zanadto fantastycznie, pamiętajcie, że to, co nam się niedawno przytrafiło, było równie nierzeczywiste.

- Trudno uwierzyć, że ktoś mógłby być od nas mądrzejszy, co? - zauważył sarkastycznie Kent. - Musi istnieć proste rozwiązanie problemu hiperprzestrzeni, które umknęło ludzkim naukowcom. Może wreszcie się czegoś nauczymy. - Przerwał, a po chwili zapytał: - Korita, zachowuje pan niezwykle milczenie. Może nam pan powie, na co natrafiliśmy?

Archeolog wstał i rozłożył ręce w geście całkowitej bezradności.

- Nie mam najmniejszego pojęcia. Zanim rozpoczniemy konstruować porównania na gruncie historii cyklicznej, musimy się czegoś dowiedzieć o powodach tego nagłego ataku. Na przykład jeśli napastnicy chcieli opanować statek, tego rodzaju atak był nieporozumieniem. Jeśli zaś zamierzali tylko nas przestraszyć, udało im się to doskonale!

Słuchacze wybuchnęli śmiechem, a Korita usiadł. Grosvenor zauważył jednak, że kapitan Leeth

zachował powagę.

- Mówiąc o motywacji - stwierdził powoli - istnieje pewna nieprzyjemna możliwość, na którą powinniśmy się mimo wszystko przygotować. Jak na razie, wydarzenia wydają się ją potwierdzać. Pomyślcie: co by było, gdyby ta potężna inteligencja zechciała dowiedzieć się, skąd przybywamy? - Przerwał. Odpowiedziało mu szuranie stóp i szelest, gdy mężczyźni niespokojnie poruszyli się w fotelach. Jasne było, że trafił we wrażliwy punkt. Mówił dalej: - Spójrzmy na to z...

jego punktu widzenia. Zbliża się jakiś statek. Na ogólnym kierunku, z którego przybywa, jest bardzo wiele galaktyk, gromad gwiazdnych i mgławic. Skąd pochodzi przybysz?

W sali zapanowała cisza. Kapitan zwrócił się do Kenta:

- Panie koordynatorze, jeśli pan się zgodzi, proponuję zbadać niektóre układy planetarne tej galaktyki.

- Nie mam nic przeciwko temu - zezwolił Kent. - A teraz, jeśli nikt już...

Grosvenor podniósł rękę.

- Ogłaszam, że zebranie.... - mówił dalej Kent. Grosvenor wstał i zawołał na głos:

- Panie Kent!

- ... zostało zakończone! - dopowiedział Kent. Nikt nie wstał. Kent zawahał się, a potem oznajmił ze skrzepowaniem:

- Przepraszam pana, panie Grosvenor. Ma pan głos.

- Mało prawdopodobne, by ta istota zrozumiała tak skomplikowane symbole, ale sadzę, że powinniśmy zniszczyć nasze mapy nieba - oświadczył twardo Grosvenor.

- Miałem zaproponować to samo - poparł go podniecony von Grossen. - Mów dalej, Grosvenor.

Odezwał się chór aprobujących pomruków. Grosvenor podjął:

- Działamy w przekonaniu, że pole siłowe nas ochroni. Właściwie nie mamy wyboru, musimy zakładać, że to prawda. Ale gdy wylądujemy, dobrze byłoby mieć do dyspozycji kilka dużych encefaleregulatorów. Moglibyśmy wtedy emitować mylące fale mózgowe i uniemożliwić dalsze czytanie w naszych umysłach.

Słuchacze ponownie dali do zrozumienia, że popierają ten wniosek.

- Czy coś jeszcze, panie Grosvenor? - spytał beznamiętnie Kent.

- Tylko uwaga natury ogólnej. Szefowie działów mogliby przejrzeć powierzone im materiały i zniszczyć wszystko, co mogłoby zagrozić naszej rasie w wypadku, gdyby „Gwiazdny Ogar” dostał się do niewoli.

Gdy siadał, zapanowała mroząca krew w żyłach cisza.

W miarę upływu czasu stawało się coraz bardziej jasne, że albo nieprzyjazna inteligencja postanowiła powstrzymać się od dalszych kroków, albo pole siłowe dobrze spełnia swoje zadanie. Nie wydarzyło się nic nowego.

Słońca w tym odległym zakątku galaktyki były odległe i samotne. Któregoś dnia pierwsze z nich nagle wyrosło ludziom przed oczami: kula światła i gorąca, plująca płomieniami w nieprzeniknionej czerni. Lester i jego podwładni zlokalizowali wokół niego pięć planet, krążących na tyle blisko, by były warte zainteresowania. Jedna z nich okazała się zamieszкана: zobaczyli świat mgieł, dżungli i olbrzymich bestii. Statek przeleciał nisko nad wewnętrznym morzem i ogromnym bagnistym kontynentem. Nie znaleziono żadnych śladów cywilizacji, nie wspominając o wspaniale rozwiniętym technicznie świecie, którego istnienie podejrzewano.

„Gwiazdny Ogar” pomknął przed siebie i w odległości trzystu lat świetlnych natrafił na niewielkie słońce z dwiema planetami obiegającymi swoją gwiazdę wydzielającą wiśniowy żar. Jedna z nich nadawała się do zamieszkania, ale i tu natrafiono tylko na mgły, dżungle i olbrzymie,

dinozauropodobne stworzenia. Zrezygnowali z badań, dokonali tylko krótkiego przelotu nad bagnistym morzem i nad ziemią, dławiącą się w splotach nieposkromionej roślinności.

Przed nimi pojawiło się więcej gwiazd, jaśniejących na de czerni, rozciągającej się na dalszych sto pięćdziesiąt lat świetlnych. Uwagę Kenta przyciągnęło wielkie błękitnobiałe słońce, otoczone switą co najmniej dwudziestu planet; statek śmignął ku niemu. Siedem najbliższych słońca światów przypominało płonące piekło, gdzie nie przetrwałoby nic żywego. Statek zatoczył spiralę wokół następnych trzech planet, krążących po bliskich sobie orbitach. Te nadawały się do zamieszkania. Potem pomknęli w międzygwiazdny przestwór, nie dbając o pozostałe światy.

Z tyłu trzy porośnięte dżunglą, zamglone planety wirowały na swych orbitach wokół gorącego słońca, które je powołało do życia. Kent zwołał zebranie szefów działów i ich asystentów i rozpoczął dyskusję bez zbędnych wstępów.

- Osobiście nie sędzę - powiedział - byśmy mieli wystarczająco dużo dowodów. Ale Lester prosił o bezzwłoczne zwołanie spotkania. - Przerwał i wzruszył ramionami. - Może dowiemy się czegoś ciekawego.

Przerwał ponownie, a obserwujący go Grosvenor zdziwił się, wyczuwając aurę głębokiego zadowolenia wokół tego małego człowieczka. O co mu chodzi? - pomyślał. To dziwne, że p.o. koordynatora chce z góry zrezygnować ze wszystkich korzyści, jakie mogłoby przynieść mu owocne zebranie.

Kent znów się odezwał, bardzo przyjaznym tonem:

- Gunlie, mógłbyś tu przyjść i wyjaśnić, o co ci chodzi?

Astronom wszedł na dolny stopień. Był równie wysoki i chudy, jak Smith. Błękitne *oczy* lśniły w twarzy bez wyrazu. Ale gdy się odezwał, w jego głosie zabrzmiał cień emocji.

- Panowie, trzy nadające się do zamieszkania planety ostatniego układu to identyczne trojaczki, na sztucznie wywołanym poziomie rozwoju. Nie wiem, ilu z was zna najnowszą teorię kształtowania systemów planetarnych. Ci, którzy się z nią nie zetknęli, muszą uwierzyć mi na słowo, że istniejący rozkład masy w tym układzie słonecznym z punktu widzenia dynamiki jest po prostu niemożliwy. Mogę z całym przekonaniem potwierdzić, że dwie z trzech nadających się do zamieszkania planet tego słońca zostały przeniesione na swoją obecną orbitę. Ktoś chyba celowo stwarza pierwotne światy. .. nie potrafię tylko powiedzieć, po co to robi.

Umilkł i wyzywająco popatrzył na Kenta. Chemik pochylił się do przodu z lekkim uśmiechem na twarzy i oznajmił:

- Gunlie poprosił mnie, abyśmy wrócili na jedną z tych porośniętych dżunglą planet Biorąc pod uwagę jego uzasadnienie, wzywam was do dyskusji i głosowania.

Więc o to chodziło. Grosvenor westchnął, nie tyle z podziwu dla Kenta, ile doceniając jego przemyślność. P.o. koordynatora nie tracił energii na uzasadnianie sprzeciwu. Może nawet rzeczywiście nie był przeciwny planowi astronoma. Zwołując zebranie w sprawie, co do której miał inne zdanie, udowodnił, że stosuje procedury demokratyczne. Był to sprytny, choć nieco demagogiczny sposób, by zachować poparcie swoich stronników.

Rzeczywiście, wniesiono kilka uzasadnionych zastrzeżeń co do wniosku Lestera. Kent zapewne nie znał ich wcześniej, gdyż oznaczałoby to, że celowo ignoruje rzeczywiste zagrożenie statku. Grosvenor uznał, że wątpliwości świadczą na korzyść Kenta i cierpliwie czekał, aż kilkunastu uczonych skończy zadawać astronomowi mało ważne pytania. Gdy padły wszystkie odpowiedzi i stało się jasne, że dyskusja dobiegła końca, Grosvenor wstał i powiedział:

- Chciałbym poprzeć zdanie pana Kenta.

- Ależ, panie Grosvenor, tak krótka dyskusja doskonale odzwierciedla pogląd naszej grupy na tę

sprawę. To nie czas na... - zaczął chłodno Kent i przerwał. Dotarło do niego wreszcie rzeczywiste znaczenie słów Grosvenora. Przez chwilę miał minę, jakby piorun w niego strzelił. Wykonał niepewny gest w stronę zebranych, jakby prosząc o pomoc. Gdy nikt się nie odezwał, opuścił rękę i mruknął: - Udzielam panu głosu, panie Grosvenor.

- Pan Kent ma rację - oznajmił stanowczo Grosvenor. - Jeszcze jest na to za wcześnie. Jak dotąd, odwiedziliśmy trzy układy. Powinniśmy obejrzeć przynajmniej trzydzieści, wybierając je losowo. Zważywszy wielkość obszaru do przeszukania, to minimalna liczba, jeśli chcemy wyciągnąć znaczące wnioski. Dział matematyczny może zresztą przetworzyć te liczby. Ponadto, lądując, znajdziemy się poza zasięgiem pola siłowego. Musimy się przygotować na atak ze strony inteligencji, która potrafi w jednej chwili przerzucić oddziały bojowe przez hiperprzestrzeń. Mogę sobie wyobrazić, jak ktoś zrzuca na nas miliardy ton zabójczej substancji, a my bezradnie tkwimy na powierzchni jakiejś planety. Panowie, moim zdaniem czeka nas miesiąc albo dwa bardzo pracowitych przygotowań. Naturalnie, przez ten czas powinniśmy obejrzeć tyle układów, ile się da. Jeśli ich nadające się do zamieszkania planety są także wyłącznie, albo w większości, pierwotne, będziemy mieli solidne podstawy dla teorii pana Lestera, że stan ten został wygenerowany sztucznie. - Grosvenor przerwał na chwilę i podsumował: - Panie Kent, czy dobrze wyraziłem pańskie poglądy na tę sprawę?

Kent w pełni odzyskał panowanie nad sobą.

- Niemal co do joty, panie Grosvenor - odparł i rozejrzał się po sali. - Jeśli nikt już nie ma nic do dodania, proponuję przegłosować wniosek Gunliego.

Astronom wstał.

- Wycofuję wniosek - powiedział. - Przyznaję, że nie wziąłem pod uwagę kilku kwestii, przemawiających przeciwko natychmiastowemu lądowaniu - oświadczył i usiadł.

- Może ktoś zechce podtrzymać propozycję Gunliego? - Spytał jeszcze Kent. Odczekał kilka sekund, a gdy nikt sienie odezwał, ciągnął stanowczo: - Proszę, by każdy szef działu napisał raport o przygotowaniach swojego zespołu do lądowania, które w końcu przecież kiedyś nastąpi. To wszystko, panowie.

Grosvenor wyszedł na korytarz przed centralą dowodzenia. Ktoś położył mu dłoń na ramieniu. Odwrócił się i zobaczył McCanna, głównego geologa.

- Przez ostatnie miesiące tak ciężko pracowaliśmy przy naprawach, że nie zdołałem zaprosić pana do mojego działu. Mam wrażenie, że gdy wreszcie wylądujemy, sprzęt geologiczny będzie stosowany nie całkiem zgodnie z przeznaczeniem. Neksjalista bardzo by nam się przydał.

Grosvenor zastanawiał się przez chwilę, a potem skinieniem głowy przyjął zaproszenie.

- Przyjdę jutro. Muszę przygotować listę zaleceń dla naszego szefa.

McCann rzucił mu krótkie spojrzenie, zawahał się i spytał:

- Nie sądzi pan chyba, że weźmie je pod uwagę? Zauważono więc antypatię Kenta.

- Zrobi to, bo wtedy chwała nie przypadnie jednej osobie - odparł Grosvenor.

- No cóż, powodzenia, chłopcze - pokiwał głową McCann. Odwrócił się i chciał odejść, gdy Grosvenor zatrzymał go na chwilę pytaniem:

- Jak pan sądzi, na czym opiera się popularność Kenta jako przywódcy?

- Jest ludzki. Ma swoje sympatie i antypatie - wyjaśnił McCann po chwili zastanowienia. - Ulega emocjom. Ma wybuchowy charakter. Popełnia pomyłki, a potem udaje, że wcale się nie mylił. Koniecznie chciał zostać koordynatorem. Kiedy wrócimy na Ziemię, uwaga mediów skoncentruje się przecież na szefie wyprawy. W każdym z nas jest coś z Kenta. On jest... no cóż, jest po prostu człowiekiem.

- Zauważyłem, że nie powiedział pan ani jednego słowa o jego kwalifikacjach na to stanowisko.

- W zasadzie, to stanowisko nie jest aż takie ważne. W każdej sprawie może korzystać z porad ekspertów. - McCann wydadł usta. - Trudno ująć w słowa, dlaczego go tak cenimy, ale zdaje mi się, że naukowcy cały czas podświadomie bronią się przed zwyczajowo zarzucanym im zimnym intelektualizmem. Chętnie więc poddają się przywództwu ludzi ulegających emocjom, ale jednak o niekwestionowanym dorobku naukowym.

- Moim zdaniem, stanowisko koordynatora jest wyjątkowo ważne - zaproponował Grosvenor - Wszystko zależy od tego, jak dana osoba wykorzystuje związaną z nim niebagatelną władzę.

McCann popatrzył na niego z uwagą i oświadczył:

- Ludzie kierujący się wyłącznie logiką, tacy jak pan, zawsze mają trudności ze zrozumieniem, dlaczego Kent i jemu podobni zyskują poklask mas. A w kwestiach politycznych mają niewiele szans, występując na przykład przeciw takiemu Kentowi.

- Naukowców nie gubi to, że po uszy siedzą w naukowych zagadnieniach, lecz uczciwość. Przeciętny uczony często rozumie stosowane przeciw niemu techniki walki lepiej od samego agresora, ale nie umie zmusić się do odpłacenia pięknym za nadobne, bo czułby się zbrukany. - Mówiąc to Grosvenor uśmiechnął się smutno.

- Tak właśnie jest. Czy to znaczy, że pan nie miałby podobnych oporów? - McCann zmarszczył brwi: Grosvenor milczał.

- Co by pan zrobił, gdyby pan uznał, że Kent musi odejść? - nalegał McCann:

- Jak na razie, jestem całkiem prawomyślny - odparł ostrożnie Grosvenor i ze zdziwieniem ujrzał wyraz ulgi na twarzy McCanna. Starszy mężczyzna chwycił go za ramię przyjaznym gestem.

- Cieszę się, że chce pan postępować zgodnie z prawem - powiedział otwarcie. - Od czasu tamtego wykładu wiem coś, czego inni jeszcze sobie nie uświadomili: potencjalnie, jest pan najniebezpieczniejszym człowiekiem na tym statku. Zintegrowana wiedza, którą pan rozporządza, zastosowana w sposób celowy i zdecydowany, mogłaby przynieść bardziej katastrofalne skutki niż jakikolwiek atak z zewnątrz.

Grosvenor, po chwili kompletnego zaskoczenia, potrząsnął głową.

- Gruba przesada - oświadczył. - Jednego człowieka jest zbyt łatwo zabić.

- Jak widać - odparł McCann - nie zaprzecza pan, że posiada taką wiedzę.

- Dziękuję za tak dobrą opinię o mnie. Choć jest wielce przesadzona, doskonale wpłynęła na moje morale - roześmiał się Grosvenor i uniósł rękę w geście pożegnania.

Trzydziesta pierwsza gwiazda na trasie poszukiwań była wielkości i typu Soi. Jedna z jej trzech planet krążyła po orbicie o promieniu osiemdziesięciu milionów mil. Podobnie jak wszystkie nadające się do zamieszkania światy, była porośnięta dżunglą i pokryta pierwotnymi morzami.

„Gwiezdny Ogar” przedostał się przez gazową powłokę, złożoną z powietrza i pary wodnej i leciał nisko nad tą fantastyczną krainą.

W laboratorium geologicznym Grosvenor obserwował przyrządy, analizujące charakter powierzchni lądowej poniżej. Była to trudna praca, wymagająca wielkiej uwagi, ponieważ interpretacja danych zazwyczaj wymagała procesów asocjacyjnych, możliwych tylko dla precyzyjnie wyszkolonego mózgu. Ciągły strumień echa z ponad-dźwiękowych i krótkofalowych sygnałów należało skierować do odpowiednich urządzeń liczących w najbardziej odpowiednim momencie dla analizy komparatywnej. Do typowych technik, znanych McCannowi, Grosvenor dodał pewne neksjalne ulepszenia, dzięki którym powstawał teraz zdumiewająco kompletny obraz skorupy.

Grosvenor spędził już godzinę rozważając dane, które różniły się bardzo w szczegółach, ale analiza struktury molekularnej oraz ułożenia i rozrzutu niektórych elementów wskazywała na pewne podobieństwa natury geologicznej: muł, piaskowiec, glina, granit, pozostałości organiczne - prawdopodobnie złoża węgla - krzemiany w postaci piasku na skale, woda....

Kilka igieł na przyrządach pomiarowych wykonało nagły skok i zatrzymało się w ruchu. Reakcja taka oznaczała pośrednio obecność dużych ilości rud żelaza, ze śladami węgla, molibdenu...

Stał! Grosvenor chwycił dźwignię, co wywołało cały łańcuch wydarzeń. Zadzwoił dzwonek. Nabiegł McCann. Statek się zatrzymał. McCann połączył się z Kentem.

- Tak, panie koordynatorze - mówił - znaleźliśmy stal, a nie tylko rudę żelaza. Nie wspomniał Grosvenora z nazwiska, lecz tłumaczył dalej: - Ustawiliśmy instrumenty na maksymalną głębokość stu stóp. W tym mule może być zagrzebane - albo ukryte - całe miasto!

- Za parę dni się dowiemy - odparł rzeczowo Kent.

Zachowując wszelkie środki ostrożności, statek zawisł nisko nad powierzchnią planety. Na chwilę otwarto lukę w polu siłowym i spuszczone przez nią sprzęt. Ustawiono olbrzymie koparki, dźwigi i pasy transmisyjne, wraz ze sprzętem uzupełniającym. Całą operację przećwiczone już wcześniej precyzyjnie, tak że w trzydziści minut po rozpoczęciu rozładunku, statek odlatywał w przestrzeń.

Pracami kierowano na odległość. Operatorzy obserwowali rozwój operacji na ekranach komunikatorów i sterowali sprzętem naziemnym. W ciągu zaledwie czterech dni zintegrowany zespół maszyn wykonał wykop o głębokości dwóch tysięcy stóp, szerokości czterystu, a długości ośmiuset stóp. Odsłonięte nie tyle miasto, ile nieprawdopodobne gruzowisko czegoś, co kiedyś było miastem. Budynki wyglądały tak, jakby zgniół je jakiś olbrzymi ciężar. Po dokopaniu się do dna, na ulicach zaczęto odkrywać kości. Zaprzesztano kopania i w parną atmosferę planety opuściło się kilkanaście szalup. Grosvenor poleciał z McCannem.

Wraz z innymi naukowcami stał nad pozostałościami jednego ze szkieletów.

- Fatalnie pogruchotany - powiedział Smith. - Ale chyba uda się go poskładać. - Wyszkolone palce ułożyły zarys szkieletu. - Czworonóg - stwierdził. Przejechał kamerą fluorograficzną po jednej z nóg i dodał: - Zmarł jakieś dwadzieścia pięć lat temu.

Grosvenor odwrócił się. Szczątki i ruiny wokół mogły ukrywać tajemnicę fizycznych cech wymarłej rasy. Ale nic nie wskazywało na to, że wśród szkieletów znajdzie się jakaś wskazówka dotycząca nieprawdopodobnie okrutnych istot, które wymordowały mieszkańców miasta. Tu widać

było tylko nieszczęsne ofiary, a nie aroganckich, śmiertelnie niebezpiecznych niszczycieli.

Ostrożnie przedostał się do McCanna, który badał ziemię, zdjętą z powierzchni jednej z ulic.

- Myślę, że powinniśmy pobrać z tego miejsca próbkę gruntu do badań stratygraficznych - powiedział geolog i uruchomił koparkę. Przez godzinę maszyna przebijała się przez skałę i glinę, a Grosvenor ciężko pracował badając strumień próbek. Od czasu do czasu trzeba było wyjąć grudkę ziemi do analizy chemicznej. Gdy wrócili na statek, McCann mógł już przedstawić Kentowi całkiem dokładny raport ogólny. Podczas przekazywania informacji, Grosvenor trzymał się poza zasięgiem komunikatora.

- Panie koordynatorze - oświadczył McCann - przypomina pan sobie, że proszono mnie szczególnie o sprawdzenie, czy to nie jest przypadkiem sztucznie nasadzona dżungla. No więc wydaje mi się, że tak jest. Warstwy gruntu pod namułami pochodzą ze starszej, mniej prymitywnej planety. Trudno uwierzyć, że z jakiegoś odległego świata zdjęto warstwę dżungli i narzucono na tutejszą glebę, ale dowody wskazują, że naprawdę tak musiało się stać.

- A samo miasto? - spytał Kent. - W jaki sposób je zniszczono?

- Przeprowadziliśmy wyliczenia i z pewną ostrożnością możemy powiedzieć, że zniszczenia, które widzieliśmy, spowodowała narzucona olbrzymia masa gleby, skał i wody.

- Czy macie dane świadczące, jak dawno mogła się wydarzyć ta katastrofa?

- Mamy pewne dane geomorfologiczne. W niektórych zbadanych przez nas miejscach nowa warstwa spowodowała wgniecenia starej, co wskazuje na to, że ta ogromna masa nadmiernie obciążała leżące pod nią starsze poziomy. Po zbadaniu typu uskoków, które zareagowały w ten sposób, uzyskaliśmy dane liczbowe, które zamierzamy wprowadzić do komputerów. Kompetentny matematyk - miał na myśli Grosvenora - obliczył w przybliżeniu, że po raz pierwszy tego rodzaju masa została narzucona nie wcześniej niż sto lat temu. Ponieważ geologia zajmuje się zjawiskami, które rozwijają się w ciągu tysięcy i milionów lat, komputer posłuży nam tylko do sprawdzenia ręcznych wyliczeń. Większego przybliżenia nie uzyskamy.

- Dziękuję - powiedział Kent po chwili namysłu. - Jestem przekonany, że wasz zespół wykonał bardzo dobrą robotę. Jeszcze jedno pytanie: czy podczas badań natrafiliście na jakiś ślad wskazujący, jakiego rodzaju inteligencja mogłaby spowodować ten kataklizm?

- Mówię tylko za siebie, bez konsultacji z moimi współpracownikami! Ja nic takiego nie znalazłem.

Bardzo dobrze, że McCann tak przezornie ograniczył zakres tego zaprzeczenia, pomyślał Grosvenor. Dla geologa badanie tej planety to początek pogoni za przeciwnikiem. Jednak dla niego samego było to ostatnie ogniwo w łańcuchu odkryć i rozumowania, który rozpoczął się, gdy po raz pierwszy usłyszał dziwne szepty dochodzące z kosmosu.

Wiedział już, pod jaką postacią kryje się najstraszliwsza obca inteligencja, jaką można sobie wyobrazić. Znał jej ponury cel. Starannie przeanalizował konieczne posunięcia.

Nie musiał więcej koncentrować się na istocie zagrożenia. Teraz powinien zmusić wszystkich do przyjęcia jego wniosków. Niestety, ludzie, których wiedza ograniczała się tylko do jednej albo najwyżej dwóch dziedzin, nie mogli, a nawet nie chcieliby, zrozumieć natury śmiertelnego niebezpieczeństwa, najgorszego z dotychczasowych, wobec których stanęły wszystkie żywe istoty w międzygalaktycznym wszechświecie. Samo rozwiązanie mogło się okazać zarzewiem gwałtownego sporu.

W tej sytuacji Grosvenor postrzegał naturę problemu jednocześnie jako polityczną i naukową. Boleśnie świadomy, jaki charakter będzie miała zbliżająca się walka, doszedł do wniosku, że należy starannie przemyśleć taktykę i przeprowadzić całą akcję z pełną determinacją.

W tej chwili nie może jeszcze zdecydować, jak daleko będzie się musiał posunąć. Doszedł jednak do wniosku, że w żaden sposób nie może się z góry ograniczać. Musi zrobić wszystko, co konieczne.

Gdy Grosvenor był gotów do działania, napisał do Kenta list:

Do Pełniącego Obowiązki Koordynatora Wyprawy
Biuro Administracyjne
Statek Zwiadowczy „Gwiazdny Ogar”

Szanowny Panie Kent!

Mam ważne informacje, które muszą być przekazane wszystkim szefom działów. Informacje dotyczą obcej inteligencji pochodzącej z tej galaktyki. Według moich danych, jej charakter wymaga podjęcia akcji na największą skalę. Uprzejmie proszę o zwołanie nadzwyczajnego zebrania, bym mógł przedstawić moje propozycje przeciwdziałania zagrożeniu.

Z poważaniem,
Elliott Grosvenor.

Zaczął się zastanawiać, czy Kent zorientuje się, że proponuje w tym liście rozwiązanie, ale nic nie mówi o dowodach. Czekał na odpowiedź, po cichu przeniósł najpotrzebniejsze rzeczy osobiste z kabiny do swego miejsca pracy. Był to ostatni element strategii obronnej, którą zaplanował na wypadek oblężenia.

Odpowiedź nadeszła następnego dnia:

Szanowny panie Grosvenor!

Przekazałem panu Kentowi treść Pana notatki z wczorajszego dnia. Proponuje on, by złożył Pan raport na załączonym formularzu A-16-4 i dziwi się, że do tej pory jeszcze Pan tego nie zrobił.

Jesteśmy w posiadaniu różnego rodzaju dowodów i teorii w związku ze sprawą, którą Pan poruszył. Pańskie informacje zostaną starannie przeanalizowane wraz z innymi.

Uprzejmie proszę o jak najszybsze dostarczenie prawidłowo wypełnionego formularza.

Z poważaniem,

John Fohran,

za pana Kenta, p.o. Koordynatora.

Grosvenor był naprawdę zatroskany, gdy przeczytał list. Nie wątpił, że Kent uraczył swojego sekretarza kilkoma ostrymi uwagami na temat jedyne go neksjalisty na statku. Mimo wszystko jednak, prawdopodobnie nieco się kontrolował. Całe pokłady nienawiści drżące w tym człowieku i jego emocjonalne zaburzenia w dalszym ciągu pozostawały stłumione. Jeśli Korita ma rację, wszystko to ujawni się w chwili kryzysu. Obecnie cywilizacja ludzka przechodzi okres „zimy”, a niejedna kultura znajdująca się na tym etapie runęła w gruzy przez nieposkromiony egoizm przywódców.

Choć Grosvenor nie zamierzał dostarczać Kentowi faktów, wypełnił jednak załączony formularz. Wymienił tylko liczne dowody. Nie interpretował ich, ani też nie podał rozwiązania problemu. W punkcie „Zalecenia” wpisał: „Wnioski są oczywiste dla wszystkich osób o odpowiednich kwalifikacjach.”

Ależ przecież wszystkie dowody przedstawione w formularzu były znane tym, czy innym

naukowcom z licznych działów „Gwiezdnego Ogara”, a cały zbiór danych prawdopodobnie od tygodni leżał na biurku Kenta.

Dostarczył formularz osobiście. Nie spodziewał się szybkiej odpowiedzi, ale na wszelki wypadek nie wychodził ze swoich pomieszczeń. Nawet posiłki kazał sobie tu przysyłać. Notatka od Kenta nadeszła dopiero po dwóch dwudziestogodzinnych okresach:

Szanowny Panie Grosvenor!

Przeglądając formularz A-16-4, który przesłał Pan do rozważenia zauważyłem, że pozostawił Pan bez odpowiedzi rubrykę „Zalecenia”. Ponieważ od pozostałych szefów działów otrzymaliśmy wiele zaleceń i zamierzamy połączyć najlepsze z nich w jeden wszechstronny plan, będziemy wdzięczni za szczegółowe wyjaśnienia z Pana strony. Czy mógłby Pan zająć się tym w jak najszybszym terminie?

Gregory Kent, pełniący obowiązki Koordynatora.

Grosvenor potraktował osobisty podpis Kenta jako znak, że udało mu się osiągnąć cel i że wkrótce zacznie się wykonanie głównej części planu.

Wziął pastylki, powodujące objawy nie do odróżnienia od grypy. Czekał na efekty, napisał do Kenta kolejną notatkę, tym razem informując go, że z powodu choroby nie może przygotować zaleceń, ponieważ „są bardzo długie ze względu na to, że trzeba zawrzeć w nich ogromną liczbę wniosków interpretacyjnych, których podstawą są fakty z wielu dziedzin nauki. Mimo wszystko, rozsądnie byłoby już zacząć wstępne działania propagandowe, by przyzwyczaić członków ekspedycji do myśli o przedłużeniu wyprawy o następnych pięć lat”.

Wsunął list do otworu pocztowego i natychmiast zadzwonił do doktora Eggerta. Jak się okazało, wycucie czasu miał wręcz doskonałe. Po dziesięciu minutach wszedł Eggert, niosąc swoją lekarską torbę. Postawił ją i ledwie zdążył się wyprostować, w korytarzu zabrzmiały kroki. W chwilę później w sali pojawił się Kent w eskorcie dwóch postawnych pracowników technicznych z działu chemicznego.

- Cześć, Greg! - doktor wesoło pozdrowił Kenta, a następnie skoncentrował się na pacjencie.

- No cóż, chyba mamy tu jakiegoś wirusa, przyjacielu - oświadczył. - To zdumiewające. Żeby nie wiem jakie środki ochronne stosować przy każdym lądowaniu, zawsze przedostanie się jakiś wirus! albo bakteria. Zabierzemy cię do izolatki.

- Wolę zostać tutaj.

Doktor Eggert chwilę się zastanowił, ale wzruszył ramionami.

- Chyba mogę ci na to pozwolić - oświadczył, pakując swoje rzeczy. - Zaraz przyślę tu pielęgniarkę. Nie będziemy ryzykować z tymi obcymi wirusami.

Kent skwitował to ponurym mruknięciem. Grosvenor, który od czasu do czasu spoglądał na p.o. koordynatora z udawanym zdziwieniem, dał do zrozumienia, że chciałby wiedzieć, co naprawdę mu dolega.

- Co się właściwie dzieje, doktorze? - spytał wreszcie Kent z niepokojem.

- Na razie trudno powiedzieć. Musimy poczekać na wyniki badań. - Doktor zmarszczył brwi. - Pobrałem krew i wymazy, skąd tylko mogłem. Jak na razie, objawy ograniczają się do gorączki i płynu w płucach. - Potrząsnął głową. - Niestety, nie pozwolę, ci teraz z nim rozmawiać, Greg. To może być coś poważnego.

- Jednak musimy zaryzykować - odparł szorstko Kent - Pan Grosvenor może nam dostarczyć cennych informacji i jestem pewien, że wystarczy mu siła, by je nam przekazać - dodał z naciskiem.

- Jak się pan czuje? - spytał lekarz Grosvenora..

- Jeszcze mogę mówić - odpowiedział słabo Grosvenor. Piekła go twarz, bolały oczy. Ale był zadowolony, bo wywołał tę chorobę u siebie z dwóch powodów. Po pierwsze chciał zmusić Kenta, by przyszedł do niego, i to się udało. Po drugie, wolał być osobiście obecny na spotkaniu naukowców, które Kent mógłby zwołać, a tylko w swoim własnym dziale, nigdzie indziej, potrafiłyby się obronić przeciw pochopnym akcjom, które pozostali mogliby podjąć wobec niego.

Lekarz spojrział na zegarek.

- Słuchajcie - powiedział do Kenta i pośrednio do Grosvenora. - Przyślę tu pielęgniarkę. Gdy się tu zjawi, skończcie rozmowę. W porządku?

- Świetnie! - wykrzyknął Kent z fałszywą dobroduszością. Grosvenor tylko skinął głową.

- Pan Fander będzie tu za jakieś dwadzieścia minut - dodał Eggert od drzwi.

Gdy lekarz wyszedł, Kent powoli podszedł do łóżka i przyjrzał się Grosvenorowi. Stał tak dłuższą chwilę, a potem powiedział zwodniczo łagodnym głosem:

- Nie rozumiem, co pan chce osiągnąć. Dlaczego nie przekazuje nam pan tych informacji?

- Naprawdę się pan temu dziwi, panie Kent? - spytał Grosvenor.

Znów zapanowała cisza. Grosvenor miał okazję obserwować, jak rozwścieczony mężczyzna z trudem powściąga gniew. W końcu Kent odparł cichym, pełnym napięcia tonem:

- Jestem cywilnym szefem tej ekspedycji. Żądam, by pan natychmiast przedstawił mi swoje zalecenia.

Grosvenor powoli pokręcił głową. Nagle poczuł gorąco i bezwład w całym ciele.

- Nie wiem, jak na to odpowiedzieć. Łatwo przewidzieć pana posunięcia, panie Kent. Widzi pan, potraktował pan moje listy dokładnie tak, jak się spodziewałem. Przewidziałem, że pan tu przyjdzie ze swoimi pachołkami - spojrział na obu techników. - W tej sytuacji słusznie chyba domagam się zwołania zebrania szefów działów. Dopiero tam odważę się przedstawić swoje zalecenia.

Nie zdążył się zasłonić. Za późno spostrzegł, że Kent jest jeszcze bardziej wściekły niż się tego po nim spodziewał.

- Mądrała, co? - warknął chemik gwałtownie i uderzył Grosvenora w twarz. Przez zaciśnięte zęby dodał: - Chory jesteś, co? Ludzie cierpiący na różne dziwne choroby czasami wariują i trzeba ich traktować ostro, bo w szale rzucają się nawet na najdroższych przyjaciół.

Grosvenor widział go jak przez mgłę. Podniósł rękę do twarzy. Ponieważ miał dreszcze i naprawdę czuł się źle, z trudem wsunął antidotum do ust. Udawał, że trzyma się za uderzony policzek. Przełknął następną pigułkę i odpowiedział drżącym głosem:

- W porządku, jestem wariatem. I co dalej?

- Czego naprawdę chcesz? - Jeśli Kenta zaskoczyła taka reakcja, nie dał tego po sobie poznać.

Grosvenor musiał zwalczyć atak mdłości. Po chwili odpowiedział:

- Chcę, żebyś zaczął działania propagandowe, mniej więcej takiej treści: jesteś przekonany, że to, czego dowiedzieliśmy się o tej obcej inteligencji sprawiło, że załoga naszego statku pogodziła się z myślą o pozostaniu w przestrzeni pięć lat dłużej niż planowano. To na początek. Gdy to zrobisz, powiem ci wszystko.

Poczuł się nieco lepiej. Antidotum działało. Gorączka spadła. Powiedział dokładnie to, co miał na myśli. Jego plan był dość elastyczny. W każdej chwili Kent, lub później cała grupa, mogą przyjąć jego propozycje. Wtedy nie musiałyby się już uciekać do podstępów.

Kent dwukrotnie otwierał usta, jakby chciał coś powiedzieć i za każdym razem zamykał je bez słowa. W końcu odezwał się stłumionym głosem:

- Czy to wszystko, co masz teraz do powiedzenia?

- Obiecuję, że dostaniesz to, czego chcesz - powiedział Grosvenor dotykając palcami

zamocowanego na stelażu łóżka guzika.

- Nie ma o czym mówić. Nigdy nie pójdę na takie szaleństwo. Ludzie nie wytrzymają przedłużenia podróży choćby o jeden rok -' rzucił ostro Kent.

- Twoja obecność tutaj wskazuje, że wcale nie uważasz mnie za szaleńca - odrzekł spokojnie Grosvenor. Kent zaciskał i rozprostowywał pięści.

- To niemożliwe! Jak miałbym wytłumaczyć moje postępowanie szefom działów?

Obserwując tego drobnego, lecz aroganckiego mężczyznę, Grosvenor uznał, że zbliża się kryzys.

- Nie musisz im na razie nic mówić. Wystarczy, że obiecasz im informację.

-Szefie, ten facet chyba nie zauważył, że rozmawia z samym koordynatorem- wtrącił się jeden z techników, który obserwował twarz Kenta.

- Może byśmy nad nim popracowali? Kent, który wyraźnie chciał jeszcze coś powiedzieć, opanował się. Cofnął się o krok i obliznął usta.

- Masz rację, Bredder, nie wiem, po co zacząłem się z nim spierać. Poczekajcie, tylko zamknę drzwi na klucz. Potem z nim...

- Na waszym miejscu nie zamykałbym tych drzwi. Pozakładałem alarmy w różnych miejscach statku - ostrzegł go Grosvenor.

Kent, trzymając już rękę na klamce, zatrzymał się i odwrócił. Na twarzy zastygł mu paskudny uśmiezek.

- No cóż, trudno - odparł sztywno. - Będziemy cię oprawiać przy drzwiach otwartych. Lepiej zacznij mówić, przyjacielu. Obaj technicy ruszyli do przodu. Grosvenor powiedział:

- Bredder, słyszałeś kiedyś o ładunku elektrostatycznym? - Obaj mężczyźni zatrzymali się w pół kroku, a on dodał złowieszczo: -tylko mnie dotknijcie, a nieźle się poparzycie. Będziecie mieli ręce w pęcherzach. Na twarzy zaś...

Technicy odstąpili od łóżka. Jasnowłosy Bredder niespokojnie popatrzył na swojego szefa.

- Ładunek elektryczny ludzkiego ciała nie zabiłby nawet muchy - rozżłościł się Kent.

- W tej dziedzinie nie czuje się pan najlepiej, prawda, panie Kent? Ten ładunek nie znajduje się w moim ciele, ale będzie w waszych, jeśli mnie dotkniecie chociaż jednym palcem - stwierdził Grosvenor.

Kent wyjął pistolet wibracyjny i bawił się nim znacząco.

- W tył! - rozkazał pomocnikom. - Wpakuję mu ładunek na jedną dziesiątą sekundy. Nie straci przytomności, ale wytrzęsę każdą cząsteczkę w ciele tego faceta!

-Nie próbuj tego, Kent. Ostrzegam - powiedział spokojnie Grosvenor.

Chemik albo go nie usłyszał, albo był tak wściekły, że nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie. Promień celowniczy oślepił Grosvenora. Coś syknęło, coś trzasnęło i Kent wrzasnął z bólu. Promień zgasł. Kent próbował wypuścić broń z dygocącej dłoni. Pistolet był jak przyklejony, ale w końcu upadł na posadzkę z metalicznym trzaskiem.

Kent, wijąc się z bólu, złapał za skaleczoną rękę i stał, kiwając się na boki.

Grosvenor odezwał się ze współczuciem i jednocześnie z irytacją:

- Dlaczego pan mnie nie słuchał? Płyty ścienne w tym pomieszczeniu mają wysoki potencjał elektryczny, a ponieważ wibrator jonizuje powietrze, doznał pan porażenia elektrycznego, które jednocześnie zneutralizowało uwolnioną przez pana energię wszędzie oprócz okolic wylotu lufy. Mam nadzieję, że nie poparzył się pan zbyt mocno.

Kent odzyskał panowanie nad sobą. Twarz miał bladą i napiętą, ale spokojną.

- To cię będzie drogo kosztować - odpowiedział cicho. - Gdy pozostali dowiedzą się, że ktoś siłą

próbuję przeforsować własne pomysły... - przerwał i królewskim gestem odwołał swoich goryli. -
Idziemy. Na razie z nim skończyliśmy.

Dokładnie osiem minut po ich odejściu pojawił się Fander. Grosvenor musiał kilkakrotnie, cierpliwie tłumaczyć, że już mu przeszły wszystkie dolegliwości. Jeszcze dłużej trwało przekonywanie doktora Eggerta, którego wezwał pielęgniarz. Grosvenor nie martwił się, że odkryją jego sztuczkę. Żeby zidentyfikować zastosowany przez niego specyfik, musieliby nabrać zdecydowanych podejrzeń, a potem przeprowadzić skomplikowane badania.

W końcu zostawili go w spokoju, z zaleceniem, by nie wychodził z działu przez dzień, czy dwa. Zapewnił ich, że będzie tego przestrzegał i rzeczywiście miał taki zamiar. Nadchodził trudny okres, w którym Dział Neksjalizmu miał się stać jego fortecą. Nie wiedział, czym go zaatakują, ale był gotów na wszystko.

Mniej więcej w godzinę po odejściu lekarza, coś stuknęło w odbiorczej skrzynce pocztowej. Przyszła poczta od Kenta - zawiadomienie o zebraniu, „zwołanym na życzenie Elliotta Grosvenora”. Po koordynatora cytował tekst pierwszej notki i pomijał milczeniem dalsze wydarzenia. Zawiadomienie kończyło się zdaniem: „Biorąc pod uwagę wcześniejsze dokonania pana Grosvenora, pełniący obowiązki koordynatora uważa, że należy go wysłuchać”,

Pod spodem Kent dopisał ręcznie: „Szanowny Panie Grosvenor, z powodu Pańskiej choroby poleciłem zespołowi pana Gourlaya, by podłączył Pański komunikator do audytorium centrali dowodzenia, tak by mógł Pan uczestniczyć w zebraniu, nie ruszając się z łóżka. Gdyby Pan się na to nie zgodził, sami wszystko załatwimy”.

O wyznaczonej godzinie Grosvenor dostroił się do urządzeń w centrali. Gdy pojawił się obraz, zobaczył całe pomieszczenie. Wywnioskował, że podłączono go do dużego komunikatora nad potężnym panelem kontrolnym. Znaczyło to, że w zebranych wpatrywała się ekranu jego twarz, wielkości trzech metrów. Tym razem wreszcie mnie zauważą, pomyślał kwaśno.

Rzucił okiem na ekran, by sprawdzić, czy wszyscy już siedzą. Tuż pod ekranem, Kent rozmawiał z kapitanem Leethem. Wyraźnie kończyli pogawędkę, bo Kent spojrzał na Grosvenora, uśmiechnął się niechętnie i zwrócił się do niewielkiej widowni. Grosvenor zauważył bandaż na jego lewej ręce.

- Panowie - zagaił Kent. - Bez zbędnych wstępów przekazuję głos panu Grosvenorowi. - Spojrzał na ekran z tym samym groźnym uśmiechem. - Panie Grosvenor, może pan zaczynać.

- Panowie, mniej więcej tydzień temu zebrałem wystarczającą liczbę danych - oświadczył Grosvenor - by uzasadnić podjęcie przez nasz statek akcji przeciwko obcej, wrogiej inteligencji zamieszkującej tę galaktykę. Może się to wydawać przesadzone, ale niestety mogę panom tylko zaprezentować moją interpretację istniejących informacji. Nie udowodnię wszystkim zebranych, że istoty, które nazywam naszymi wrogami rzeczywiście istnieją. Niektórzy z was zapewne uznają, że rozumię prawidłowo. Inni, którzy nie posiadają wiedzy z niektórych dziedzin, dojdą do wniosku, że moje wnioski są zdecydowanie kontrowersyjne. Wyteżałem umysł, szukając sposobu, by przekonać was, że moje rozwiązanie jest jedynym bezpiecznym wyjściem z tej niebezpiecznej sytuacji.

Nie wspominał, że i tak musiał już uknuć skomplikowany spisek tylko po to, by go wysłuchano. Pomimo wszystkiego, co zaszło pomiędzy nim a Kentem, nie miał zamiaru robić sobie z niego jeszcze większego wroga.

- Chciałbym - mówił dalej - zwrócić się teraz do pana Gourlaya. Jestem pewien, że nie zdziwi się pan gdy powiem, że wszystko zaczęło się od automatycznego C-9. Czy zechciałby pan opowiedzieć o tym kolegom?

Szef łączności rzucił Kentowi pytające spojrzenie. Ten wzruszył ramionami i kiwnął głową.

Gourlay zawahał się chwilę i rzekł:

- Trudno teraz powiedzieć, kiedy dokładnie włączył się C-9, Tym, którzy nie wiedzą, co to takiego wyjaśnię, że C-9 to pomniejszy ekran ochronny, aktywizujący się automatycznie, gdy pył w otaczającej nas przestrzeni osiągnie stężenie niebezpieczne dla lecącego statku. Oczywiście, rzeczywista gęstość pyłu w danym miejscu w przestrzeni jest względnie wyższa przy wyższych prędkościach niż przy niskich. Fakt, że zebrano dość pyłu, by zaktywizować C-9, został zaobserwowany przez jednego z moich asystentów niedługo przed pojawieniem się tych wielkich bestii w centrali dowodzenia. To wszystko - powiedział Gourlay i usiadł.

- Panie von Grossen, co pana dział wykrył na temat pyłu gwiazdowego w tej galaktyce? - spytał Grosvenor.

Potężny von Grossen poprawił się na siedzeniu i oświadczył, nie wstając:

- Nie ma w nim nic, co można by uznać za charakterystyczne, lub niezwykle. Jest trochę gęściejszy niż w naszej własnej galaktyce. Zebraliśmy pewną jego ilość za pomocą płyt jonizujących o bardzo wysokim potencjale, z których potem zdrapaliśmy osad Składa się głównie ze stałej materii. Zawiera kilka wolnych pierwiastkowi ślady wielu związków chemicznych. Jest tam też nieco gazu, głównie wodoru. Sęk w tym, że to, co zebraliśmy, jest prawdopodobnie w niewielkim tylko stopniu podobne do tego, co istnieje, ale do tej pory nie opracowano zadowalającej metody zbierania pyłów w nienaruszonej postaci. Niestety sam proces chwytania cząstek wywołuje wiele różnorodnych zmian. Możemy się tylko domyślać, jak to wpływa na przestrzeń -tu fizyk bezradnie rozłożył ręce. - Na razie nic więcej nie potrafię dodać.

Uzyskawszy opinię fizyka, Grosvenor mówił dalej:

- Mógłbym, pytać teraz szefów poszczególnych działów o to, co udało im się zbadać. Jestem jednak przekonany, że potrafię zsumować ich odkrycia tak, by nie być niesprawiedliwym wobec nikogo. Działy pana Smitha i pana Kenta miały takie same kłopoty, jak sekcja pana von Grossena. Wydaje mi się, że pan Smith na różne sposoby nasycił pyłem atmosferę wiwariów dla doświadczalnych zwierząt Wpuszczane tam zwierzęta nie poniosły żadnych szkód na zdrowiu, więc w końcu przeprowadził doświadczenie na sobie. Czy ma pan coś do dodania?

- Jeśli jest to forma życia, nie potrafię tego udowodnić - przyznał Smith. - Najbliżej zdobycia nieprzekształconych okazów byliśmy podczas lotu szalupami patrolowymi, kiedy otworzyliśmy wszystkie włazy, potem je zamknęliśmy i z powrotem napełniliśmy statki powietrzem. W składzie chemicznym powietrza zaszły pewne zmiany, ale nie było to nic ważnego.

- Takie są fakty - oświadczył Grosvenor. - Ja także przeprowadziłem eksperyment pozwalając, by pył wpłynął przez otwarty właz szalupy. Interesowało mnie jedno: jeśli mieszka tu żywa istota, to czym się odżywia? Więc po napełnieniu szalupy atmosferą planety, przeanalizowałem ją. Następnie zabiłem kilka małych zwierząt i ponownie zbadałem powietrze. Przesłałem próbki atmosfery pobrane zarówno przed eksperymentem jak i po nim do pana Kenta, pana von Grossena i pana Smitha. Zauważono w niej bardzo wiele drobnych przemian. Oczywiście można je przypisać błędowi doświadczalnemu, ale chciałbym, żeby pan von Grossen powiedział panom o tym, do czego doszedł.

Von Grossen zamrugał oczyma i wyprostował się w fotelu.

-1 to miał być dowód? - zapytał. Odwrócił się na siedzeniu i popatrzył na kolegów w zadumie. - Nie wiem, jakie to ma znaczenie, ale cząsteczki powietrza w próbce oznaczonej „Po doświadczeniu” miały nieco wyższy ładunek elektryczny.

To był decydujący moment. Grosvenor spojrział na uniesione ku sobie twarze naukowców. Czekał, aż błysk zrozumienia pojawi się choć w jednej parze oczu.

Wszyscy siedzieli nieruchomo, a ich twarze wyrażały zaskoczenie. W końcu ktoś odezwał się z

przekąsem:

- Chyba każe nam pan wyciągnąć pośpieszny wniosek, że zetknęliśmy się z inteligencją zrodzoną z pylistych obłoków. Co za bzdura!

Grosvenor milczał. Chciał, by wykonali jeszcze bardziej karkołomny skok myślowy, choć różnica była bardzo subtelna. Już i tak poczuł się głęboko rozczarowany. Zaczął przygotowywać się na to, co zaraz nastąpi.

- Tylko spokojnie, panie Grosvenor. Proszę wszystko wyjaśnić, a potem podejmiemy decyzję - zarządził Kent.

- Panowie, bardzo mnie niepokoi to, że nikt z was jeszcze nie rozumie, o co chodzi - powiedział Grosvenor. - Przewiduję poważne kłopoty. Postawcie się w mojej sytuacji. Przedstawiłem wam uzyskane dowody, włącznie z opisem doświadczeń, dzięki którym zidentyfikowałem naszego przeciwnika. Niestety widzę, że waszym zdaniem moje wnioski są bardzo kontrowersyjne. Jednak, jeśli mam rację - a wiem na pewno, że tak jest- odmowa podjęcia akcji, jaką zaplanowałem, będzie miała katastrofalne skutki dla ludzkości i dla wszystkich innych myślących form życia w wszechświecie. Sytuacja wygląda tak: jeśli wyłuszcze wam swój plan, decyzja wymknie mi się z rąk. Zdecyduje większość i od tej decyzji ja nie będę mógł już się odwołać.

Przerwał, by jego słowa zapadły słuchaczom w pamięć. Niektórzy spoglądali na siebie z pochmurnymi minami.

- Słuchajcie, ja już się rozbiłem o mur egoizmu tego człowieka -warknął Kent Była to pierwsza jego wroga uwaga na tym spotkaniu. Grosvenor rzucił mu przelotne spojrzenie, odwrócił wzrok i mówił dalej:

- Znalazłem się w niesłychanie nieprzyjemnym położeniu, bowiem muszę panów poinformować, że problem przekształcił się z naukowego w polityczny. W związku z tym nalegam na zaakceptowanie mojego rozwiązania. Należy rozpocząć odpowiednie działania propagandowe, polegające na tym, że wicedyrektor Kent oraz pozostali szefowie działów zaangażują się w przekonywanie ludzi, że musimy tu pozostać przez kolejnych pięć ziemskich lat, choć powinniśmy zachowywać się tak, jakby chodziło o gwiazdne lata. Przedstawię panom moją interpretację, ale chciałbym, żeby wszyscy szefowie działów uświadomili sobie, że muszą nieodwołalnie położyć na szali swoją reputację i dobre imię. Niebezpieczeństwo, tak jak ja je widzę, przybrało taki wymiar, że drobne przepychania między nami będą haniebnym marnowaniem czasu.

Tu krótko wyjaśnił charakter zagrożenia, a następnie, nie czekając na ich reakcję, przestawił zarys proponowanych środków zaradczych.

- Przede wszystkim musimy znaleźć planety z rudą żelaza i za pomocą naszego parku maszyn wyprodukować torpedy rozsiewające radioaktywne atomy. Przewiduję, że przez jakiś rok będziemy przemierzać tę galaktykę losowo wybranym kursem i wystrzeliwać te torpedy w wielkich ilościach i na chybił trafił. Następnie, gdy sprawimy, że cały ten sektor przestrzeni stanie się praktycznie niemożliwy do zamieszkania, odlecimy i damy istocie możliwość pójścia naszym szlakiem, ale dopiero w momencie, kiedy nie będzie miała innego wyjścia, niż podróż naszym śladem w nadziei, że zaprowadzimy ją w miejsce, gdzie znajdzie inne, lepsze źródło pożywienia. Większość czasu i wysiłków poświęcimy temu, by na pewno nie zawlec jej do naszej galaktyki. Wiecie już wszystko, panowie. Spoglądając na wasze twarze widzę, że reakcja będzie bardzo zróżnicowana i że czeka nas jeden z tych zawziętych sporów - zakończył spokojnie.

Odpowiedziała mu cisza, a potem ktoś westchnął:

-Pięć lat...

Był to ledwieszepet, ale zapoczątkował dyskusję. Wszyscy zaczęli się niespokojnie poprawiać w

fotelach

- Czasu ziemskiego - szybko wyjaśnił Grosvenor.

Musiał to podkreślać. Celowo wybrał dłuższą rachubę czasu, by po przeliczeniu na czas gwiazdny, okres ten okazał się krótszy. Czas gwiazdny, w którym godzina dzieliła się na sto minut, dzień na dwadzieścia godzin, a rok miał trzysta sześćdziesiąt dni, był sztuką psychologiczną. Gdy ludzie już przyzwyczaili się do dłuższego dnia, zapominali, jak wiele czasu mija według ziemskiej rachuby. Spodziewał się podobnych reakcji; powinni odczuć ulgę na myśl, że dodatkowy czas lotu wyniesie zaledwie trzy lata czasu gwiazdnego.

- Czy są jakieś uwagi? - zapytał Kent.

- Nie potrafię z czystym sercem zgodzić się z analizą pana Grosvenora - oświadczył ze smutkiem von Grossen. - Mam dla niego wielki szacunek, ze względu na poprzednią działalność. Ale prosi nas, abyśmy przyjęli na wiarę coś, co moim zdaniem moglibyśmy zrozumieć, gdybyśmy rzeczywiście mieli wystarczające dowody. Odrzucam teorię, że neksjalizm zapewnia tak zwartą integrację nauk, by tylko osoby wyszkolone przy użyciu tej metody mogły zrozumieć skomplikowane, wewnętrznie powiązane zjawiska.

- A czy pan nie odrzuca dość pośpiesznie czegoś, czego pan nawet nie starał się zbadać? - odparł krótko Grosvenor.

- Możliwe - zbył go von Grossen. - Ja widzę to tak: zmarnujemy wiele lat na ciężkiej pracy, i nawet przez chwilę nie będziemy mieli dowodów na to, że nasz plan skutkuje, poza pośrednimi, niemal niedostrzegalnymi faktami.

Grosvenor zawahał się. Potem zdał sobie sprawę, że nie ma wyjścia, tylko musi dalej brnąć w niepopularne oświadczenia. Zbyt wiele od tego zależało. Nie mógł przejmować się ich uczuciami. Powiedział:

- Ja będę na pewno wiedział, kiedy odniesiemy sukces, a jeśli niektórzy z panów zniżą się do wizyty w dziale neksjalizmu i nauczą się paru technik, również sobie to uświadomią we właściwym momencie.

- Jednego nie można zarzucić panu Grosvenorowi. Nie chowa swojej wiedzy pod korcem, lecz zawsze chce nas podciągać do swojego poziomu - cierpko skomentował Smith.

- Czy ktoś ma jeszcze coś do dodania? - tym razem odezwał się Kent, nieco bardziej piskliwie, w oczekiwaniu zwycięstwa. Kilka osób chciało coś powiedzieć, ale wszyscy się rozmyślili. Kent oświadczył: - Żeby nie tracić już więcej czasu, proponuję głosować nad propozycją pana Grosvenora, i niech rozstrzygnie o niej większość. Jestem pewien, że wszyscy chcielibyśmy wiedzieć, jaka jest ogólna reakcja na to, co usłyszeliśmy.

Grosvenor nie widział jego twarzy, ale arogancja przebijała z całej sylwetki tego człowieka.

- Głosujemy przez podniesienie rąk - zarządził Kent. - Ci, którzy są za przyjęciem metody pana Grosvenora, z którą wiąże się pozostanie w przestrzeni przez pięć lat ponad plan, niech podniosą rękę.

Nikt się nie ruszył.

- Trzeba czasu, żeby to przemyśleć... zaczął ktoś płaczliwie.

- Musimy już teraz poznać zdanie najważniejszych naukowców na tym statku - wszedł mu w słowo Kent. - Kto jest zdecydowanie przeciw, niech podniesie rękę! - zawołał.

Głosowali prawie wszyscy, z wyjątkiem trzech osób: Kority, McCanna i von Grossena. W chwilę później Grosvenor zorientował się, że kapitan Leeth, zasłonięty przez Kenta, również wstrzymał się od głosu.

- Kapitanie Leeth, to jest właśnie taki moment, kiedy może pan odwołać się do konstytucyjnego

prawa i przejąć kontrolę nad statkiem. Niebezpieczeństwo jest oczywiste - powiedział szybko Grosvenor.

- Panie Grosvenor - odparł wojskowy. - Miałby pan rację, gdybyśmy stali wobec widzialnego nieprzyjaciela. W sytuacji takiej jak ta, mogę polegać jedynie na radach kompetentnych ekspertów.

- Na tym statku jest tylko jeden taki ekspert - rzucił Grosvenor zimno. - Pozostali, to grupka amatorów, którzy ślizgają się po powierzchni rzeczy.

Na tę uwagę większość obecnych oniemiała. Po chwili kilka osób zaczęło mówić jednocześnie. I wszyscy znów zamilkli. Zapanowała pełna wściekłości cisza.

W końcu odezwał się kapitan Leeth, sztucznie spokojnym tonem:

- Panie Grosvenor, nie mogę zaakceptować nie popartego niczym oświadczenia.

- No, panowie, teraz wreszcie wiemy, co pan Grosvenor naprawdę o nas myśli - warknął Kent.

Sama istota obelgi chyba nie zrobiła na nim większego wrażenia. Zachowywał ironiczny humorek. Zapomniał chyba, że jego obowiązkiem, jako p.o. koordynatora, jest podtrzymywanie atmosfery godności i uprzejmości.

Meader, szef działu botaniki, zwrócił się do niego ze złością:

- Panie Kent, nie rozumiem, dlaczego pan toleruje takie bezczelne uwagi.

- Tak jest - odparł Grosvenor. - Brońcie swoich praw. Całemu wszechświatowi zagraża śmiertelne niebezpieczeństwo, ale wy musicie przecież zachować poczucie godności osobistej, nieprawdaż?

McCann odezwał się po raz pierwszy. W jego głosie dźwięczał niepokój:

- Korita, gdyby istniał stwór, opisany przed chwilą przez Grosvenora, czy potrafiłby pan go dopasować do praw historii cyklicznej?

- Obawiam się, że byłoby to bardzo naciągane. - Archeolog niechętnie potrząsnął głową. - Można by zakładać istnienie prymitywnej formy życia. - Rozejrzał się wokół. - O wiele bardziej martwi mnie, do jakiego stopnia teoria historii cyklicznej pasuje w tej chwili do moich przyjaciół. Przyjemność, czerpana z upadku człowieka, którego wcześniejsze sukcesy nas nieco zaniepokoiły. Nagły przyływ egomanii ze strony tego człowieka - z żalem popatrzył w twarz Grosvenora na ekranie. - Panie Grosvenor, bardzo mnie pan rozczarował, gdy uznał pan za stosowne wygłoszenie takich opinii, jakie tu przed chwilą padły.

- Panie Korita - odparł trzeźwo Grosvenor - gdybym przyjął jakakolwiek inną strategię niż ta, którą zastosowałem przed chwilą, nawet nie miałibyście przyjemności wysłuchania, jak mówię czcigodnym dżentelmenom - których wielu szanuję i podziwiam jako jednostki - to, co właśnie powiedziałem i to, co jeszcze mam do powiedzenia

- Jestem pewien - odparł Korita - że członkowie tej ekspedycji zrobią wszystko, co konieczne, z zaangażowaniem i poświęceniem.

- Raczej trudno w to uwierzyć - stwierdził Grosvenor. - Mam wrażenie, że na decyzję większości wpłynął fakt, że mój plan przewiduje spędzenie dodatkowych pięciu lat w przestrzeni kosmicznej. Przyznaję, to okrutna konieczność, ale jednocześnie zapewniam was, że nie ma innego wyjścia. - Nagle zmienił temat. - Spodziewałem się takiego wyniku i jestem przygotowany. - Zwracał się teraz do całej grupy. - Panowie, zmusiliście mnie do podjęcia działań, których szczerze żałuję, bardziej, niż to potrafię wyrazić. Oto moje ultimatum.

- Ultimatum! - To był Kent, zaskoczony i nagle pobladły. Grosvenor go zignorował:

- Jeśli do godziny 10.00 jutrzejszego dnia nie zaakceptujecie mojego planu, przejmuję komendę nad statkiem. Cała załoga zostanie zmuszona do wykonywania moich poleceń, czy tego zechce, czy nie. Naturalnie, spodziewam się, że wszyscy naukowcy na pokładzie połączą swą wiedzę i wysiłki,

starając się uniemożliwić mi osiągnięcie celu. Oświadczam jednak, że wszelki opór jest bezcelowy.
Po tych słowach wybuchł harmider, który trwał, póki Grosvenor nie zerwał połączenia między swoim komunikatorem a centralą dowodzenia.

Mniej więcej w godzinę po zebraniu do Grosvenora zadzwonił McCann.

- Chciałbym do ciebie przyjść - powiedział.

-Zapraszam- ucieszył się Grosvenor.

głosie geologa brzmiała niepewność:

-Pewnie na całym korytarzu rozmieściłeś miny i pułapki...

- Nno, cóż, można to i tak nazwać - zgodził się Grosvenor. -Ale tobie nic się nie stanie.

- A jeśli przyjdę z ukrytym zamiarem zabicia cię?

- Tu, w moim biurze, nie dałbyś rady zabić mnie nawet solidną maczugą- odparł Grosvenor z wielką pewnością w głosie, mając nadzieję, że zrobi to wrażenie na ewentualnych podsłuchiwachach.

- Zaraz tam będę! - obiecał McCann po krótkim namyśle i przerwał połączenie.

Musiał być gdzieś w pobliżu, bo już w minutę później ukryte w korytarzu detektory oznajmiały jego przybycie. Po chwili na ekranie komunikatora ukazała się jego głowa i ramiona, a przekaźnik zaskoczył na miejsce. Ponieważ był to element działania systemu obronnego, Grosvenor rozłączył go ręcznie.

W kilka sekund później McCann stanął w otwartych drzwiach. Zatrzymał się w progu, a potem ruszył przed siebie, potrząsając głową.

-Nieswojo się czuję. Mimo twoich zapewnień, miałem poczucie, że mierzą we mnie całe baterie różnego rodzaju broni. Mimo to, niczego nie widziałem. - Spojrzał pytająco na Grosvenora. - A może blefujesz?

- Sam się czuję nieswojo - powiedział ze smutkiem Grosvenor. - Don, zachwiałeś moją wiarą w twoją uczciwość. Nie spodziewałem się, że przyjdiesz tu z bombą.

- Ależ, skądże! - McCann osłupiał. - Jeśli twoje instrumenty wykazują coś takiego... - przerwał. Zdjął marynarkę. Zaczął ją przeszukiwać. Nagle jego ruchy spowolniały, a twarz pobleadła, bo wyjął z kieszeni cienki jak kartka papieru szary przedmiot, nie dłuższy niż dwa cale. - Co to jest? - zapytał.

- Stabilizowany stop plutonu.

-Radioaktywny!

- Nie, nie jest radioaktywny, przynajmniej w tej postaci. Ale promień nadajnika wysokiej częstotliwości może go rozbić na radioaktywny gaz, który paskudnie by nas obu poparzył.

- Grove, przysięgam, że nic o tym nie wiedziałem.

- Mówiłeś komuś, że tu idziesz?

- Oczywiście, że tak. Tu wszędzie są blokady.

- Innymi słowy, musiałeś otrzymać pozwolenie?

- Tak. Od Kenta.

- Chciałbym, żebyś się dobrze zastanowił nad tym, co ci powiem. Czy podczas rozmowy z Kentem nie miałeś wrażenia, że w pomieszczeniu zrobiło się nagle bardzo gorąco? - spytał Grosvenor.

-Nno... tak. Teraz sobie przypominam. Myślałem, że się uduszę.

- Jak długo to trwało?

- Dosłownie sekundę.

- Hm... to oznacza, że najprawdopodobniej byłeś nieprzytomny przez jakieś dziesięć minut.

- Nieprzytomny? - zdenerwował się McCann. - O, do diabła. Ten drań mnie oszołomił jakimś świństwem!

- Prawdopodobnie potrafiłbym powiedzieć ci dokładnie, jaką dostałeś dawkę - powiedział z namysłem Grosvenor. - Wystarczy analiza krwi

- Bardzo cię proszę. To by dowiodło....

- To by dowiodło tylko, że rzeczywiście coś takiego ci się przytrafiło. - Grosvenor potrząsnął głową. - Nie rozstrzygnęłoby natomiast, czy zrobiłeś to z własnej woli, czy nie. Dla mnie o wiele lepszym dowodem jest fakt, że nikt przy zdrowych zmysłach nie zgodziłby się, by w jego obecności rozbijano izotop plutonu ²³⁹Pu do postaci gazowej. Moje automatyczne reduktory wskazują, że nasi przyjaciele już od minuty starają się tego dokonać.

McCann pobladł jak ściana.

- Grove, mam dość tego ścierwnika. Przyznaję, że nie mogłem się zdecydować i że obiecałem go powiadomić o wynikach naszej rozmowy, ale zamierzałem też ostrzec cię, że muszę dostarczyć takie sprawozdanie.

Grosvenor uśmiechnął się.

- W porządku, Don, wierzę ci. Siadaj.

- A to? - McCann podał mu małą metalową bombę.. Grosvenor zaniósł ją do pojemnika, w którym przechowywał materiały radioaktywne. Wrócił i usiadł obok, po czym dodał:

- Spodziewam się ataku z zewnątrz. Jest tylko jeden sposób, w jaki Kent może wobec innych usprawiedliwić swoje postępowanie: musi się postarać, by nas uratowano na czas tak, byśmy przeżyli po odniesieniu poparzeń radioaktywnych. Możemy obserwować wszystko na tym ekranie.

Atak zarejestrowały najpierw elektroniczne detektory typu elektrycznego oka. Na pulpicie z instrumentami pomiarowymi pojawiła się delikatna poświata i zabrzmiał brzęczyk alarmu.

Natychmiast zobaczyli napastników na dużym ekranie nad pulpitem. Kilkunastu mężczyzn w skafandrach próżniowych wychyńło zza odległego zakrętu i ruszyło korytarzem. Grosvenor rozpoznał von Grossena i dwóch jego podwładnych z działu fizyki, czterech chemików, w tym dwóch z działu biochemii, trzech łącznościowców Gurlaya i dwóch uzbrojonych oficerów. Tyły osłaniało trzech żołnierzy, uzbrojonych w przenośny wibrator, przenośną armatkę termiczną i duży miotacz granatów gazowych.

McCann poruszył się niespokojnie.

- Czy jest stąd jakieś inne wyjście? - spytał. Grosvenor przytaknął skinieniem głowy.

- A góra i dół? - geolog wskazał na sufit i podłogę.

- Nad nami jest magazyn, a pod spodem sala kinowa. Zająłem się i jednym, i drugim, a także pozostałymi drzwiami.

Zamilkli. Grupa mężczyzn w korytarzu nagle się zatrzymała. McCann powiedział:

- To dziwne, że von Grossen jest wśród nich. Wydawało mi się, że cię podziwia.

- Uraziłem go, gdy nazwałem was wszystkich amatorami. Przyszedł sam sprawdzić, co ja właściwie potrafię.

Na korytarzu grupa napastników nad czymś się naradzała.

- A co konkretnie ciebie tutaj przywiodło? - zainteresował się Grosvenor.

- Chciałem, żebyś wiedział, że nie jesteś zupełnie sam - odparł McCann wpatrując się w ekran. - Kilku starszych stanowiskiem kolegów poprosiło mnie, żebym ci przekazał ich poparcie. - Przerwał, wyraźnie przejęty czymś innym. - Nie rozmawiajmy na ten temat teraz, kiedy oni tu idą.

- Taki sam dobry moment, jak każdy inny. McCann jakby tego nie słyszał.

- Nie rozumiem jak zamierzasz ich zatrzymać - powiedział niespokojnie. - Mają dość broni, żeby spalić te ściany na popiół. - Grosvenor nie odpowiedział, więc McCann popatrzył mu prosto w oczy. - Muszę być z tobą szczerzy - oświadczył. - Przeżywam rozterkę. Jestem pewien, że masz rację. Ale

twoja taktyka jest dla mnie kompletnie nieetyczna - Nie zdawał sobie chyba sprawy, że na chwilę odwrócił wzrok od ekranu.

- Jest tylko jedna możliwa taktyka - odparł Grosvenor. - Muszę stanąć do wyborów jako kontrkandydat. Ponieważ Kent tylko pełni obowiązki koordynatora, został po prostu wyznaczony na to stanowisko po wypadku Mortona, mógłbym prawdopodobnie doprowadzić do wyborów w ciągu miesiąca.

- Dlaczego więc tego nie robisz?

- Ponieważ się boję. - Przez ciało Grosvenora przebiegł dreszcz. - Ta istota - tam na zewnątrz - praktycznie kona z głodu. W każdej chwili może ruszyć do innej galaktyki, być może nawet do naszej. Nie możemy czekać przez cały miesiąc.

- Mimo to planujesz wygnać to stworzenie z jego galaktyki i oceniasz, że zajmie ci to cały rok.

- Próbowalesz kiedyś odebrać łup mięsożercy? - spytał Grosvenor. - Trzyma go mocno i walczy, prawda? Mój pomysł polega na tym, że gdy ten stwór zorientuje się, że usiłujemy ruszyć go z miejsca, będzie się starał jak najdłużej trzymać tego, co już ma.

- Rozumiem - przytaknął McCann. - Poza tym, przyznasz sam, że twoje szanse na wygraną w wyborach są bliskie zeru. Grosvenor żwawo pokręcił głową.

- Wygrałbym. Możesz mi nie wierzyć ale faktem jest, że ludzie uwikłani w pogoń za przyjemnościami i podnieceniami, powodowani ambicją, dają się z łatwością kontrolować. To nie ja wymyśliłem taktyki, którymi bym się w takiej sytuacji posługiwał. Znane są od stuleci. Ale historyczne próby przeanalizowania ich nigdy nie dotarły do korzeni całego procesu. Do niedawna związek fizjologii z psychologią opierał się jedynie na teoretycznych podstawach. Neksjalizm przełożył go na język konkretnych technik.

McCann wpatrywał się w niego w milczeniu W końcu powiedział:

- Co, waszym zdaniem, czeka ludzi w przyszłości? Sądzisz, że wszyscy powinniśmy zostać neksjalistami?

- Na pokładzie tego statku to konieczność. Dla rasy ludzkiej jako całości, to mało praktyczne. W dalszej perspektywie, jednakże, nie będzie wytłumaczenia dla osób, które nie zdobyły całej możliwej do opanowania wiedzy. Dlaczego człowiek ma pozostać ignorantem? Nie można zawsze stać pod niebem swojej planety i wpatrywać się w nie tępyimi oczami przesądu i ignorancji, i podejmować kluczowych decyzji na podstawie fałszywych przesłanek. Upadłe cywilizacje, znane nam z ziemskiej historii, są dowodem na to, co dzieje się z ludźmi, którzy ślepo reagują na różne sytuacje lub polegają na autorytarnych doktrynach. - Wzruszył ramionami. - W tej chwili możliwy jest do osiągnięcia pomniejszy cel. Musimy zaszczepić ludziom sceptycyzm. Bystry, choć niepiśmienny chłop, który zawsze żąda konkretów, jest duchowym przodkiem naukowca. Na wszystkich poziomach zrozumienia, sceptyk potrafi swoim stosunkiem do świata częściowo zrekompensować brak wyspecjalizowanej wiedzy. Mówi: - Pokażcie mi to! Mam otwarty umysł, ale słowa bez dowodów nigdy mnie nie przekonają! McCann zastanowił się, a potem zapytał:

- Wy, neksjaliści, chcecie przełamać cykliczny wzorzec historyczny, prawda? O to wam chodzi?

- Przyznaję, że dopóki nie spotkałem Kority, nie uświadamiałem sobie, jakie to ważne - odparł Grosvenor po chwili wahania. - Mam wrażenie, że tę teorię trzeba będzie jeszcze poddać niejednej weryfikacji. Na przykład słowa takie jak „rasa” albo „ród” są szczególnie pozbawione znaczenia, ale ogólny wzorzec dobrze opisuje fakty.

McCann ponownie zwrócił uwagę na napastników i powiedział, zdziwiony:

- Jakoś nie mogą zacząć. Przecież musieli mieć jakiś plan, zanim tu przyszli. - Grosvenor milczał. McCann rzucił mu ostre spojrzenie: - Zaraz, zaraz. Natrafili na twoją obronę, co? - domyślił się.

Gdy jego rozmówca w dalszym ciągu się nie odzywał, McCann skoczył na równe nogi, zbliżył się do ekranu i popatrzył bezpośrednio na rozgrywającą się scenę. Przyglądał się szczególnie dwóm klęczącym mężczyznom.

- Ale... co oni robią? - spytał bezradnie. - Co ich zatrzymało? Grosvenor znów się zawahał, ale wyjaśnił:

- Robią co mogą, żeby nie przelecieć przez podłogę. - Starał się z całych sił zachować spokój, ale głos mu się łamał z emocji.

Geolog nie zdawał sobie sprawy, że było to całkiem nowe doświadczenie dla Grosvenora. Naturalnie, dysponował niezbędną wiedzą, ale po raz pierwszy została ona zastosowana w praktyce. Nikt nigdy jeszcze tego nie dokonał. Wykorzystał zjawiska z wielu dziedzin wiedzy, improwizując, by osiągnąć cel w wyjątkowych warunkach, w jakich przyszło mu działać.

Udało się - tak, jak się tego spodziewał. Jego sposób rozumowania, niezwykle precyzyjny i oparty na niesłuchanie szerokich podstawach, nie pozostawiał zbyt wiele miejsca na błędy.

Ale sprawdzenie tego w praktyce było ogromnie emocjonujące, bez względu na wcześniejszą wiedzę.

McCann wrócił na miejsce i usiadł.

- Czy podłoga rzeczywiście się zapadnie? - spytał.

- Nie o to chodzi. Podłoga nie podlega zmianom. To oni się w nią wtapiają. Gdyby poszli dalej, rzeczywiście by przez nią przelecieli. - Nagle roześmiał się wesoło. - Bardzo chciałbym zobaczyć minę Gourlaya, gdy jego ludzie mu to opiszą. To jego „balonowa” teleportacja, ruch w hiperprzestrzeni, plus kilka pomysłów z geologu wydobycia ropy naftowej i dwie techniki chemii roślinnej.

- Co wzięłeś z geologii? - zainteresował się McCann. - O, do diabła. Wzięłeś tę metodą wydobycia ropy bez wiercenia. Po prostu na powierzchni stwarza się takie warunki, by wypłynęła cała ropa z danej okolicy. - Nachmurzył się. - Zaraz, zaraz. Jest jeden czynnik, który...

- Jest mnóstwo różnych czynników, przyjacielu - przerwał mu Grosvenor i wyjaśnił rzeczowo: - Powtarzam, to precyzyjna robota. Bardzo wiele elementów zgranych ze sobą przy niewielkim zużyciu energii.

- A dlaczego nie zastosowałeś paru takich sztuczek przeciw kociakowi szkarłatnemu potworowi?

- Mówiłem ci już. Tę sytuację aranżowałem od dłuższego czasu. Pracowałem po nocach instalując sprzęt. Nie dano mi szansy na coś takiego przy okazji odwiedzin naszych pozaziemskich gości. Uwierz mi, że gdybym to ja kierował statkiem, nie stracilibyśmy wtedy tylu ludzi.

- Więc dlaczego nie przejąłeś statku?

- Było na to za późno. Nie było czasu. Poza tym, ten statek zbudowano wiele lat przed założeniem Fundacji Neksjalistycznej. I tak mieliśmy szczęście, że dali nam cały dział.

- Nie mam pojęcia, jak zamierzasz jutro opanować statek, ponieważ będziesz musiał w tym celu wyjść z laboratorium - stwierdził McCann. - Przerwał i popatrzył na ekran. A potem powiedział bez tchu: - Mają tratwy antygravitacyjne. Przepłyną nad podłogą.

Grosvenor nie odpowiedział. Sam to wcześniej zauważył.

Tratwy antygrawitacyjne działały na tej samej zasadzie, co napęd grawitacyjny. Reakcję zachodzącą w ciałach po przełamaniu bezwładności określano jako proces molekularny, ale nie wbudowany w strukturę materii. Antygrawitacyjne pole lekko przemieszczało elektrony na orbitach, co z kolei wywoływało napięcia wewnątrz-cząsteczkowe, powodujące niewielkie, ale wszechstronne przekształcenia.

Zmieniona w ten sposób materia zachowywała się tak, jakby uodporniono ją na normalne rezultaty zwalniania lub przyspieszania. Statek posługujący się tym napędem mógł zatrzymać się nagle w locie, nawet jeśli podróżował z prędkością milionów mil na sekundę.

Grupa atakująca dział Grosvenora po prostu załadowała całą broń na długie, wąskie tratwy, wspięła się na nie i ustawiła odpowiednie natężenie pola. Następnie dzięki przyciąganiu magnetycznemu ruszyli ku otwartym drzwiom, odległym o dwieście stóp.

Przebyli około piętnastu, zwolnili, zatrzymali się i zaczęli się cofać. Potem znów się zatrzymali.

Grosvenor, manipulujący przy konsoli sterowniczej, wrócił i u-siadł obok McCanna.

- Co zrobiłeś? - spytał zdumiony geolog.

- Jak widziałeś, posuwali się naprzód, celując magnesami kierunkowymi w stronę stalowych ścian. Ustawiłem pole odpychające, które samo w sobie nie jest niczym nowym, poza tym, że moja wersja opiera się na procesie temperaturowym, podobnym do sposobu, w jaki ty i ja utrzymujemy ciepłotę ciała. Teraz będą musieli posłużyć się napędem odrzutowym, zwykłymi silniczkami albo nawet wiosłami - zakończył ze śmiechem.

- Nie będą sobie tym zawracać głowy. Po prostu włączą miotacz płomieni. Lepiej zamknij drzwi! - prorokował McCann ponuro.

- Poczekaj!

- Ale dosięgnie nas fala żaru. Upieczemy się! Grosvenor potrząsnął głową.

- Powiedziałem ci już: to proces polegający na przemianach cieplnych. Gdy całe metalowe otoczenie dostanie nową porcję energii, będzie starało się utrzymać równowagę na nieco niższym poziomie. O, popatrz.

Przenośny miotacz płomieni pobiełał. Ta biel sprawiła, że McCann zaczął cicho kłąć pod nosem.

- Szron... - mamrotał. - Ale w jaki sposób...

Obserwowali, jak na ścianach i podłodze tworzy się lodowa powłoka. Miotacz lśnił w otulinie ze szronu, a przez drzwi napłynął powiew zimnego powietrza. McCann zadygotał.

- Przemiana cieplna - powtórzył z ironią. - Na nieco niższym poziomie...

Grosvenor wstał.

- Czas, żeby poszli już sobie do domu - oświadczył. - Bo jeszcze coś złego im się stanie...

Podszedł do urządzenia, stojącego w sali wykładowej pod ścianą i zasiadł na fotelu przed niewielką klawiaturą, o małych różnobarwnych klawiszach ustawionych po dwadzieścia pięć w dwudziestu pięciu rzędach.

McCann zbliżył się i z zaciekawieniem przyglądał się maszynie.

- Co to jest? - spytał. - Nigdy nic takiego nie widziałem.

Błyskawicznym lecz niedbałym gestem Grosvenor przycisnął siedem klawiszy, a potem włączył nadawanie. Zabrzmiała czysta, choć cicha, pojedyncza nuta, której echo jakby zawisło w powietrzu na kilka sekund.

- Jakie skojarzenia wywołał ten dźwięk w twoim umyśle? - spytał McCanna.

McCann zastanowił się chwilę.

- Widziałem organy, grające w kościele. Potem obraz się zmienił i byłem na wiecu politycznym, gdzie nadawano szybką, podniecającą muzykę, by wzbudzić w publiczności uczucie zadowolenia. - Przerwał bez tchu. - A więc w ten sposób mógłbyś wygrać wybory.

- To jedna z metod.

McCann zacisnął zęby z wrazenia.

- Człowieku, dysponujesz nieprawdopodobną potęgą!

- Na mnie to nie ma wpływu - odparł Grosvenor.

- Bo jesteś uwarunkowany. Ale nie można uwarunkować całej rasy ludzkiej!

- Dziecko nabywa uwarunkowań, kiedy uczy się chodzić, poruszać rękoma, mówić. Dlaczego nie rozciągnąć uwarunkowania na hipnotyzm, reakcje chemiczne, efekty spożywania pokarmu? Można to było zacząć już setki lat temu. Powstrzymano by w ten sposób wiele chorób, cierpień duchowych i nieszczęść, które wywołuje niezgoda między ciałem człowieka a jego psychiką.

McCann odwrócił się do wysokiego, cylindrycznego urządzenia.

- Jak to działa? - zapytał

- To zestaw kryształów i obwodów elektrycznych. Wiesz, że elektryczność potrafi zniekształcić niektóre struktury krystaliczne. Trzeba stworzyć odpowiedni model i wyemitować wibrację naddźwiękową, która omija ludzkie ucho i bezpośrednio stymuluje umysł. Mogę na tym grać, jak muzyk na instrumencie, tworząc emocje tak głębokie, że nie oprze im się żadna niewykształcona osoba.

McCann z powrotem usiadł na krześle. Wyraźnie zbladł.

- Przerażasz mnie - powiedział cicho. - Moim zdaniem, to nieetyczne. Nic na to nie poradzę.

Grosvenor przyjrzał mu się, a potem zwrócił się w stronę instrumentu i coś przełączył na klawiaturze. Nacisnął guzik. Zabrzmiał smutniejszy, słodszy niż poprzednio ton, nieco męczący, gdyż wibracje wokół nich dźwięczały przez dłuższy czas, zanim ucichły. -

A co czułeś tym razem? - spytał.

McCann zawahał się i powiedział nagle:

- Pomyślałem o matce. Nagle zapragnąłem wrócić do domu. Chciałem...

- To zbyt niebezpieczne. - Grosvenor spochmurniał. - Gdybym zintensyfikował stymulację, niektórzy mogliby przyjąć pozycję płodową. .. - Znów nacisnął kilka klawiszy.

Rozległ się głośny dźwięk dzwonu, z cichutkim pogłosem w tle.

- A to? - zapytał.

- Byłem dzieckiem i przyszła pora pójścia spać. Jejku, jaki jestem śpiący. McCann ziewnął, nie zwracając uwagi na to, że ostatnie zdanie wypowiedział w czasie teraźniejszym.

Grosvenor otworzył szufladę w stoliku obok urządzenia i wyjął plastikowe nauszники. Wręczył je McCannowi.

- Lepiej to załóż.

Drugą parę wsunął sobie na głowę, patrząc jak jego towarzysz z wyraźnym ociąganiem wykonuje polecenie. McCann powiedział ponuro:

- Obawiam się, że nie ma we mnie nic z Machiavellego. Chyba próbujesz mi uświadomić, że już przedtem wykorzystywano dźwięki do budzenia w ludziach emocji i do wpływania na ich zachowanie.

Grosvenor odpowiedział szczerze:

- Ludzie uznają coś za etyczne lub nieetyczne w zależności od skojarzeń, które pojawiają się w ich umysłach w danej chwili, albo gdy analizują minione wydarzenia. Nie znaczy to, że wszelkie systemy

etyczne są bez znaczenia. Ja osobiście przychyliam się do opinii, że wyznacznikiem etyczności powinna być korzyść odnoszona przez jak największą liczbę osób, pod warunkiem, że nie wiąże się to z eksterminacją lub zabójstwem osób, które się nie podporządkują, lub z pozbawieniem ich praw publicznych. Społeczeństwo musi się nauczyć udzielania pomocy chorym i tym, którym brakuje wiedzy. - Zapalił się do tematu: - Proszę, zwróć uwagę, że nigdy przedtem nie posługiwałem się tym urządzeniem. Hipnozę zastosowałem raz, gdy Kent chciał zagarnąć mój dział... dopiero teraz muszę się do niej uciec. Od momentu startu mogłem ściągać tu ludzi, stymulując ich na różne sposoby. Dlaczego tego nie zrobiłem? Dlatego, że Fundacja Neksjalistyczna stworzyła własny kodeks postępowania, który został mi wpojony metodą uwarunkowania. Mogę go przełamać, ale z wielkim trudem.

- Czy teraz go przełamujesz?

-Nie.

- A zatem, moim zdaniem, jest niezwykle elastyczny.

- Masz rację. Gdy jestem całkowicie przekonany, że postępuję słusznie, tak jak w tym przypadku, nie mam wewnętrznych problemów nerwowych ani emocjonalnych. - McCann milczał. Grosvenor mówił dalej: - Wydaje mi się, że stworzyłeś sobie wizję dyktatora -czyli mnie - który siłą podporządkowuje sobie demokrację. To fałszywy obraz, ponieważ statkiem w locie można zarządzać jedynie za pomocą niby-demokratycznych metod. A największą ze wszystkich różnicą jest fakt, że po zakończeniu lotu będę musiał się rozliczyć ze swego postępowania.

- Pewnie masz rację. - McCann westchnął i spojrział na ekran. Grosvenor również tam popatrzył i zobaczył, że odziani w kombinezony mężczyźni próbowali się do nich dostać, odpychając się od ścian rękoma. Ręce zagłębiały się do pewnego stopnia w metalu, ale napastnicy natrafiali na lekki opór i udawało im się powoli przesuwac tratwę. McCann odezwał się znowu: - Co zamierzasz teraz zrobić?

- Uśpię ich, o - tak... - dotknął nadajnika. Dźwięk dzwonu wcale nie wydawał się głośniejszy niż poprzednio. Mimo to, w korytarzu ludzie upadli na podłogę.

- Dźwięk będzie powracał co dziesięć minut. Na całym statku porozwieszałem rezonatory, które będą podejmować wibracje i odbijać je. Idziemy.

-Dokąd?

- Chcę założyć bezpiecznik na głównym systemie elektrycznego rozruchu statku.

Zabrał bezpiecznik z sali kinowej i w chwilę później wyszli na korytarz. Wszędzie leżeli śpiący ludzie. McCann na początku głośno wyrażał swoje zdziwienie. Potem zamilkł z zakłopotaną miną. W końcu stwierdził:

- Trudno uwierzyć, że ludzie są aż tak bezbronni.

- Jest gorzej niż myślisz - odpowiedział Grosvenor.

Dotarli do maszynowni. Grosvenor wspiął się na niższy poziom kolumny rozruchu i w niespełna dziesięć minut wmontował swój bezpiecznik. Zszedł w milczeniu, nie wyjaśniając, co zrobił i po co mu to było.

- Nie mów o tym nikomu - powiedział tylko. - Jeśli się o nim dowiedzą, po prostu będę musiał znowu tu przyjść i założyć drugi.

- Obudzisz ich teraz?

- Tak. Jak tylko wrócę do siebie. Ale najpierw pomóż mi przewieźć von Grossena i innych do ich kabin. Chcę, żeby poczuł wstręt do siebie.

- Myślisz, że się poddadzą?

-Nie.

Miał rację. Tak więc, punktualnie o 10.00 następnego dnia przycisnął w swoim laboratorium guzik, który skierował główny strumień prądu elektrycznego w obwód, gdzie został zainstalowany bezpiecznik. Na całym statku palące się lampy zamigotały lekko w rytmie neksjalistycznej wariacji na temat hipnotycznego wzorca Riimów, i wszyscy ludzie zostali natychmiast zahipnotyzowani.

Grosvenor zaczął grać na urządzeniu wysyłającym bodźce emocjonalne. Skoncentrował się na myślach o odwadze, poświęceniu i spełnieniu obowiązku wobec swej rasy w obliczu niebezpieczeństwa. Skonstruował nawet skomplikowany wzorzec stymulujący poczucie, że czas mija dwukrotnie, a nawet trzykrotnie szybciej niż w rzeczywistości.

Stworzywszy sobie taką podstawy zaktywizował komendę „We-zwanie Ogólne” na komunikatorze statku i wydał dokładne polecenia. Następnie polecił całej załodze razem i każdemu z jej członków z osobna, reagować natychmiast na słowo-klucz, które miało pozostać nieznane, i zapomnieć je natychmiast po usłyszeniu.

Potem wywołał amnezję, obejmującą wszystkie sugestie hipnotyczne.

Zszedł do maszynowni i wyjął bezpiecznik.

Wrócił do siebie, obudził wszystkich i skontaktował się z Kentem.

- Wycofuję ultimatum - powiedział. - Jestem gotów się poddać. Nagle zdałem sobie sprawę, że nie mogę działać wbrew decyzji ludzi na tym statku. Chciałbym zwołać kolejne zebranie, na które przyjdę osobiście. Naturalnie, zamierzam po raz kolejny nalegać, abyśmy podjęli wszelkie możliwe kroki, by zniszczyć obcą inteligencję z tej galaktyki.

Nie zdziwił się, gdy przywódcy, zaskakująco jednomyślnie zmieniając poglądy, zgodzili się, że po zastanowieniu uznali jego dowody za przekonujące, a zagrożenie według nich jest niezwykle poważne.

Pełniącemu obowiązki koordynatora, Kentowi, wydano polecenie bezlitosnego ścigania wroga, bez względu na wygodę załogi statku.

Grosvenor, który nie przekształcał w żaden sposób osobowości członków załogi, obserwował z pewnym rozbawieniem niechęć Kenta do podjęcia zalecanych działań.

Zbliżała się wielka rozgrywka między ludźmi a obcymi.

Bezkształtny Anabis rozpościerał się na ogromnej przestrzeni, obejmującej całą galaktykę. Miliardy cząstek jego ciała drgały słabo, niemal niezauważalnie, odsuwając się automatycznie od niszczącego gorąca i promieniowania dwustu miliardów płonących słońc, zaś zaciskając się w ciasnym pierścieniu nad miliardami planet, dusił gorączkowym, nienasyconym głodem kwadryliony pulsujących punkcików, w których znajdowały się umierające istoty -jego pokarm.

Wszystkiego było mu mało. Straszliwa świadomość nadchodzącej śmierci głodowej wsączała się w najdalsze krańce jego ciała. Poprzez niezliczone, eteryczne komórki jego struktury wędrowały z bliska i daleka komunikaty o braku pożywienia. Przymierał głodem już od bardzo dawna.

Powoli zaczął zdawać sobie sprawę, że jest za duży - albo za mały. Na początku popełnił fatalną pomyłkę, pozwalając sobie na nieograniczony wzrost. W tamtych latach przyszłość wydawała się bezpieczna. Przestrzeń ciągle rosnącej, olbrzymiej galaktyki, nie miała końca. A on rozszerzał się chełpliwie, radośnie, jak pierwotny organizm, uświadamiający sobie swoje wspaniałe przeznaczenie.

Wtedy rzeczywiście był pierwotny. W mętnych początkach wszechświata był tylko gazem wydobywającym się z mglistego bagna. Gaz nie miał zapachu ani smaku, ale w jakiś sposób wyzwolił dynamiczną kombinację. I oto poczęło się życie.

Na początku był tylko kłębkim niewidzialnej mgły. Gorączkowo śmigał nad mętnymi, błotnistymi wodami, które go zrodziły, wił się i skręcał, nurkował, ścigał ofiary niestrudzenie, z narastającą gotowością, z narastającym pożądaniem, które ciągnęło go wszędzie tam, gdzie coś - cokolwiek - ginęło gwałtowną śmiercią.

Gdyż śmierć innych była jego pokarmem.

Nie interesowało go, że proces, któremu zawdzięczał życie, był jednym z najbardziej skomplikowanych zjawisk w naturalnej biochemii. Pociągała go przyjemność i podniecenie, a nie informacje. Cóż za radość go rozpierała, gdy udało mu się zawisnąć nad dwoma owadami, brzęczącymi we wścieklej walce na śmierć i życie, otoczyć je i czekać, dygocąc każdym gazowym atomem, aż siła życiowa pokonanego uniesie się i połączy z jego własnymi, niestałymi elementami, wywołując w nich elektryczny wstrząs.

Nastąpił wtedy bezczasowy okres, gdy jego życie polegało jedynie na beztróskim poszukiwaniu żywności. Jego świat ograniczał się do wąskiego bagniska, szarego, chmurnego świata, gdzie prowadził szczęśliwą, idylliczną, niemal bezmyślną egzystencję. Ale nawet w tej krainie rozproszonego słonecznego światła zaczynał się prawie niezauważalnie rozrastać. Potrzebował więcej żywności, więcej, niż dawało mu bezładne poszukiwanie konających owadów.

Z tego też powodu zdobył okrutną, specyficzną wiedzę, odpowiadającą warunkom tej zimnej, bagnistej krainy. Nauczył się, które owady są drapieżne, a które padają ich ofiarą. Poznał pory łowów każdego gatunku i miejsca, gdzie czaiły się maleńkie, nielotne stworzenia, bo latające było trudniej wytropić. Choć - jak odkrył Anabis - i one miały swoje nawyki. Nauczył się wykorzystywać swój mglisty kształt tak, by naganiać drapieżcom nieświadome ofiary.

Pożywienia miał wtedy dość, a nawet w nadmiarze. Urósł więc, i znowu zaczął: mu dokuczać głód. Z konieczności uświadomił sobie, że poza bagnem również jest życie. Pewnego dnia zaś, gdy wyprawił się dalej niż zwykle, natrafił na koniec krwawego starek między dwiema gigantycznymi, opancerzonymi bestiami. Długotrwałe emocje, których doznał, gdy przepływała przez niego siła życiowa pokonanego potwora, sama ilość tej energii, doprowadziła go do ekstazy, jakiej nigdy

przedtem nie doświadczył. W kilka godzin, podczas których zwycięzca pożerał drgające ciało swej ofiary, Anabis rozrósł się po milionkroć.

W ciągu jednego dnia i nocy po tym wydarzeniu, parujący świat dżungli został otoczony chmurą Anabisa. Ogarnął on wszystkie oceany, wszystkie kontynenty i dotarł aż tam, gdzie wieczne chmury ustępowały przed czystym słonecznym blaskiem. Później, w fazie rozwoju inteligencji, przeanalizował to, co przytrafiło mu się tamtego dnia. Rozrastając się, wchłaniał z otaczającej go atmosfery pewne rodzaje gazu. Do wzrostu potrzebował dwóch czynników. Pierwszym było pożywienie, które musiał sam zdobyć, zaś drugim naturalne działanie słonecznego promieniowania ultrafioletowego. Do bagna, rozpościerającego się nisko pod kłębam chmur, w przesiąkniętej wodą atmosferze, docierała tylko drobna część potrzebnych fal o krótkich częstotliwościach. Rezultat ich działania był porównywalnie mały, ograniczony, nie przekraczał skali wielkości planety.

Gdy Anabis wyrósł ponad mgły, w znacznie większym stopniu wystawił się na działanie promieniowania ultrafioletowego. Rozpoczęła się jego dynamiczna ekspansja, trwająca całe eony. Drugiego dnia dotarł do najbliższej planety. Wreszcie rozprzestrzenił się aż do granic galaktyki i automatycznie sięgnął po błyszczące cacka w innych systemach gwiazdnych. Tu jednak pokonała go odległość, która nie poddała się jego wiotkiej, pełzającej substancji.

Chłonał wiedzę równie chciwie, jak pożywienie. Na początku wierzył, że myśli należą do niego. Z czasem jednak uświadomił sobie, że elektryczna energia synaps nerwowych, którą pochłaniał uczestnicząc w każdej z kolejnych śmierci, przynosi ze sobą wiedzę zwycięzcy i konającego. Przez jakiś czas pozostawał na tym poziomie myślowym. Poznał zwierzęcą przebiegłość mięsożernych myśliwych i sztukę ucieczki i kamuflażu ich ofiar. Później jednak, na kilku różnych planetach, zetknął się z zupełnie innym rodzajem inteligencji: natknął się na istoty myślące, na cywilizację i naukę.

Dowiedział się od nich, że gdy skupi swoje atomy, wytworzy w przestrzeni dziury, przez które może się przedostać i pojawić w odległych miejscach. Nauczył się w ten sposób przenosić materię. Naturalnie, zaczął sprowadzać planety do poziomu pierwotnej dżungli, bo takie światy dostarczały mu najwięcej siły życiowej. Przenosił przez hiperprzestrzeń ogromne kawały wyrwane z innych porośniętych dżunglą planet. Przesuwał zimne światy w pobliże słońca.

Wszystkiego było mu mało.

Dni jego chwały wydawały się krótkie jak mgnienie oka. Gdy miał dość pożywienia, rozrastał się błyskawicznie. Pomimo olbrzymiej inteligencji, nie potrafił w żaden sposób zachować równowagi. Zaczął ogarniać go straszliwy lęk, gdyż zrozumiał, że w krótkim czasie czeka go zagłada.

Przylot statku dał mu nadzieję. Gdyby wyciągnął się niebezpiecznie w jednym kierunku, mógłby iść tropem kosmicznych gości, aż trafiłby do miejsca, skąd przybyli. W ten sposób rozpocząłby rozpaczliwą walkę o życie, przeskakując z galaktyki do galaktyki, rozprzestrzeniając się coraz dalej w nieskończoną noc. Przez te lata będzie musiał żyć nadzieją, że znów uda mu się przekształcać planety w pierwotne dżungle, i że wszechświat nie ma granic...

Dla ludzi czerń kosmiczna nie stanowiła przeszkody. „Gwiazdny Ogar” przycupnął na ogromnej równinie naszpikowanej poszarpanymi kawałkami metalu. Blask bił ze wszystkich iluminatorów. Z ogromnych reflektorów tryskały potoki światła na szeregi maszyn, które kopały przepastne doły na powierzchni tego świata, gdzie dominowało żelazo. Na początku, żelazo dostarczano do pojedynczego urządzenia produkcyjnego, które wytwarzało torpedy z niestałych związków żelaza z szybkością jednej sztuki na minutę i natychmiast wystrzeliwało je w przestrzeń.

O świcie następnego poranka urządzenie produkcyjne zaczęło wykonywać swoje duplikaty, a dodatkowe zmechanizowane ładowarki jeły dostarczać żelazo nowym maszynom. Wkrótce setki, a potem tysiące urządzeń produkowało czarne, zgrabne torpedy, które seriami wznosiły się w noc,

rozsiewając na wszystkie strony radioaktywną substancję. Miało to trwać trzydzieści tysięcy lat. Zaprojektowano je tak, by nie oddalały się poza pole grawitacyjne swojej galaktyki, a jednocześnie nie spadały na powierzchnię planet ani słońc.

Gdy czerwony świt następnego ranka powoli rozjaśniał horyzont, inżynier Pennons nadał ogólny komunikat:

- W tej chwili wytwarzamy dziewięć tysięcy torped na sekundę i, moim zdaniem, możemy spokojnie zostawić tu maszyny bez nadzoru. Otoczyłem planetę częściowym ekranem, by nikt nie zakłócał produkcji. Pozostaje nam zlokalizować jeszcze ze sto takich żelaznych światów, a wtedy nasz rozłożysty przyjaciel zacznie odczuwać cichość w swoich organach życiowych. Czas ruszać w drogę.

W kilka miesięcy później postanowili, że nadszedł czas, aby wyruszyć w stronę mgławicy NGC-50347. Astronom Lester tak uzasadnił wybór:

- Ta galaktyka jest odległa od nas o dziewięćset milionów lat świetlnych. Jeśli gazowa inteligencja pójdzie naszym tropem, mimo swych zdumiewających rozmiarów zagubi się w ciemnościach nocy, która dosłownie nie ma kresu.

Usiadł. Z kolei odezwał się Grosvenor.

- Na pewno wszyscy rozumiecie, że nie zamierzamy dolecieć aż tak daleko. Dotarlibyśmy tam po upływie setek, może nawet tysięcy lat. Chcemy tylko pociągnąć za sobą tę wrogą formę życia w pustkę, gdzie zagłodzi się na śmierć. Pomruk jej myśli powie nam, czy ruszyła za nami w pościg. Będziemy wiedzieć, że zginęła, kiedy ten pomruk ucichnie.

Dokładnie tak się stało.

Czas mijał. Grosvenor wszedł do sali wykładowej i spostrzegł, że znowu przybyło słuchaczy. Wszystkie miejsca były zajęte, dostawiono nawet kilka krzeseł z sąsiednich kabin. Rozpoczął popołudniowy wykład.

-Neksjalista podchodzi do spraw całościowo. Człowiek podzielił życie i materię na osobne działy, czyli wiedzę i byt. I, choć czasem używa słów wskazujących, że jest świadomy jedności natury, mimo to zachowuje się tak, jakby jeden, nieskończenie zmienny wszechświat składał się z wielu osobno działających elementów. Dziś porozmawiamy o technikach...

Przerwał. Wędrował spojrzeniem po twarzach słuchaczy i nagle jego wzrok przykuła znajoma postać pod ścianą. Po chwili wahania podjął wykład:

-... które pokazują, w jaki sposób pokonać ten rozziw między rzeczywistością a ludzkimi zachowaniami.

Opisywał technikę, a pod ścianą Gregory Kent robił pierwsze notatki na temat neksjalizmu.

A statek badawczy „Gwiezdny Ogar”, niosąc na pokładzie maleńki skrawek ludzkiej cywilizacji, mknął coraz szybciej przez noc, która nie miała końca.

Ani początku.

Spis treści

1. 3
2. 8
3. 14
4. 21
5. 28
6. 36
7. 39
9. 53
10. 60
11. 64
12. 70
13. 75
14. 79
15. 83
16. 86
17. 91
18. 96
19. 101
20. 116
21. 120
22. 128
23. 136
24. 144
25. 148
26. 162
27. 169
28. 175